

23, rue Taitbout, PARIS 9<sup>e</sup>

NUMER PODWÓJNY

CENA 1,60 F.  
PRIX 14 F. B.

22 - 29 grudnia 1968  
décembre

Rok wydania XI  
Nr 52 (583) - 53 (584)

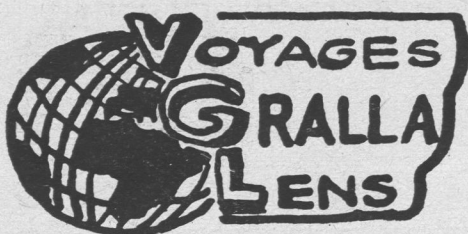
# Tygodnik Polski

## LA SEMAINE POLONAISE

### Wesotych Świąt







LICENCE 530

Koresp.:

# AGENCE DE VOYAGES GRALLA



**DYREKCJA 62, LENS** Face à la Gare Tél. 28-24-03 i 28-16-14

**ODDZIAŁY:**

**BRUAY-EN-ARTOIS**

Voyages GRALLA  
35, rue Ch. Marlard  
62, BRUAY-en-ARTOIS  
Tel. 26-46-60

**PARYŻ (2°)**

Voyages GRALLA  
48, rue Vivienne  
75, PARIS (2°) Tel. 508-50-42  
Métro: Montmartre

**METZ**

Voyages GRALLA  
43-45, rue Serpennoise  
57, METZ, Tel. 68-24-01



*o r g a n i z u j e*

**INDYWIDUALNE i GRUPOWE WYJAZDY do POZNANIA, WROCŁAWIA i KRAKOWA**  
W ODWIEDZINY DO RODZIN ORAZ 3-4-TYGODNIOWE LUB 2-MIESIĘCZNE

## **z LENS, LILLE, PARYZA i METZ**

- OD WIELU LAT WYSYŁAMY BEZ OPŁATY CŁA PACZKI PKO DO RODZIN ORAZ PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI:
 

za 50 F	otrzymuje krewny	720 złotych
za 100 F	„	1440 „
za 200 F	„	2880 „ itd.
- BIURO PODRÓŻY GRALLA załatwia wszelkie formalności paszportowe, wizy pobytowe i tranzytowe itp.



**Biuro Podróży GRALLA jako oficjalny i akredytowany przedstawiciel linii LOTNICZYCH, MORSKICH i KOLEJOWYCH**

***posiada i wystawia:***

- WSZELKIE BILETY SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE I KOLEJOWE ZE ZNIŻKAMI URLOPOWYMI, RODZINNYMI I TURYSTYCZNYMI.
- BILETY KOLEJOWE DO WSZYSTKICH STACJI W POLSCE.
- Wystawianie na miejscu BONÓW ORBISU oraz BONÓW BENZYNOWYCH z 30% ZNIŻKĄ.
- Sprowadzamy krewnych z Polski do Francji na WAKACJE.
- Załatwiamy wszelkie tłumaczenia oficjalne itp.



**Najlepiej**

**a  
j  
t  
a  
n  
i  
e  
j**

*k u p i s z*

**W DOMU**

**TOWAROWYM**

**NOBAL**

**9, RUE DE PARIS  
62, L E N S**

### **CIEKAWSZE POZYCJE W NUMERZE:**

SWIATECZNE	strony	1, 3, 5, 6, 7 i 36
FOLKLOR I ZWYCZAJE LUDOWE		7, 13, 14 i 15
POLONIA I KRAJ		16 i 17, 21, 22 i 23, 37 i 41
KRAJ		3, 4, 13, 14 i 15, 19, 43 i 44
50-LECIE		18
POLSKA I FRANCJA		20, 21, 22 i 23, 35
Z DZIEJÓW EMIGRACJI		23, 38
Z LAT WOJNY		24 i 25, 27, 28, 29, 30
DLA KOBIET		7, 27, 28 i 29, 34 i 35, 36, 37 i 41
KULTURA I SZTUKA		3, 8, 9, 12, 16 i 17, 34 i 35, 37 i 41
GASTRONOMIA		7, 12 i 43
GRZYBEK		40
TECHNIKA		21, 22 i 23
ZABYTKI		19 i 35
BAJKI		34 i 35
NOWA POWIEŚĆ		31, 32 i 33
SPORT		30
ROZRYWKI UMYSŁOWE		36 i 42
RADY OD SERCA		36
KONKURSY I ANKIETY		5 i 36
FILM		27, 28 i 29

Osobna wkładka — KALENDARZ NA ROK 1969  
po polsku i francusku





LES CRÊCHES de Noël font partie de la tradition des fêtes de la Nativité en Pologne. Depuis l'époque des mystères médiévaux, les crèches sont des représentations sans lesquels les spectacles d'art populaire aux profondes traditions ne seraient pas ce qu'ils sont. Mais il ne faut pas croire que ces crèches de Noël ne font plus partie que du folklore de village, que seuls les gens d'un certain âge s'intéressent et participent à ces spectacles. Comme le prouve l'affiche que nous vous présentons, les crèches de Noël animées par des acteurs amateurs ne font pas uniquement partie de l'activité artistique des ensembles folkloriques; les auteurs et les animateurs de ce spectacle sont dans notre cas des jeunes gens, tous étudiants de l'Université Marie Curie Skłodowska de Lublin. Ils ont repris à leur compte le „Dialogue pour la Nativité du Seigneur” qui est considéré par les historiens de la littérature polonaise comme une des plus anciennes, sinon la plus ancienne pièce théâtrale de langue polonaise. L'auteur est inconnu et la seule transcription existante provient de 1648, ce qui permet de supposer que l'on a affaire à une version plus ou moins déformée de l'original. Malgré cela le „Dialogue” présenté par le théâtre étudiantin „Gong 2” de Lublin a conservé une fraîcheur que rien ne peut détruire. Les auteurs de la nouvelle version du „Dialogue” ont conservé le sens et le rythme de l'original tout en y ajoutant des intermèdes musicaux de toutes les époques. Cela fait que cette crèche de Noël, qui est présentée à travers la Pologne, est à la fois traditionnelle et moderne.

## BETLEJEM W BARBAKANIE



DY NOC okryła mury krakowskiego Barbakanu, tu i ówdzie mignęły światelka. Od czasu do czasu tylko jasne promienie oświetlały to postać „złej Ewy” — kusicielki, to złocisty zakątek raj. Wreszcie smuga światła skierowana została na postać Dziewicy, a po chwili — na anioła zwiastującego Narodziny Pana.

Wszystko to przenosi nas w czasy panowania „brzydkiego Heroda”; do Betlejem, gdzie płonie niezwykłą jasnością gwiazda wspinała, za blaskiem której podąża lud i zwierzęta. Już słychać dawną muzykę, już roi się od komediantów, śpiewów i krotchwil. To tu, to tam nieprzystojne słowa padają... „Tych należy potępić i odmawiać im ciała Chrystusowego”.



ACZYNA SIĘ wspaniałe staropolskie widowisko. Betlejem kipi życiem, tętni muzyką, tańcem, radością, Betlejem — czyli dzisiaj krakowski Barbakan. Jego scenierię bowiem wykorzystali artyści-amatorzy, studenci Akademickiego Teatru Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie jako estradę do zaprezentowania „Dialogu na Święto Narodzenia Pana”. Ta staropolska sztuka grywana była w Polsce prawdopodobnie już w XVI, a na pewno w XVII wieku. Po dziesiątkach lat zapomnienia wystawił ją lubelski zespół studencki „Gong 2”.

„Dialog na Święto Narodzenia Pana” według wielu danych, to jedna z najstarszych w piśmiennictwie polskim sztuk teatralnych. Autorem jej jest Anonim, czyli nie ma autora, a właściwie nie znamy go już dzisiaj. Znany obecnie zapis sztuki pochodzi z 1648 r. Ale sama sztuka jest na pewno znacznie starsza. Orygi-

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH LUBLIN  
AKADEMICKI  
TEATR UMCS

teatr  
GONG

# DIALOG na święto narodzenia

Parti Gravi

PROLOG

Parti Ridicoli

ach zia eva narobita chłop oskarża ojca adama  
związ towanie pater magister et filius  
późno już była bigos upłył odszedł  
kiedy król herod królował od siebie  
w Betlejem sławnym  
Gdy to król herod usłyszał

EPILOG

układ i opracowanie dramaturgiczne: Andrzej Rozhin  
Reżyseria i inscenizacja: Andrzej Rozhin  
scenografia kostiumy maski: Elżbieta i Leon Barańscy  
opracowanie muzyczne: Janusz Piłarski

PREMIERA 1968

wykonują:

Andrzej Iowicki  
Andrzej Leszczyński  
Tomasz Kiełb  
Janusz Piłarski  
Elżbieta Rozhina  
Leon Barański

organy:  
Janusz Kiełb  
Janusz Piłarski  
kapela:  
Krzysztof Kiełb  
Tomasz Kiełb  
Jerzy Przystał

Barbara Michalowska  
Anna Wesołowska  
chor:  
Elżbieta Orzechowska  
Danuta Kowalska  
Dorota Szturmajewska  
Anna Wesołowska  
Wanda Wronowska  
Jagna Berezowska



nalny tekst posłużył śmiałym projektodawcom i aktorom za pomysł do widowiska teatralnego. Widowiska opracowanego dramaturgicznie, reżyserowanego oraz inscenizowanego przez Andrzeja Rozhina, studenta UMCS, który poszedł w ślady wystawianych już w Polsce ostatnio przedstawień o wątkach religijnych, jak „Historija o Chwalebnym Zmartwychwstaniu”, kontynuując cykl widowisk staropolskich.

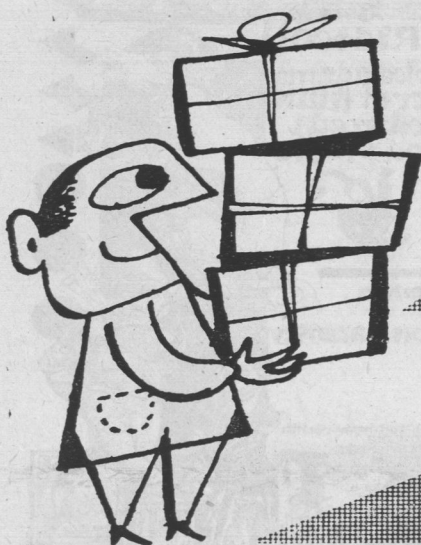


PRZEDSTAWIENIE „Dialogu” skonstruowane zostało bardzo barwnie i ciekawie. Zachowano w nim bowiem wiele wątków bożonarodzeniowych, wzbogacono je staropolskimi tekstami, dodano wiele pieśni religijnych i odpowiednio dobrano intermedia, czyli wstawki muzyczne. Aktorzy zaś, przebrani w staropolskie stroje „przypominające nieco strój przywdziewany przez gałganiarzy na maskaradach” w dynamiczny sposób przekazywali staropolską atmosferę zabawy, potęgowaną znakomicie niemalże autentyczną muzyką renesansową. To nic, że miejsce starych instrumentów zajmowała kapela złożona m. in. ze skrzypiec i fletu, że były nawet organy elektryczne. Nastrój bożonarodzeniowego święta opanował krakowski Barbakan niepodzielnie.

Wskrzeszając tę świetną zabawę świąteczną, opartą na tradycjach ludowych, studenci lubelscy dali nam jeden z najciekawszych spektakli podczas tegorocznych Ogólnopolskich Spotkań Teatrów Studenckich. A jak uroczyste przedstawienie „Dialogu na Święto Narodzenia Pana” było zapowiedziane, jaki oryginalny plakat je poprzedził, można się przekonać oglądając jego reprodukcję, którą obok zamieszczamy. Warto dodać, że autorami plakatu, a także scenografii, kostiumów i dziwnych masek jest małżeństwo studentów lubelskich — Elżbieta i Leon Barańscy.

Krystyna KOZŁOWSKA





# BANK

## POLSKA KASA OPIEKI S.A.

23, rue Taitbout - PARIS IX-ème  
Tél. 824.42.02 Métro: Chaussée-d'Antin

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przesyła z Francji do Polski towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

**BARDZO NISKIE KOSZTY,  
SZYBKA i WYKWALIFIKOWANA OBSŁUGA**

## NA ZAKOŃCZENIE ROKU

**K**ONCZYMY rok 1968. Pięćdziesiąty rok od zakończenia pierwszej wojny światowej i odzyskania niepodległości Polski, dwudziesty czwarty rok od zakończenia drugiej wojny światowej. Koniec roku zbiega się z dawien dawna z okresem Świąt, które w wielu krajach obchodzone są bardziej uroczysto niż wszystkie inne i uważane za święto zgody, pokoju, pojednania i przyjaźni między ludźmi i narodami. Wyrażają zatem najgorętsze pragnienie ludzkości, jakim jest POKÓJ. I chociaż pragnienie to z każdym pokoleniem wyrażane jest coraz głośniejsze i bardziej stanowczo, a ludzie dobrej woli nie szczędzą ofiarnych wysiłków, by je urzeczywistnić, ideał światowego pokoju jest wciąż daleki od zrealizowania. Raz po raz w różnych stronach świata wybuchają konflikty zbrojne i choć w ostatnich latach mają one zasięg lokalny, zawsze niosą ze sobą niebezpieczeństwo rozszerzenia groźnego pożaru, a nawet powszechnej wojennej pożogi, którą w ostatnim półwieczu — a więc za naszego starszego pokolenia — ludzkość przeżyła ze strasznymi skutkami dwukrotnie.

W ciągu niespełna ostatnich dwóch tysięcy lat w kronikach świata zanotowano około 10 tysięcy wojen. Po każdej z większych wojen i po każdej z większych bitew, kiedy żniwo śmierci, ofiar, przelanej krwi i zniszczeń budziło przerażenie w umysłach tych, którzy przeżyli, pojawiały się sta-

nowcze głosy i żądania: „Nigdy więcej wojny!” I potem upływał pewien okres czasu, regenerujący nadszarpane siły, niósł on z sobą stopniowe zacieranie potwornego obrazu wojennego, powracały zbrojenia i przy najbliższej okazji dochodziło do ponownego konfliktu. Za każdym razem większego, bardziej ludobójczego, wyrafinowanego w metodach zabijania i niszczenia. I tak dobiegła ludzkość do dwudziestego wieku nowej ery, wieku wspaniałego rozwoju ludzkiej myśli, niezwykle doniosłych odkryć, wynalazków, osiągnięć, które właściwie użyte mogłyby działać na rzecz powszechnego dobrobytu i szczęścia, a zostały wciągnięte w służbę wojennej machiny w dwóch największych zbrojnych zmaganiach, jakie znają dzieje ludzkości.

Rok, który kończymy, był rokiem *Igrzysk Olimpijskich*, wspaniałej imprezy wzorowanej na doświadczeniach i kulturze starożytnych Greków, kiedy to przerywano wszystkie zbrojne konflikty, by nacieszyć się inną, pokojową walką, szlachetnym współzawodnictwem w szybkości, sile, wytrzymałości i zręczności. Najpierw w Grenoble, a później w Meksyku najsprawniejsza, pięknie wysportowana młodzież przeszła stu państw i jeszcze więcej narodów przez kilkadziesiąt dni prezentowała swe umiejętności, ambicję, wolę walki, a równocześnie sportową dyscyplinę, pełny szacunek dla przeciwnika, przyjaźń z nim i serdeczne koleżeństwo. Zarówno w Grenoble, jak w Meksy-

ku, uczestnictwo w igrzyskach, jak i zainteresowanie zawodami były rekordowe, przeszły wszystko, co w tej dziedzinie kiedykolwiek zanotowano. Święto olimpijskie 1968 porwało swym pięknem i wielkimi humanistycznymi walorami miliony ludzi we wszystkich zakątkach świata, czyniąc narody różnych języków, ras, przekonań i religii wzajemnie sobie bliższymi i przyjaźniejszymi.

Ale równocześnie w ciągu kończącego się roku olimpijskiego trwał zbrojny najazd amerykańskiego imperializmu na Wietnamie, a dokonana w ub. roku agresja na kraje arabskie raz po raz pożera nowe ofiary, wyzwalając w śmiertelnej walce najgorsze instynkty i ludzkie wady. Oby próby zmierzające do pokojowych rozwiązań w wojnie wietnamskiej, podjęte pod koniec roku na neutralnym terenie stolicy Francji, dały możliwie najszybciej pożądane rezultaty.

Rok 1968 nie należał do najlepszych wśród lat powojennych. Przeciwnie: cechowała go wielka nerwowość, zaskoczenia, obawy, próby wznowienia zimnej wojny. Ostatnie tygodnie przyniosły na szczęście pewne przejaśnienia i nadzieje. Napięcia powoli rozkładają się. Niejedna z trudnych i skomplikowanych spraw międzynarodowych w toku rozmów, wzajemnych przekonywań i tłumaczeń, staje się dla drugiej strony bardziej zrozumiała i ostrze niebezpieczeństwa, jakie z sobą niosła, tępieje. Wysiłki, prace, apele, zdążające do zbliżenia poróżnionego świata, nie ustają. Niosą z sobą oddziaływanie na umysły i na szalę POKOJU.

Wydawać by się mogło, że w tym skomplikowanym, pełnym trudności świecie, w jego przytłaczającym ogromie, pojedynczy człowiek jest nie nic nie znaczącą kruszyną. Ale przecież ogół tych kruszyn składa się na narody i całą ludzkość, one formują regiony, kraje, państwa. Każdy z nas znaczy coś na szali różnych wydarzeń, a więc i na szali POKOJU i ZBLIŻENIA. To nie frazes, ale konkret i prawda. A w niejednej sprawie oddziaływanie nas, emigrantów, może być nawet większe aniżeli się nam to pozornie wydaje. Łączymy przecież w swych sercach, zainteresowaniach i uczuciach ludzi i sprawy z bezpośredniego naszego sąsiedztwa, ale również i z odległego Kraju, a nawet szerokiego świata, przekazujemy im z okazji Świąt nasze najlepsze życzenia, pragniemy im udzielić naszej serdeczności, utrzymać i rozwinąć z nimi możliwie szerokie kontakty. Jest to szczególnie ważne, pamiętajmy bowiem, że przecież w toku wydarzeń politycznych kończącego się roku usiłowano nas znowu odwrócić od Kraju i swych bliskich, od kontaktów ze Starą Ojczyzną.

*Najlepsze życzenia świąteczne*

*Czytelnikom, Przyjaciółom, Korespondentom  
i Kolporterom*

*Słukada Administracja i Redakcja  
„TYGODNIKA POLSKIEGO”*



# WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY Z NAGRODAMI

## GRAND CONCOURS AVEC DE NOMBREUX PRIX

Na życzenie naszych Czytelników ogłaszamy doroczny „Wielki Konkurs Tygodnika Polskiego”. Podobnie jak poprzednie konkursy, jest on dla dawnych i nowych Czytelników „Tygodnika” i daje szansę wygrania jednej z wielu atrakcyjnych nagród.

Serdecznie zapraszamy i zachęcamy do wzięcia udziału w tegorocznym „WIELKIM KONKURSIE TYGODNIKA POLSKIEGO”.

C'est à la demande de très nombreux lecteurs que nous organisons cette année encore le Grand Concours. Chacun peut y prendre part, chacun a une chance de remporter un des nombreux prix. Nous vous invitons cordialement à participer tous à notre GRAND CONCOURS.

### REGULAMIN KONKURSU

1. W konkursie ma prawo wziąć udział każdy stały prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jak również wszyscy Czytelnicy i Sympatycy pisma oraz ci, którzy pragną zostać stałymi Czytelnikami „Tygodnika Polskiego”.

Le concours est ouvert à tous les abonnés, à tous les lecteurs et sympathisants ainsi qu'à tous ceux qui désirent eux-mêmes devenir des lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE”.

2. W losowaniu atrakcyjnych nagród, które ogłaszamy obok, może wziąć udział każdy dotychczasowy prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jeżeli: zwerbujecie spośród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych co najmniej jednego nowego abonenta „Tygodnika Polskiego” i przyśle pod adresem „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème mandat z roczną prenumeratą, wynoszącą dla Francji 20 F, zaś dla Belgii 210 fr. belgijskich, z zaznaczeniem „WIELKI KONKURS” oraz poda swoje nazwisko, imię i adres.

Chacun des abonnés actuels de „LA SEMAINE POLONAISE” peut participer au tirage au sort des prix, à condition de recruter parmi ses parents, amis ou connaissances au moins un nouvel abonné à „LA SEMAINE POLONAISE” et d'envoyer à notre adresse — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème un mandat pour le montant d'un abonnement d'un an (20 fr. ou 210 fr. belges) en précisant „GRAND CONCOURS” et indiquant ses nom, prénom et adresse.

3. Im więcej nowych Czytelników, którzy za rok z góry opłacą mandatami prenumeratę „Tygodnika Polskiego”, zwerbujecie nasz dotychczasowy prenumerator i zgłosi swój udział w konkursie, tym więcej razy bierze udział w losowaniu:

a) zgłaszając jednego nowego abonenta dotychczasowy nasz prenumerator bierze jeden raz udział w losowaniu nagród (otrzymuje jeden „bon de participation”),

b) zgłaszając co najmniej trzech nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla nich, nasz dotychczasowy prenumerator bierze pięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 5 „bons de participation”);

c) zgłaszając co najmniej pięciu nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla każdego z nich, dotychczasowy prenumerator bierze dziesięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 10 „bons de participation”).

Chaque participant peut augmenter ses chances: a) pour un abonné nouveau, il reçoit un „bon de participation” au tirage au sort;

b) pour trois abonnés nouveaux, il multiplie ses chances non par trois mais par cinq, en recevant cinq „bons de participation”;

c) en recrutant au moins cinq abonnés nouveaux et en envoyant autant de mandats, il participe dix fois au tirage des prix, en recevant dix „bons de participation”.

4. W losowaniu nagród biorą też udział wszyscy nowi prenumeratorzy, którzy zwerbowani przez dotychczasowych prenumeratorów i za ich pośrednictwem nadesłali pod adresem redakcji mandat z roczną prenumeratą, bądź też przeczytawszy w „TYGODNIKU POLSKIM” warunki konkursu przyślą sami, bezpośrednio pod adresem redakcji („La Semaine Polonaise” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème) opłatę rocznej pre-

### REGLEMENT DU CONCOURS

numeraty (dla Francji — 20 F, dla Belgii — 210 fr. belgijskich) i zaznaczą na mandacie „WIELKI KONKURS”.

Participant également au tirage des prix tous les nouveaux abonnés qui, soit directement, soit recrutés par d'autres abonnés et par leur entremise auront envoyé un mandat à notre adresse, selon les conditions énumérées au point 2.

5. Termin nadsyłania mandatów z roczną prenumeratą oraz dopiskiem WIELKI KONKURS, jak również zgłoszenia dotychczasowych prenumeratorów o zwerbowaniu nowych abonentów upływa z dniem 1 maja 1969 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Le délai d'envoi des mandats prend fin le 1 mai 1969 (le cachet postal en fera foi).

6. Komisyjne losowanie podanych obok nagród WIELKIEGO KONKURSU odbędzie się w lokalu redakcji „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9<sup>e</sup>, przy udziale komisji redakcyjnej, mecenasa czuwającego nad prawidłowym przeprowadzaniem losowania oraz zaproszonych Czytelników „Tygodnika Polskiego”.

Le tirage au sort des prix sera effectué dans les locaux de notre rédaction par une commission spéciale sous la surveillance d'un conseiller juridique et en présence de lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE” invités à cet effet.

7. Wyniki losowania nagród WIELKIEGO KONKURSU i lista nagrodzonych osób ogłoszone zostaną na łamach „Tygodnika Polskiego” w dniu 1 czerwca 1969 r.

Les résultats du GRAND CONCOURS et la liste des gagnants seront publiés dans „LA SEMAINE POLONAISE” du 1-er juin 1969.

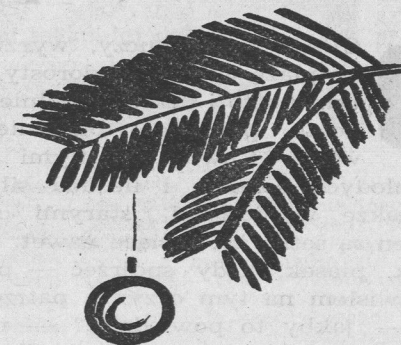
### NAGRODY — PRIX

**Przelet samolotem PLL „LOT” z Paryża do Warszawy i z powrotem dla jednej osoby i 14-dniowy pobyt w Kraju latem 1969 ze zwiedzaniem Warszawy, Krakowa i Zakopanego.**

Voyage en avion PLL LOT Paris — Varsovie et retour, 14 jours en Pologne en été 1969 avec visite de Varsovie, Cracovie et Zakopane (pour une personne).

**Jeden bilet kolejowy z Paryża, Lille lub Metz do Warszawy i z powrotem w ramach grupowych wyjazdów, organizowanych latem 1969 przez Biuro Podróży „TRANSTOURS” oraz 8-dniowy pobyt w Kraju ze zwiedzaniem Warszawy.**

Voyage par le train de Paris, Lille ou Metz à Varsovie et retour dans le cadre des voyages groupés, organisés par l'Agence de Voyages „TRANSTOURS”, 8 jours en Pologne avec visite de la capitale (pour une personne).



**Przyjazd do Paryża ze swego miejsca zamieszkania i z powrotem, latem 1969 roku, 3-dniowy pobyt w Paryżu połączony ze zwiedzaniem związanych z Polską zabytków, zorganizowany przez „TYGODNIK POLSKI”.**

Trois jours à Paris (voyage aller-retour payé du lieu de résidence) avec visite des monuments et souvenirs de la capitale se rapportant à la Pologne — sous la conduite de „LA SEMAINE POLONAISE”.

**Elektrofon walizkowy oraz 5 płyt polskich**

Un électrophone portatif et 5 disques polonais

**Elektrofon walizkowy**

Un électrophone portatif

**Polski obrus wyszywany lniany + 6 serwetek**

Un service de table en lin de Pologne (une nappe brodée et 6 serviettes)

**Polski obrus wyszywany lniany**

Une nappe brodée en lin de Pologne

**Polski komplet do kawy — lniana serweta i 6 serwetek**

Service à café de Pologne comprenant une nappe et 6 serviettes

**Radio tranzystorowe**

Un poste de radio à transistors

**Małe radio tranzystorowe**

Un poste miniature à transistors

**Polska serweta wełniana (pasiak łowicki)**

Une serviette de la région de Łowicz

**10 książek polskich**

10 livres polonais de valeur

**8 książek polskich**

8 livres polonais de valeur

**12 polskich ręczników lnianych**

Un complet de 12 torchons de lins de Pologne

**Żelazko elektryczne**

Un fer à repasser électrique

**Suszarka do włosów**

Un sècheiro à cheveux

**Elektryczny młynek do kawy**

Un moulin à café

**Ekspres do kawy**

Un „express” à café

**Mikser elektryczny**

Un mixer

**6 polskich ręczników lnianych**

6 torchons de lin de Pologne

**oraz 20 nagród pocieszenia**

et 20 lots de consolation.



STANISŁAW KOCIK

# OJCZYZNO, czy Ty mnie słyszysz?

## (Opowiadanie wigilijne)

**O**CEAN tylko huczy, wyrzucając na plażę wielkie wodorosty. Poza tym pusto i dziko diabelnie. Głębokie, przeciągłe buczenie. To wiatr. Chwieje wątlymi koronami młodych sosenek i ile ma sił chybocze także wyniosłymi, starymi sosnami. Sosen są setki, ba, tysiące nawet. Sosny i piasek, piasek, kędy spojrzeć — piasek. A ja zawisłem na tym oczyma, patrzę, patrzę, i — jakby to powiedzieć? — no, po prostu usiłuję sklecić sobie Gwiazdkę, Wigilię. Z niczego, bo nic nie mam, ani żadnej bliskiej duszy, ani opłatka... Kręcę bicz z piasku, tak to chyba należy nazwać. Kusi mnie do tego taką dawną melodię, która już od samego rana depcze mi po piętach. O, znowu się przyplątało:

„Słuchaj, dziewczuszko, słuchaj i chłopcze,  
jak grają w szopce:

la-la, la-la,

dobiega aż tutaj z dala...

Fujarki fiukają tak rzewnie,

śpiwnie — zaśpiwnie:

lu-lu, lu-lu,

w uciesze skąd tyle żalu?...”

Właśnie — żal. Dżga, psiakrew, w samo serce. Wigilia, a mną rzucają jak jaką rozkołysaną łódką wysokie jak góry bałwany żalu. Wyjść, przejść się? W taką pogodę? Siedzieć dalej w domu? I tak źle, i tak niedobrze. „Lu-lu, lu-lu... W uciesze skąd tyle żalu?...” Jak to — skąd? Jasne, że stąd, że jestem sam. Jak palec. Jak kamień. Jak kołek w płocie, jak dzilka grusza w polu. Nigdy jeszcze nie spędzałem Wigilii tak całkiem samotnie jak dziś! W zeszłym roku żyła jeszcze moja bidulka, porozmawialiśmy sobie, powspominaliśmy dawne lata, byliśmy na francuskiej pasterce... Że też ona musiała zemrzeć przede mną. Jeśli się czegoś naprawdę w życiu bałem, to chyba już właśnie tego: zostać sam. No i stało się. Takie to życie jest czasem niesprawiedliwe, niedobre, okrutne, tak czasem człowiekowi dogryzie, że nic, tylko sięść i płakać. Oh, znowu się przyplątało:

„Skrzypki świergocą słodziutko  
srebrzystą nutką:

li-li, li-li,

będziemy się weselili...”

...Oj, nie, nie będziemy się weselili, bo mojej bidulki już nie ma. Straszna to jest choroba — rak. Nic jeszcze przeciwko niej skutecznego nie wymyślono. Nie ma już Heleny, i już nigdy jej nie będzie, jestem i będę sam, samiuteńki. Co mi teraz po tym wszystkim? Po domku? Po ogródku? A przecież tak się na to wszystko cieszyliśmy, tyle się o tym wszystkim — tam, w Pas-de-Calais — namarzyliśmy, tyleśmy się napracowali, tyle lat odejmowaliśmy sobie od ust, aby móc kupić sobie ten domek! Ja harowałem jak wół — w kopalni, u bauera, budowałem ludziom angielski, buty zelowałem i w ogóle, a ona, a moja nieboszczka kobiecina gotowała na weselach, na chrzcinach, gdzie tylko się dało. Nie mieliśmy dzieci, więc powiedzieliśmy sobie tak: „Wiesz, co, kobieto, wiesz co, chłopie, będziemy składać grosz do grosza i kupimy sobie na sta-

rość domek. Ale nie kupimy go tu, nie będziemy na starsze lata mieszkać w Pas-de-Calais. Wyjedziemy gdzieś na południe, gdzieś, gdzie są lasy, gdzie jest czyste powietrze...” No i oszczędzaliśmy, i wreszcie dwa lata temu kupiliśmy sobie ten domek, opuściliśmy Pas-de-Calais, przenieśliśmy się tutaj, do Landes. Dlaczego akurat do Landes? Bo raz — ładnych już parę lat temu — przejeżdżaliśmy tędy w czasie wakacji ze znajomymi i tutejszy krajobraz przypadł nam do serca. Tutaj, w Contis, akurat był taki fajny, taki zgrabny, taki fikuśny domek na sprzedaż. Ani za duży, ani za mały, taki w sam raz. Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy, że tak, że go kupimy...

...Kiedyśmy się tutaj wprowadzali, cieszyliśmy się jak dzieci. Tak tu przecie ładnie — ocean, las, las, ocean — tak pachnie żywicą, tak spokojnie! „Jei! Żebyśmy tak mogli przeżyć tu choć z dziesięć lat!” — myślałem sobie w duchu. I oto już jestem sam. Moja biedna kobiecina nawet nie zdążyła się tym wszystkim do syta nacieszyć. Po co ja tak harowałem? Po co ona tak tyrała?

„...Spiewajcie, grajcie, chłopięta,

i wy, dziewczęta:

la-la, la-la,

kolęda serca rozpala...”

Nie mogę jakoś opędzić się tej piosence. Nie mogę opędzić się wzruszeniu. A przecież nie jestem bekasa, nigdy nie byłem mazgajem, nie lubię się mazgać. Ale dzisiaj nie mogę się jakoś opędzić żalowi. Na piersiach siadła mi jak gdyby jakaś zmora. Mimowiednie zaprzepaszczam wzrok w rozhaftowanych na pochmurnym niebie gwiazdach. Wedle odwiecznego obyczaju, Wigilia powinna zacząć się o pierwszej gwieździe. Przegapiłem ją? Przegapiłem! No i cóż z tego? Nie mam opłatka — no, bo skąd tu w Landes wziąć opłatek? W zeszłym roku mieliśmy opłatek od krewnych Heleny z Polski, ale w tym roku nie przysłali już ani życzeń, ani opłatka. A ja nie mam już w Polsce krewnych, którzy mogliby mi przysłać opłatek, bo wszystkich pozabijali Niemcy. Może byłby mi przysłał opłatek mój kolega z Nordu, Frąckowiak — ale on już nie może tego zrobić, bo i jego także zabrała tej jesieni kostucha. Zresztą, nawet gdybym miał kawałek opłatka, to i tak nie wiedziałbym, co z nim zrobić. No bo nie miałbym się z kim tym opłatkiem podzielić. Bo Polaków tu nie ma — nikogusieńko, ani na lekarstwo, a przecież nie poszedłbym z tym do sąsiadów — Francuzów, bo oni tych rzeczy nie znają, nie rozumieją.

Nie mam opłatka, ani klusek z makiem, ani choinki. Po obiedzie poszedłem do lasu po małą sosenkę — powinienem ją teraz stroić, mam przecież w domu różne cacka i bańki, złote i srebrne nici, łańcuchy, płatki szklanego śniegu — Helena nakupiła tego do licha i trochę — ale myślicie, że mi się chce? Jestem jak sparaliżowany. Dusza we mnie skomli jak jakieś stare bezdomne psisko. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko przypomina mi moją kobecinę, rozstrzelanych przez Niemców braci, Polskę i Nord. Oddałbym w tej chwili wszystko, dosłownie

wszystko, co tu mam, za jedno tylko polskie zdanie, za wigilijne życzenia i za opłatek... Ale nikt nie przyjdzie. Ja wiem, bidulko moja, ty, gdybyś mogła, to byś przyszła, wróciłabyś na chwilę, chociażby po to, żeby ustroić tę sosenkę... Ale ty już nic nie wiesz, bo przecież stamtąd się nie powraca... Gdybyś tylko mogła, to ja wiem, że ty byś przyfrunęła, zaśpiewałabyś jak dawniej:

„Bębenek dudni, tupie i brzęczy,  
tyle, nie więcej:

le-le, le-le,

do stóp Jezuska się ściele...”

Ale ty już nigdy tego nie zanucisz... A wy, bracia moi rodzeni? Też nie możecie przyjść? Franuś, braciszku, jeśli mnie słyszysz, to chociaż zapułkaaj do okna! Albo wy, Frąckowiak! ...Co ja wygaduję!? Głupstwa, czyste głupstwa... A to wszystko przez to wariackie, jak dzwon bijące serce! Diabli nadali, tego tyllko jeszcze brakowało, tych babskich łez! Muszę się opanować! Muszę się, psiakrew, uspokoić! Nie płakałem, kiedy Helena umarła, a teraz będę becał?! Wstyd, stary chłop, a duchy przywołuje, choć w nie nie wierzy, i w dodatku ryczy jak jakiś dzieciuch! Muszę się opanować! Muszę, muszę, muszę!!! ...Muszę, bo tak nie można, tak nie wolno! Co ja mam robić z tymi łzami? Dlaczego my, Polacy, tak głęboko przeżywamy ten wieczór wigilijny? O, na domiar złego przywlokło się bezsensowne wspomnienie. Nasze miasteczko w Kalliskiem, ja jestem jeszcze dzieckiem, mama ugotowała czerninę, a ja nie chcę jeść. Więc mama mówi: „Jedna łyżka dla dziadziusia, jedna dla babusi, jedna dla taty, jedna dla mamy...” To w związku z tymi łzami, co ich już teraz w żaden sposób nie mogę powstrzymać. Naści, bidulko moja, ta jest dla ciebie. A ta jest dla was, bracia. A ta dla was, Frąckowiak. A ta łza jest dla ciebie, Ojczyzno moja najmilsza. Czemuś ty tak daleko? Czy ty mnie słyszysz, Ojczyzno? Przecież dzisiaj tak huczno na świecie, tyle dziś wędruje w eterze kolęd i życzeń, więc czy ty mnie słyszysz? Patrz, jakim tu samotny. Widzisz, jak tu płaczę? Przyjdz, Ojczyzno, przecież jestem twój syn, twoje dziecko. Żem cię przed laty opuścił, to przecież wiesz, że nie po dobrej woli. Przyjdz! Nie chodź dzisiejszej nocy na Nord, ani do Paryża, ani do Normandii, bo tam wszyscy są razem, tam mają opłatki i choinki i polską mowę i kluski z makiem, a ja tu jestem sam, sam, jak dzilka grusza w polu... Przyjdz, Ojczyzno. Nic się nie bój, choć tyle lat cię nie widziałem, pamiętam jeszcze wszystkie twoje pieśni wigilijne, i jak u nas wesoło chrzęścił pod stopami śnieg i jak za oknami trzeszczał mróz, wiesz? Ustroję dla ciebie tę cieką gaskońską sośninę. No, bo dla kogo mam ją ustroić? Bidulki mojej już nie ma! I zaśpiewam ci kolędę. „W żłobie leży, któż pobieży...” Albo tę, co ją tak lubiła nucić Helena: „Lu-lu, lu-lu, w uciesze skąd tyle żalu?” No, bo komu mam śpiewać? Gryzą ziemię moi najmilszi... Ty jedna tylko mi zostałaś. Masz, ta łza jest dla ciebie. Och, tak potężnie grzmi ocean. W eterze tyle wędruje kolęd i życzeń. Ojczyzno moja najmilsza, czy ty mnie słyszysz?



### UWAGA CZYTELNICY

Sobota 11 stycznia  
godz. 18

### SPOTKANIE NOWOROCZNE W REDAKCJI

Czyniąc zadość życzeniu i postulatowi naszych Czytelników, redakcja „Tygodnika Polskiego” organizuje w sobotę, dnia 11 stycznia 1969 roku o godzinie 18 w lokalu redakcji (23, rue Taitbout, Paris IX-e, métro Chaussée d'Antin),

spotkanie noworoczne dla Czytelników i Sympatyków pisma z Paryża i okregu paryskiego.

Wszystkich przyjaciół „Tygodnika Polskiego” serdecznie na to spotkanie zapraszamy.



## NASZA GWIAZDKA POZOSTAŁA BARDZO POLSKA

### W BILLY-MONTIGNY

— Generalnie rzecz biorąc, z polskich tradycji wigilijnych zostało tylko łamanie się opłatkiem i śpiewanie kolęd — powiedział nam mistrz krawiecki i zasłużony działacz z Billy-Montigny p. Witold NOWAK. Kto by tam dzisiaj chciał jeść kluski z makiem na przykład?! O tradycyjnych potrawach wigilijnych w więk-

szości rodzin jakoś zapomniano. Dzisiaj w Wigilię je się kapustę i — przede wszystkim — indyka. Bez indyka ani rusz, zwłaszcza młodzież delectuje się indykiem. Po kolacji śpiewa się kolędy, a potem tańczy się... Przed wojną było rzecz jasna całkiem inaczej. Wigilię obchodzono wtedy prawdziwie po polsku, w niektórych miejscowościach chodzili nawet kolędnicy. Ale spotyka się jeszcze rodziny, które pozostały wierne polskiemu tradycjom gwiazdkowym. My — to jest moja rodzina — należymy oczywiście do tej ostatniej grupy...

### W HARNES

— Wigilia? Rzecz jasna, że my ją w domu święcimy, i to bardzo uroczysto, po polsku oczywiście — odpowiedział nam znany kompozytor polski i właściciel sklepu muzycznego, w Harnes, p. Stanisław RATAJSKI. — Jasne, że przestrzegamy tradycji. Ale wielu ludzi nie przestrzega już polskiego obyczaju wigilijnego. Dzisiaj w wielu domach na stole wigilijnym z polskim barszczem i kluskami z makiem sąsiaduje francuski indyk. Tradycje kulinarne giną, zanikają, albo ulegają rozmaitym przekształceniom, to fakt. Ale niektóre rzeczy weszły jednak młodym ludziom w krew — to też jest fakt.

Weźmy na przykład kolędy. Ja od paru już lat zawsze przed Gwiazdką mówię sobie: w tym roku płyty z polskimi kolędami przestaną już chyba być tak pokupne, tak popytne jak dotąd, no bo młodzieży to nie interesuje... I co roku się myślę, co roku jest dobrze. Także i w tym roku myślałem: „z kolędami — koniec!”, ale szczęściem znowu pokazało się, że obawy moje były pienne. Ludzie — także i ludzie młodzi — są do polskich kolęd przywiązani, i już. Pocięszający jest także fakt — kontynuuję p. Ratajski — że w wielu miejscowościach nadal urządzone są polskie imprezy gwiazdkowo-noworoczne. Wprawdzie dzisiaj wygląda to trochę inaczej niż przed wojną: przed wojną imprezy te odbywały się zawsze w samą Gwiazdkę, najpierw była choinka dla dzieci, a następnie zabawa taneczna, dzisiaj natomiast uroczystości te odbywają się przeważnie po Gwiazdce, w styczniu albo i w lutym — ale ja myślę, że tak jest lepiej, bo teraz każdy spędza Gwiazdkę w domu, to znaczy tak, jak należy, bo przecież Gwiazdka to przede wszystkim święto rodzinne.

### W CALONNE-RICOUART

— W naszej rodzinie polskie tradycje wigilijne są przestrzegane po dziś dzień — powiedział nam pochodzący z Calonne-Ricouart właściciel paryskiego hotelu „Opéra-Lafayette” p. Zonon LUBIŃSKI. — Nie żyją już dziś nasi rodzice, ale moja siostra nadal piecze babki, placki, makowce, i nadal dzielimy się w Wigilię opłatkiem, i jeden z nas, dorosłych, zawsze przebiera się za Gwiazdora, i stroimy chinke, i kolędy śpiewamy, i w ogóle... Staramy się spędzać Wigilię tak, jak spędzaliśmy ją w dzie-

## Wigilia we Francji

Czy emigranci polscy we Francji i Francuzi pochodzenia polskiego nadal kultywują polskie tradycje gwiazdkowe? — Jak dzisiaj wygląda Wigilia w polskich i polsko-francuskich domach? — Z czego składa się wieczera wigilijna? — Jak spędza się dzisiaj ten najważniejszy w tradycyjnym roku polskim wieczór? — Z takimi oto pytaniami zwróciliśmy się w okresie przedświątecznym do kilku naszych Rodaków.

Oto wyniki tej małej ankiety.

ciństwie. Staramy się — ale całkiem tak samo jak w dzieciństwie to już jednak nie jest. Kiedy jeszcze żyła matka, to na kolację były w Wigilię ryby, a indyka jadło się dopiero po pasterce. Dziś natomiast je się wszystko na raz, jedno za drugim... Tak ogólnie rzecz biorąc, to ja bym powiedział, że dzisiaj żyje już tylko jedna trzecia tego, co było przed wojną, tego, czego my byliśmy świadkami i uczestnikami w okresie dzieciństwa. Jak długo ta jedna trzecia będzie jeszcze przestrzegana? Jeśli idzie o opłatek na przykład, to będziemy się nim dzielić tak długo, jak długo żyć będą nasi wujowie i ciotki w Polsce. Bo przecież jeśli nie zapomnieliśmy o opłatku, jest to w dużej mierze ich zasługa. Oni każdego roku pierwszy przysyłają nam opłatek, każą nam o tej pięknej i wzruszającej tradycji pamiętać... A co z innymi tradycjami? Otóż mnie się wydaje, że placki, makowce, kolędy, Gwiazdor, itd. — że to wszystko ma jeszcze przed sobą wiele lat życia, jeśli można tak powiedzieć. Ile? Co najmniej tyle, co i my, to znaczy czterdziestolatki, ludzie mojego pokolenia...

### W PARYŻU

— Ja już Wigilię po polsku nie obchodzę, bo cała moja rodzina jest francuska — tłumaczył nam paryski księgarz polskiego pochodzenia, p. BROSKIEWICZ. — Francuzi opłatek nie znają, nie jedzą barszczu ani klusek z makiem. Ale jedziemy przed Gwiazdką do „Boutique Polonaise” i zaopatrujemy się tam w różne związane z polską tradycją gwiazdkową drobiazgi. Słuchamy też chętnie płyt z polskimi kolędami. Słowem: nie obchodzę Wigilię po polsku, ale pozostałem wrażliwy na dźwięk tego słowa, czuję je i przeżywam nadal. Gdybym mógł w ten dzień uczestniczyć w jakimś spotkaniu Polaków porozmawiać po polsku — byłbym ogromnie szczęśliwy.

— Wigilię święcę dzisiaj tak samo, jak święciłem ją za młodu w Polsce — powiedział nam właściciel paryskiego antykwariatu „Gabrielle Lorie”, p. Tadeusz KOPCZYŃSKI. — Wigilia jest dla mnie dniem bardzo uroczystym; mimo iż we Francji mieszkam od r. 1928, pamiętam nadal o wszystkich polskich tradycjach. Często obchodziłem Wigilię wspólnie z francuskimi znajomymi i muszę Wam powiedzieć, że czułem się na tych francuskich „réveillons” tak, jakbym był w Polsce. W gruncie rzeczy francuskie tradycje gwiazdkowe bardzo są podobne do naszego, polskiego obyczaju wigilijnego. Oczywiście, we Francji nie zna się opłatek. Ale ja co roku otrzymuję opłatki od sióstr z Kraju, więc moja Gwiazdka jest zawsze bardzo polska...

### Konkluzja?

Wynika chyba jasno z tych wypowiedzi, że przebywający z dala od Kraju Polacy nadal przeżywają Wigilię po polsku. Cóż, że jak powiada piosenka „język ojców stwardł”, co z tego, że nie wszyscy jedzą barszcz i kluski z makiem? Serce pozostało polskie, słowo „Wigilia” we wszystkich budzi wspomnienie dzieciństwa, rodziców, dalekiego, lecz zawsze drogiego Kraju.

## POLSKI ODDZIAŁ BIURA PODRÓŻY

# TRANSTOURS

życzy

swoim Klientom

pomyślnego Nowego Roku 1969

Przypominamy, że również w nowym roku:

- Organizujemy wyjazdy do Polski w odwiedziny do rodzin
- Załatwiamy wszelkie formalności dla wyjeżdżających indywidualnie i grupowo, samochodem, koleją, samolotem
- Dokonujemy przekazów pieniędzy do Polski (za 100 F otrzymują ok. 1440 zł)
- Sprowadzamy krewnych na urlop z Polski do Francji

## ZORGANIZOWANY WYJAZD NA WIELKANOC

informacje:

**TRANSTOURS**

22, rue du 4 Septembre, Paris (2e) lub  
49, avenue de l'Opéra, Paris (2e) métro: OPERA

oraz korespondenci terenowi



Le mini-bibliobus de Guiseniers contient des livres pour tous: des romans, des monographies, des récits pour les enfants. Et ce sont les enfants de l'école communale qui chaque samedi après-midi le promènent dans les rues de Guiseniers, ce sont les écoliers qui y propagent le goût de la lecture.

Guiseniers? C'est un village situé dans le département de l'Eure, non loin des Andelys. Le mini-bibliobus? C'est une idée de M. Philippe Desmares, l'instituteur de Guiseniers, un homme dynamique qui a pris à tâche d'amener les habitants de son village à devenir des usagers de la culture à part entière. Au début, M. Desmares installa une petite bibliothèque à l'école. Les livres étaient fournis par la Bibliothèque Centrale de Prêt de l'Eure d'Evreux, qui tous les quelques mois envoyait à Guiseniers un bibliobus. Mais cette bibliothèque n'attirait que fort peu de lecteurs, aussi M. Desmares décida-t-il de construire un „mini-bibliobus”. Bien entendu, ses petits élèves l'aiderent de leur mieux.

Comme dans nombre d'autres villes et villages de France, il y a à Guiseniers une petite colonie polonaise — une vingtaine de familles d'émigrés polonais. M. Desmares a eu la gentillesse de penser à eux, de créer à leur intention un rayon de livres polonais. Au tout début, il ne s'agissait à dire vrai que d'un mini-rayon: la collection de livres polonais du mini-bibliobus de Guiseniers ne comptait en effet que quelques livres prêtés par Mme Zofia Kosiatek... Les Polonais de Guiseniers eurent vite fait de les lire... Il fallait leur trouver d'autres ouvrages en polonais...

M. Desmares eut la bonne idée d'en parler à la directrice de la Bibliothèque Centrale de Prêt de l'Eure, Mme Françoise Buisson. Pour avoir, il y a quelques années, visité la Pologne, Mme Buisson a beaucoup de sympathie pour les Polonais. Elle écrivit au Consulat de Pologne à Paris, et peu de temps après, celui-ci remettait à la bibliothèque 80 ouvrages d'auteurs polonais — pour la plupart des oeuvres classiques.

Tant sur le plan de la propagation de la culture que sur celui de l'amitié franco-polonaise, M. Desmares vient d'accomplir un excellent travail. Nous lui présentons nos plus vives félicitations.



Każdego dnia bez względu na pogodę, troje spośród 17 dzieci państwa Alix-Béatrix, tak przemierzają wieś

# W MINI-BIBLIOBUSIE KSIĄZKI DLA WSZYSTKICH

**M**IESZKANCY Guiseniers przyzwyczaili się już do tego niecodziennego widoku. Od blisko roku co sobotę po południu dzieci szkolne ciągną przez wieś swój mini-bibliobus — mały domek na kółkach, a pod jego daszkiem półki z książkami, ustawionymi równo działami: powieści dla dorosłych, książki dokumentarne, książki dla dzieci. Oddzielny dział stanowią książki w języku polskim. Z boku domku znajduje się mały balkonik, a w nim sztywne kartki. Niewprawną ręką dzieci wpisują na nie nazwiska czytelników pożyczających książki, czasem zaś tylko imiona swych kolegów i koleżanek — Pascal, Jeannine, Veronique, czy też „Madame Catherine”, „Madame Tekla”, czy „Monsieur Slaw”.

Na kilkadziesiąt rodzin we wsi około dwudziestu to dawni emigranci z Polski, posiadający nazwiska trudne do zapamiętania dla Francuzów, i oni to właśnie w Guiseniers znani są przede wszystkim z imienia. Madame Catherine — to pani Katarzyna Szymańska, Madame Tekla — to pani Tekla Kania, o Monsieur Slaw — to pan Czesław Kosiatek.

Co chwilę w każde sobotnie popołudnie rozlega się na drodze dzwonek mini-bibliobusu, po czym na próg domu wychodzi czytelnik lub czytelniczka, ogląda interesujące książki i wybiera kolejną lekturę.

Dzieci mają z mini-bibliobusem dużo uciechy, szczególnie że „obsługują” czytelników w okolicy, gdzie mieszkają. Nauczyciel, pan Philippe Desmares, który wpadł na pomysł mini-bibliobusu i „zbudował” go wraz z dziećmi, podzielił wieś na trzy części: „La Boucaille”, „l'Eglise” i „le Village”, kolejno odwiedzane przez mini-bibliobus.

Jak doszło w Guiseniers, niedużej wsi rolniczej koło Les Andelys w departamencie Eure, do mini-bibliobusu i w nim działu polskiego?

Pan Philippe Desmares, będący od 12 lat nauczycielem w Guiseniers, od wielu już lat prowadzi, podobnie jak nauczyciele w innych wsiach departamentu, nieduży punkt biblioteczny, należący do Bibliothèque Centrale de Prêt de l'Eure w Evreux. Co kilka miesięcy przejeżdżał dotąd przez wieś bibliobus z Evreux, wymieniający skromny księgozbiór lub też przywożący zamówione książki. Punkt biblioteczny mieścił się w szkole, ale niewielu czytelników zgłaszało się wtedy



V. Kosiatek uczy się w Les Andelys. Do ub. roku była klientką bibliobusu

po książki. Wypożyczano miesięcznie 5—6 książek. Pan Philippe Desmares, z czasem coraz bardziej związany ze wsią i znający dobrze mieszkańców Guiseniers, gdyż oprócz pracy pedagogicznej zajmował się owym punktem bibliotecznym, wyświetlał i nadal wyświetla co dwa tygodnie filmy oraz jest sekretarzem merostwa, zaczął szukać sposobu lepszego dotarcia do czytelników, większego ożywienia kulturalnego wsi.

— *Przed wszystkim jestem nauczycielem — mówi p. Desmares. — Ale jestem nauczycielem na wsi, którą zresztą bardzo lubię, i moim zadaniem jest nie tylko nauczanie dzieci, ale podnoszenie kultury ogólnej mieszkańców, ożywienie życia kulturalnego.*

Tak więc, gdy p. Desmares przekonał się, że wielu Polaków, którzy przybyli do Guiseniers w latach dwudziestych lub trzydziestych, tu znaleźli pracę na roli i osiedli na stałe, dziś jest już w podeszłym wieku i nie jest w stanie czytać w języku francuskim, pożyczyl dla punktu bibliotecznego od p. Zofii Kosiatek kilka książek polskich, które przywiozła jej siostra, gdy ją odwiedziła. Odtąd Polacy od czasu do czasu mogli wypożyczać jakąś książkę w języku, który znali jeszcze z czasów młodości.

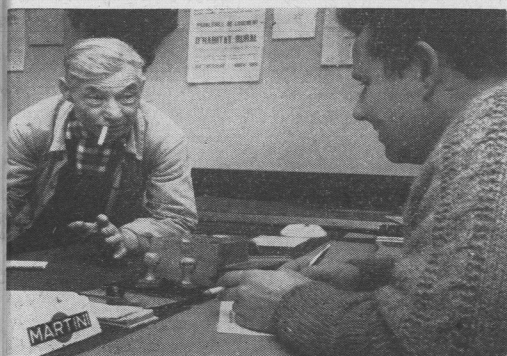
Potem p. Desmares uznał, iż przeszkodą w wypożyczaniu książek jest fakt, że trudno się ludziom wybrać specjalnie do szkoły, do punktu bibliotecznego. Trzeba pójść z książkami bezpośrednio do czytelników. Tak zrodził się pomysł mini-bibliobusu.

Kolejnym kłopotem, który p. Desmares ma już poza sobą, był fakt, że tych kilka książek w języku polskim



Dzwonek mini-bibliobusu wywołał z domu p. Katarzynę Szymańską zwaną we wsi Madame Catherine. P. Katarzyna jest stałą klientką bibliobusu





P. Philippe Desmares (po prawej) — nauczyciel i sekretarz merostwa



„Westerplatte” — książka o bohater-  
skich polskich żołnierzach 1939 roku



Wiele polskich książek p. Zofii Kosia-  
tek wypożycza p. Desmares Rodakom

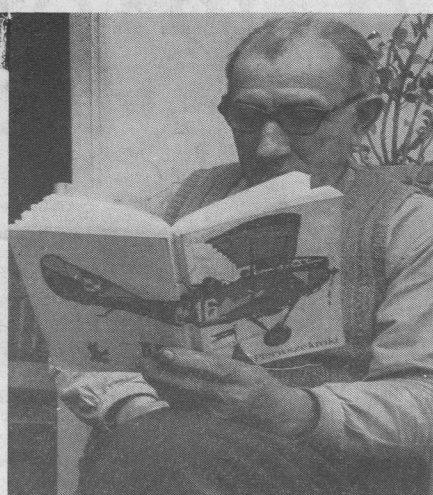


„Oby było więcej wsi jak Guiseniers”  
— mówi dyrektor p. Fr. Buisson

w większości „obeszło” już wszystkie domy polskie. Skąd zdobyć dla nich nowe książki?

Podczas kolejnej wizyty w Evreux, w **Bibliothèque Centrale de Prêt de l'Eure**, p. Desmares poprosił dyrektorkę p. **Françoise Buisson**, czy nie mogłaby zakupić kilku polskich książek dla tych starych Polaków, którzy całe życie przepracowali we Francji i czytają tylko w języku polskim. Mimo najszerszych chęci ze strony p. Buisson nie dało się tego zrobić ze względu na brak kredytów. Lecz p. Buisson, która przed laty zwiedziła Polskę i wróciła z tej podróży oczarowana wysiłkiem, dorobkiem Polski, a przede wszystkim ludźmi, wpadła na pomysł

osób 35 było czytelnikami biblioteki. Na pytanie, czy zadowoleni są z pracy biblioteki, większość czytelników odpowiedziała pozytywnie, niektórzy pragnęliby jeszcze w bibliotece znaleźć więcej książek ilustrowanych, inni proponowali, by mini-bibliobus kursował po wsi nie w soboty, lecz w czwartki, gdy odbywa się targ, oraz by „przejeżdżał” przez całą wieś co tydzień, a nie kolejno do jednej z trzech wydzielonych części wsi, czyli praktycznie co trzy tygodnie. Niektórzy czytelnicy pragnęliby, aby wkrótce można było zamienić mini-bibliobus na większy pojazd motorowy, czy nawet małą ciężarówkę. Końcowa propozycja jest natomiast wzru-



P. Waclaw Szymański — mąż p. Katarzyny jest już na emeryturze. W młodości ciężko pracował — teraz ma dużo czasu na czytanie książek



P. Tekla Kania do Francji przyjechała w 1938 r. Wraz z mężem Józefem mają dużo czasu, sporo czytają, więc są stałymi gośćmi mini-bibliobusu



P. Philippe Desmares sprawdza, czy książki są na właściwych półkach

zwrócenia się w tej sprawie do Konsulatu Polskiego w Paryżu. W liście swym przedstawiła sprawę i oto wkrótce Konsulat PRL przekazał dla biblioteki 80 książek polskich, w większości klasyków polskiej literatury pięknej — Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa, kilka książek dotyczących II wojny światowej itp. I tak Polacy w Guiseniers otrzymali nowy zapas książek w języku polskim. Przy pomocy p. Katarzyny Szymańskiej, p. Desmares przetłumaczył tytuły książek, sporządził kartoteki, zaś dla dzieci obsługujących mini-bibliobus wprowadził oddzielną numerację książek i kartotek, by nie biedziły się one nad polskimi autorami i tytułami.

Jak oceniają sami mieszkańcy Guiseniers troskę o ich lekturę ze strony p. Desmares, pomysł wprowadzenia mini-bibliobusu?

Nauczyciel i sekretarz merostwa p. Philippe Desmares swoim podejściem do ludzi i pracą dla nich zaskarbił sobie u mieszkańców Guiseniers duży szacunek i wiele wdzięczności. Szczególnie wzruszająco mówili o nim ci starzy Polacy, w stosunku do których ten młody Francuz wykazał tyle serca i zrozumienia, którym zawsze służy radą i pomocą.

Na temat mini-bibliobusu uczniowie szkoły w Guiseniers przeprowadzili nawet ankietę wśród mieszkańców wsi i jej wyniki zamieścili w nr. 5 swej gazetki odbijanej na powielaczu pt. „Reflets”. Na 60 zapytanych

szająca: by na mini-bibliobusie przy-mocować skarbonkę i składać do niej datki na wynagrodzenie uczniów za ich pracę...

Dyrektorka **Bibliothèque Centrale de Prêt de l'Eure** w Evreux p. **Françoise Buisson** jest również pełna uznania dla pracy p. Desmares i jego ciekawych inicjatyw w Guiseniers.

— U niego książki nie pokrywają się kurzem — mówi p. Buisson. — Jego pomysł z mini-bibliobusem wyprzedził naszą akcję, którą rozpoczniemy w najbliższym czasie. Zamierzamy wprowadzić tzw. „jeżdżącą bibliotekę” po małych wsiach departamentu i tym samym bezpośrednio dotrzeć do czytelników. Dotąd nasze bibliobusy jeździły po gminach departamentu i wymieniały książki w punktach bibliotecznych, gdyż księgozbiór w depozycie jednej wsi wynoszący 30 — 40 książek, musi co jakiś czas być wymieniany. Już wkrótce, podobnie jak mini-bibliobus w Guiseniers, będziemy docierać bezpośrednio do czytelników. Dużo sobie po tym obiecujemy, gdyż nasza **BIBLIOTHEQUE CENTRALE DE PRET DE L'EURE** posiada księgozbiór liczący około 42 tysięcy tomów i chodzi o to, by książki te dotarły do jak najszerszych rzesz czytelników...

Już obecnie sporo zrobiono w tej sprawie w niedużej wiosce koło Les Andelys — w Guiseniers.

Urszula KOZIEROWSKA

## KU CZCI PARTYZANTÓW Z MAQUIS DE L'OISAN

**D**LA uczczenia pamięci uczestników Ruchu Oporu — Maquis de l'Oisan — poległych w masywie alpejskim Vercors, w departamencie Isère, zorganizowana została w Huez duża uroczystość. W ramach jej odsłonięto tablicę z nazwą alei imienia bohaterów partyzantów — Maquis de l'Oisan — oraz pomnik ku ich czci. Inicjatorem uroczystości był dawny dowódca tej grupy oddziałów partyzanckich, a obecnie dowódca 93 RAM pułkownik **Baron**. Jednocześnie odbyło się wręczenie sztandaru jednostce dowodzonej przez pułkownika **Baron**.

Maquis de l'Oisan powstało w 1942 r. i odegrało wielką rolę w walkach z okupantem niemieckim. W oddziałach tych było wielu Polaków, m.in. 18-letni **Jan Stapor**, który przyjechał tam aż z La Rochelle i który został zamordowany przez gestapowców w Macon.

W imieniu **Fédération des Combattants Alliés en Europe**, której prezesem aktywnym jest p. **Pawel Poziemski**, major **Lanoin-Lespiau** wręczył 40 zasłużonym kombatanom Alianckie Krzyże Partyzanckie. W liczbie odznaczonych Polaków z pochodzenia byli: pp. **Pomagalski, Brun, Dominiak**, dawni członkowie Maquis de l'Oisan. To samo odznaczenie wręczył majorowi **Lanoin-Lespiau** dowódca 93 RAM pułkownik **Baron**.

W uroczystości wzięło udział bardzo wiele osobistości wojskowych i cywilnych, m.in. p. **Aymar** — deputowany, dr **Mauchamp** — mer Huez, p. **Thevier** — mer Pont de Claire, pułkownik **Etcheverry** — dowódca pod-

dywizji, pułkownik **Mattei**, p. **Philippi** — sekretarz Urzędu do Spraw b. kombatanów, p. **Boucher**, dyr. **Colin**, p. **Figure** i in.

Federacja Kombatanów Alianckich w Europie powołała do życia w okręgu Isère-Alpes komitet FCAE, którego przewodniczącym został major **Lanoin-Lespiau**.

## Staż dla francuskich aktorów u Jerzego Grotowskiego

Po olbrzymich sukcesach teatru Jerzego Grotowskiego w Paryżu i Aix-en-Provence, Wyższa Szkoła Dramatyczna południowo-wschodniej Francji w Aix-en-Provence organizuje w sezonie teatralnym 1968—1969 trzy staże pod kierownictwem Jerzego Grotowskiego — twórcy teatru-laboratorium we Wrocławiu, i Ryszarda Cieślaka — aktora tego teatru. Staże te organizowane są w związku z myślą o utworzeniu we Francji ośrodka studiów pogłębianych nad grą aktora i mogą w nich uczestniczyć tylko zawodowi aktorzy francuscy. Pierwszy taki staż odbył się od 25 listopada do 15 grudnia 1968 roku. Następne staże przewidziane są na kwiecień i czerwiec 1969.

Możliwość perfekcji swej gry aktorskiej pod kierunkiem słynnych w świecie artystycznym Polaków wywołała duże zainteresowanie.

## OSTATNIA NOWOŚĆ WYDAWNICZA KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU

123, Bd. Saint-Germain, Paris 6-ème — tel. 326-04-42  
EMIGRANCI — Juliusza Majcherczyka

Pierwsza powieść z życia górników polskich we Francji. W książce tej, napisanej barwnie i ze znajomością tematu, autor, blisko związany z ośrodkami emigracyjnymi, przedstawia wiernie oblicze polskiego emigranta, jego troski i radości, zmagania i ofiary, zawody i nadzieje.

Książkę „Emigranci” można nabyć w Księgarni — bądź osobiście, bądź przez zamówienie listowne lub telefoniczne.

CENA — 12 frs., koszty przesyłki nie są doliczane.



# PO LATACH ROZŁĄKI-ZNOWU RAZEM

Historia właściwie rozpoczyna się w latach dwudziestych naszego stulecia. Minęło kilka lat od zakończenia I wojny światowej. Sytuacja nie jest jeszcze ustabilizowana, Europa, szczególnie państwami, które odzyskały niepodległość, wstrząsają raz po raz kryzysy. Przybiera na sile emigracja zarobkowa do krajów bardziej ustabilizowanych. W tych to latach tysiące ludzi z młodej, niepodległej Polski ruszało na Zachód, przede wszystkim do Francji, w poszukiwaniu pracy i chleba.

Wśród tej fali emigrantów znalazło się małżeństwo Kraińskich. On rodowity włocławianin, ona z Ostrowca Świętokrzyskiego. Osiedlili się w południowej Francji. Tam przyszedł na świat syn, któremu nadano imię Sylwio, a następnie córka Lidia. Płynęły lata, dzieci rosły zapominając coraz bardziej języka ojczystego. W 1935 r. Kraiński wraz z synem przyjeżdża do Polski, do Włocławka. Matka 7,5-letniego Sylwio pozostaje z córką Lidią we Francji. Od tej chwili upłynęło 33 lata.

## Burzliwa młodość



Synowie Pułku (od lewej) Sylwian Kraiński, Henryk Kowalski i Stefan Langowski. Zdjęcie z 1945 r.



W rodzinnym gronie (od prawej) żona Henryka, Sylwian Kraiński i dzieci — Krzysztof i Urszula

**L**ISTOPAD 1968 R. Włocławek, ul. 22 Lipca 8a. Ładny, estetycznie utrzymany dwurodzinny domek piętrowy. Zełazne ogrodzenie, wyłożone płytkami chodnikowymi podwórko, w głębi niewielki budynek przypominający jakiś warsztat mechaniczny. Tu mieszka i pracuje Sylwian Kraiński. Rozmawiamy z nim o wydarzeniach z ostatnich 33 lat.

— Urodziłem się we Francji w 1928 r. Nadano mi wówczas imię Sylwio. Gdy przyjechałem z ojcem do Polski, miałem nieco ponad 7 lat i niemal zupełnie nie znałem języka polskiego. A przecież trzeba było iść do szkoły. Wówczas to ojciec chcąc wyrobić mi dokumenty musiał mnie po raz drugi w Polsce ochrzcić, a przy okazji zmienił datę urodzenia tak, żebym mógł poduczyć się nieco języka ojczystego przed pójściem do szkoły. W ten sposób zostałem Sylwianem Kraińskim urodzonym w 1931 r. we Włocławku.

— Wybuch wojny w 1939 r. całkowicie skomplikował moją sytuację życiową. W 1940 r. hitlerowcy wywieźli ojca na roboty do Niemiec i zostałem we Włocławku sam ze starszą już babcią. Dzięki temu, że zostałem „odmłodzony”, uniknąłem wywieżenia do Niemiec i jedynie pracowałem na miejscu we Włocławku. Byłem w niemieckiej księgarni chłopcem „na posyłki”. Nie wiedziałem, co się dzieje z ojcem, ani też, co dzieje się z matką i siostrą.

**Rok 1945.** Pamiętny maj. Bezwarunkowa kapitulacja III Rzeszy. II wojna światowa zakończona. We Włocławku zatrzymuje się wracający z wojny 6 Zmotoryzowany Batalion Pontonowy, który z biegiem lat przekształcił się w Warszawski Pułk Pontonowy. Liczący wówczas faktycznie 17 lat, a według dokumentów 14 lat, Sylwian Kraiński staje się synem Pułku. Nie ma on oczywiście na swym koncie bezpośredniego udziału w walkach, ale uczestniczy we wszystkich pokojowych pracach swej jednostki.

**W 1948 r. plut. Sylwian Kraiński** zdejmuje mundur. Teraz pora na naukę. Szkoła podstawowa, szkoła zowodowa, technikum mechaniczne, no i praca w Kujawskiej Fabryce Manometrów. W międzyczasie wraca z Niemiec ojciec. Rodzina zaczyna się kompletować, bo matka Sylwiana za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża odszukała już w 1946 r. syna. Wówczas to Sylwian Kraiński dowiedział się, że matka przebywała w obozie hitlerowskim we Francji. Nadeszła też wiadomość o śmierci siostry, która miała zginąć podczas bombardowania. Od tej pory datuje się listowny kontakt z matką.

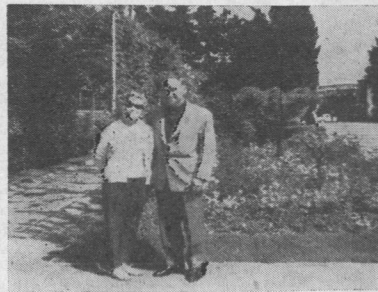
Lata płyną. Sylwian Kraiński nadal pracuje w KFM. Tam poznaje swą obecną żonę, pobierają się, przychodzą na świat dzieci, syn Krzysztof i córka Urszula. W 1957 r. umiera ojciec. Sylwian Kraiński zmienia miejsce pracy i przenosi się do Spółdzielni Elektro-Mechaniczno-Montażowej we Włocławku, gdzie pracuje w warsztacie napraw sprzętu kontrolno-pomiarowego.

Przed pięcioma laty, w 1963 r., po 28 latach niewidzenia się z synem, przyjeżdża do Polski matka. Bawi tu dwa miesiące. Jest zdziwiona i zaskoczona. Syn, z którym rozstała się jako 7-letnim dzieckiem, mimo bardzo ciężkich i burzliwych przeżyć, nie załamał się. Zdobyl fach, jest cenionym pracownikiem, założył rodzinę, kształcił dzieci. Matka nie miała słów uznania, gdy syn załatwił jej leczenie sanatoryjne w Ciechocinku. Była pełna uznania dla naszych lekarzy, personelu sanatorium. Przed rokiem matka ponownie odwiedziła syna. Kontakty są coraz częstsze.

W końcu października br. Sylwian Kraiński otrzymał list z Francji. Nazwisko nadawczyni listu

nic mu nie mówiło. Dziś Sylwian Kraiński prawie zupełnie nie zna francuskiego. Musiał prosić o pomoc córkę, uczennicę II klasy technikum ekonomicznego, która uczy się języka francuskiego. Córka przeczytała list i wtedy „wybuchła bomba”. Okazało się, że nadawczynią listu była... siostra Sylwiana — Lidia, którą od 23 lat cała rodzina łącznie z matką uważała za zmarłą.

## „Tygodnik” jest moim jedynym polskim rozmówcą



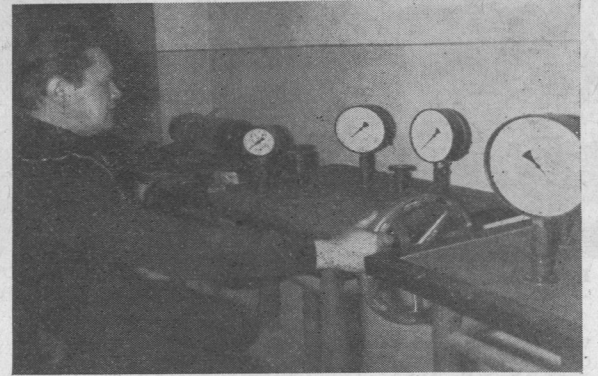
Pani Teodozja Calone wraz ze swym mężem p. Albertem Calone w czasie wycieczki do pobliskiej Nicei

**R**OZMAWIAJĄC z p. Teodozją CALONE aż trudno uwierzyć, że od blisko czterdziestu lat mieszka we Francji, w tym od ponad dwudziestu lat w Marsylii i okolicach Tuluonu, gdzie nie ma polskich skupisk i mowy polskiej nie słyszy się wcale. Pani Calone mówi piękną, poprawną polszczyzną i na moje zdziwienie odpowiada:

— „TYGODNIK” jest moim jedynym polskim rozmówcą. Czekam na niego co tydzień i wtedy czytam o wszystkim: o Rodakach rozsiadanych po całej Francji, o miastach i wsiach polskich, w kronice rodzinnej szukam nieraz znajomych nazwisk. Dla emigrantów, którzy żyją we Francji od kilkudziesięciu lat, każde słowo polskie, każde słowo o Polsce i o Polakach jest bliskie i drogie sercu. I u mnie w domu jest też kawałek Polski...

— Oto polska ceramika, obrazy, polskie haftowane serwetki lniane, a nawet mimo ciepłego klimatu tradycyjna polska pierzynka, zaś na ugaszenie pragnienia polski sok jagodowy — pokazuje ze wzruszeniem p. Teodozja.

Rzeczywiście, w jej pięknym domu, z którego okien rozciąga się urzekający widok na port w Saint-Mandrier, morze i wzgórze wybrzeża pokryte pachnącą zielenią, oprócz serdecznych myśli i uczuć do Polski, wiele tu drobniaków polskich, swojskich, stwarzających choć w drobnej części złudzenie bliskości



Sylwian Kraiński przy pracy w warsztacie

Matka z córką poszukiwały się bezskutecznie, mimo iż matka mieszka w Tulonie, a córka w Lyonie. Rodzina odnalazła się. Siostra Sylwiana — Lidia — od dawna jest już mężatką, ma troje dzieci i w przeciwieństwie do brata zupełnie nie zna języka polskiego. Dlatego też córka Sylwiana Kraińskiego Urszula jest osobą najbardziej faworyzowaną w domu. Bo przecież ona jest jedynym łącznikiem między całą rodziną...

Przed kilkoma miesiącami Sylwian Kraiński zwolnił się ze Spółdzielni Elektro-Mechaniczno-Montażowej i przystąpił jako wspólnik do prywatnego zakładu naprawy i legalizacji urządzeń pomiarowo-kontrolnych na termometry, manometry czy nawet dystrybutorów paliw. Na brak pracy nie narzeka. — Zdarza się — mówi Sylwian Kraiński — że doba jest za krótka. Odczuwam to, bo do pokoju, w którym rozmawiamy o przeszłości i teraźniejszości, co kilka chwil zaglądają interesanci i w wyraźnym niezbyt chętnym „preparaszam” wycofują się. Kończymy rozmowę. Gdy wychodzę, dobiega mnie jeszcze głos Sylwiana Kraińskiego:

— Ula, czy idziesz dziś na lekcję francuskiego?  
— Nie, mam ją jutro!

Tekst i zdjęcia: Jerzy SZUNEJKO

Kraju. A przecież wokół nic nie przypomina Polski. Egzotyczny krajobraz południowego wybrzeża Morza Śródziemnego w okolicach Tuluonu, ciepły i łagodny klimat — wszystko tu inne niż w Kraju, wszystko tu odmienne. Pani Teodozja Calone bardzo pokochała te malownicze okolice i jeżeli gdziekolwiek poza Krajem — jak mówi — może się czuć dobrze, to właśnie tutaj, na południowym wybrzeżu Francji.

Początkowo, gdy rodzice p. Teodozji przyjechali do Francji, osiedlili się w Lyonie. Tam też, pod Lyonem, w Neuville, rozstrzelany został przez hitlerowców brat p. Teodozji — Edmund STARZOMSKI. Nazwisko jego, wśród innych bohaterów, wyryte zostało na cokole Pomnika Poległych w Neuville. Tutaj, na ziemi francuskiej pochowani są też rodzice p. Teodozji. Jedna siostra mieszka jeszcze w Lyonie, no i zamężna córka p. Teodozji. Syn zaś, Sylwester, mieszka w Polsce. Ukończył technikum i osiedlił się we Włocławku. I gdy p. Teodozja może tam pojechać z wizytą — to dla niej największa radość. Z Włocławka p. Teodozja wtedy robi wycieczki. W 1967 roku pojechała do Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie spędziła dzieciństwo i szukała wzruszających śladów miejsc, które pamiętała z dawnych lat.

— Dwa razy już jeździłam do Polski na wakacje — mówi p. Teodozja. — Jest to jednak daleka stąd podróż i droga. Mąż mój, który jest Francuzem, ale również dużą sympatią darzy Polskę, pojedzie ze mną, gdy będzie na emeryturze — tak

Syn i synowa serdecznie podejmowali p. Teodozję podczas pobytu w Polsce



postanowiłam. Tyle mu przecież napowiadałam o tej Polsce, no i nieraz z zainteresowaniem przegląda również „Tygodnik” i czyta teksty, które napisane są w języku francuskim.

Pan Albert Calone pracuje w porcie w Marsylii i całkiem przypadkowo natknął się na niego przed przystanią portową w Saint-Mandrier, gdy grał w bule. Zapytany o adres żony chętnie mnie do niej zaprowadził, a po wyjaśnieniu, że jestem z redakcji „Tygodnika Polskiego” z Paryża, uśmiechnął się przyjemnie i powiedział:

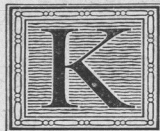
— A to dopiero żona się ucieszy, że zobaczy swoją Rodaczkę i będzie mogła porozmawiać po polsku!

Pani Calone rzeczywiście bardzo ucieszyła się z wizyty. Rzadko do niej goście polscy zaglądały, czasem odezwie się Rodaczka z jej stron pani Stefania URBANIAK z Gonesse, czasem przeczyta p. Calone jej list opublikowany na łamach „Tygodnika”.

Gdy jednak nadejdzie wigilia, która kojarzy się u wszystkich Polaków ze śniegiem i sosenką, pani Teodozja Calone zasiądzie ze swym mężem do francuskiej „reveillon”. Przedtem otworzy szeroko okna, by ciepłe, łagodne powietrze przeniknęło cały pokój i spojrzy na niebo pełne gwiazd. Pani Teodozja nie będzie sama w tym urzekającym, dalekim zakątku. Pod tym samym niebem, w dalekim, zaśnieżonym Włocławku jej syn Sylwester wraz z żoną i dziećmi zasiądzie do wigilii.

uka





OLEDY POLSKIE należą do najpiękniejszych. Jest ich ogromna ilość. Powstawały w różnych okresach czasu. Twórcy tych koled, zarówno jeżeli chodzi o melodie, jak i słowa, są w większości nieznani. W różnych dawniejszych śpiewnikach przy koledach o nieznanach autorach wydawcy po prostu zaznaczali, że koleda pochodzi „z Szamotuł” lub „spod Krosna”, „z Podhala”, „ze Śląska”, przy innych, że „z Poznańskiego”, nierzadko że „z Mazur”, „z Kujaw”, „z Mazowsza”, „z Warmii”, „z Pomorza” lub „Podlasia” itp. itp. a bardzo często z małych, szerzej nie znanych wiosek, np. „od Ludźmierza”, „ze Staniątek”, „z Jurkowiec” czy „z Parzymiechów”. Tam je odkryli zbieracze, miłośnicy folkloru, muzycy i kompozytorzy, czerpiący pełnymi garściami w swej artystycznej pracy z ludowej twórczości. Jeden z badaczy folkloru nie bez racji dowodzi, że „wiele koled musieli tworzyć początkowo plebani oraz klechowie, kantorowie i organści, którzy z plebanem chodzili po koledzie i śpiewem koled rozweselali parafian”. „Tą też drogą upowszechniły się koledy między ludem — wnioskuje inny — co niewątpliwie nastąpiło w XVI w., bo już synod gnieźnieński zakazał śpiewania koled niestosownych po kościołach”. Od dawna wiele koled miało bowiem charakter świecki, były co prawda pieśniami religijnymi, ale nie były modlitwami, a spotykało się też koledy nic z religijnością nie mające wspólnego, wesołe i humorystyczne, i prawdopodobnie o takie chodziło w szesnastowiecznej uchwale pobożnym duchownym z Gniezna.

Najstarsze znane nam dziś koledy polskie pisane ręcznie, rozproszone w różnych średniowiecznych kancjonałach, a także te z pierwszych dzieł drukowanych, zostały w Polsce Ludowej po raz pierwszy zebrane razem, przejrane przez naukowców — muzykologów, językoznawców i edytorów, zaopatrzone odpowiednimi wyjaśnieniami i pomnikowo wydane w dwóch dużych, wspaniałych tomach.\* Umieszczono w nich koledy średniowieczne i z XVI wieku. Z najstarszych w tej materii rękopisów i starodruków przeniesiono do dzieła liczne jednobarwne i kolorowe ilustracje. Tom I obejmuje teksty, tom II — nuty. Praca jest dziełem naukowym, które zachwyca muzykologa i językoznawcę, historyka sztuki i badacza literatury średniowiecznej. Ale nie tylko — może się nią rozkoszować miłośnik folkloru i pieśni, człowiek pobożny i niewierzący, a poza tym każdy, komu drogi jest dawny dorobek kulturalny narodu, wyrażony w tym dziele najstarszą pieśnią i melodią wykonywaną w okresie Świąt Bożego Narodzenia przed pół tysiącem lat. Opracowania naukowe i wyjaśniające, jakie dołączono do obu tomów, mają ponadto *resumé* w języku francuskim, są zatem dostępne dla badacza i czytelnika francuskiego.

Wielu czytelników interesuje na pewno odpowiedź na pytanie, jaka jest najstarsza polska koleda? Oczywiście koleda obecnie znana, nie ma bowiem żadnej pewności czy nie było

\*) KOLEDY POLSKIE — średniowieczne i z wieku XVI — pod redakcją Juliusza Nowak-Dłużewskiego. Teksty rękopisów i starych druków przygotowali Stefan Nieznanowski i Juliusz Nowak-Dłużewski. Opracowanie historyczno-literackie — Juliusz Nowak-Dłużewski. Zebranie i układ materiału — Stefan Nieznanowski. Opracowanie językowe tekstów polskich, wstęp, warianty i słownik — Maria Karplukówna. Identyfikacja tekstów łacińskich, weryfikacja paleograficzna, wstęp — Henryk Kowalewicz. Opracowanie tekstów i wariantów łacińskich — Danuta Turkowska. Opracowanie muzyczne, wstęp, komentarze — Krystyna Wilkońska-Chomińska. Grafika nitowa — Jerzy Niziński. Opracowanie ikonograficzne, wstęp, dobór i opis ilustracji — Zofia Rożanow. Opracowanie graficzne — Andrzej Borecki. INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX”, WARSZAWA 1966. Tom I i Teksty. Stron 298. Tom II — Opracowania i nuty. Stron 526.

Na dzieło złożyła się praca różnych ośrodków polskich. Nie tylko naukowych — uczonych, pracowników bibliotek, archiwów i muzeów, ale i produkcyjnych. Papier na dzieło wyprodukowały papiernie w Dąbrowicy (woj. bydgoskie) i Boguszowicach (woj. katowickie), a druk wykonywały drukarnie: Wydawnicza w Krakowie i Łódzkie Zakłady Graficzne w Łodzi.

Jeden ze zbiorów najstarszych koled polskich. Tytuł starodruku: „Polskie ksiągczki wielmi potrzebne ku uczeniu się polskiego, przy tym i po niemiecku wyłożone”. Wybijano w Krakowie przez Jeronima Vietora 1539. Egzemplarz jest w Bibliotece Czartoryskich



starszych, które uleciały w niepamięć, nie pozostawiając po sobie śladu. Otóż jest to koleda zaczynająca się od słów i takich nosząca tytuł „Zdrow bądź, Krolu Anielski”. Na zachowanym zapisie tej koledy widnieje rok 1424, a więc ma ona co najmniej 544 lata. Piszemy co najmniej, gdyż pieśń może być przecież starsza, a zapisana została dopiero w 1424 roku. Koleda pochodzi z rękopisu biblioteki wikariuszy w Wiślicy. Rękopis ten zawiera kazania magistra praskiego Szczekny, późniejszego spowiednika królowej Jadwigi. Wśród licznych jego kazań znakomity polski sławista Aleksander Brückner w 1897 r. odkrył na stronie 118a tę najstarszą koledę.

Druga co do wieku koleda polska „Chrystus się nam narodził” nosi datę 1435. Znajdowała się w *Kancjonał Przeworszczyka*, czyli jakiegoś księdza z Przeworska. Kancjonał ten, dziś zaginiony, był oczywiście dziełem ręcznym. Pieśń została uratowana dzięki temu, że w 1820 roku przedrukował ją z istniejącego jeszcze wówczas rękopisu Michał Hieronim Juszyński w dziele wydanym w Krakowie, a zatytułowanym „*Dykcionasz poetów polskich*”.

Następna koleda „Zstałać się rzecz wielmi dziwna” datuje się z roku 1442 i jest prawdopodobnie pochodzenia czeskiego, o czym świadczy słowo „wielmi” — bardzo.

Całość dzieła „Koledy polskie” podzielona jest na kilka części. W pierwszej zamieszczono najstarsze koledy średniowieczne, rozproszone po różnych rękopisach i drukach. W dziale drugim znalazły się koledy pochodzące z *Kancjonałów Biblioteki Czartoryskich* z 1551 roku i *Biblioteki Kórnickiej* z lat 1551—1555. Oba Kancjonały są dziełami rękopiśmiennymi. W trzeciej części są koledy z tego samego okresu, co w dziale poprzednim, ale zachowane do naszych czasów już jako starodruki. Działy czwarty i siódmy obejmują koledy z *Kancjonałów Walentego z Brzozowa*; pierwszy z 1554, drugi z 1569 r. Walenty to ksiądz z Brzozowa na Rzeszowszczyźnie. Pierwszy jego Kancjonał jest tłumaczeniem Kancjonału Łukasza z Pragi z 1541 r. Piąty dział zawiera koledy z *Kancjonału Jana Seklucjana* z lat 1547 i 1559, kaznodziei mazurskiego, który zasłynął jako wydawca i autor. Szósty dział zawiera koledy z *Kancjonału Nieświeskiego* z 1563 roku, który obecnie jest własnością Biblioteki Uniwersyteckiej w Upsali (Szwecja). Dział ósmy to koledy z *Kancjonału Piotra Artomiusza* z lat 1587 i 1596. Pierwsze jego wydanie wyszło w Toruniu i dziś już jest niedostępne w oryginale, a jedynie w przedrukach. Kolejne działy to koledy z *Katechizmu Stanisława Sudrowskiego* i *Katechizmu Wileńskiego* z 1600 r.; z *Kancjonałów Staniąteckich* z lat 1585—1600. Staniątki to wieś w pobliżu Krakowa, w której znajduje się XII-wieczny klasztor Benedyktynów; z jego zbiorów pochodzą wymienione Kancjonały. I wreszcie ostatni (XII dział) to koledy z luźnych zapisów rękopiśmiennych z XVI wieku. Ogółem w dziele znajdują się 192 koledy polskie i 83 łacińskie, czyli razem 275. Jest to olbrzymie bogactwo, chociaż obejmuje tylko pieśni zachowane z wieków XV i XVI. A ile ich z tego czasu zaginęło i uleciało z ludzkiej pamięci?

## UWAGA!

**MIESZKAŃCY TROYES  
I DEP. AUBE!**

## WIELKI BAL NOWOROCZNY

Przypominamy, że w sobotę, dnia 4 stycznia w sali **Bourse de Travail** w Troyes odbędzie się całonocny bal noworoczny Towarzystwa Pomocy Oświatowej. Podczas balu przygrzewać będzie orkiestra **BLANDINO** z udziałem polskiego skrzypka p. **Józefa Paleja**. Tańce polskie i nowoczesne.

Zarząd Towarzystwa Pomocy Oświatowej serdecznie zaprasza na bal Polonię z Troyes i okolicy.

## WIECZOREK BYŁYCH WOJSKOWYCH W Cité Jeanne d'Arc

Zgodnie ze zwyczajem panującym od lat, Koło b. Wojskowych w Cité Jeanne d'Arc, dep. Moselle zorganizowało dla członków Koła oraz ich krewnych i znajomych wieczorek towarzyski.

Podwieczorek, tańce przy muzyce polskiego akordeonisty, stare pieśni, znane z Kraju i z lat młodości („Góralu, czy ci nie żal” jest pieśnią szczególnie lubianą) wypełniły cały wieczór. Dla ludzi, którzy przebywają na emigracji od 40 lat, był on bardzo miłą rozrywką i okazją spędzenia kilku godzin w prawdziwie polskiej atmosferze.

Wśród wielu uczestników wieczoru znajdował się również polski proboszcz ksiądz **Mendrecka**.

Uczestnik wieczorku **B. B.**





Tłoczenie wina na obramowaniu słynnych Drzwi Gnieźnieńskich z XII w.

# POLACY i WINO

**N**AJSTARSZYM trunkiem jest według wszelkich przypuszczeń wino. Wiemy z mitologii, że w starożytności winem raczyli się ludzie, jak i bogowie. Grecy utrzymują, że ich ludowe wino *recina*, nawiasem mówiąc odbiegające smakiem od wszystkich win święta i przypominające raczej poznańskiego *grodzisa* zalatującego smołą, pił już sam Zeus.

Starożytni Grecy byli zresztą mistrzami w spożywaniu winnego trunku nie mniejszymi od wielu dzisiejszych Francuzów czy Włochów. Sławili je poeci, nie gardzili nim mędrcy, a szarzy obywatele delektowali się winem nie tylko dla gaszenia pragnienia. Napis wyrzuty u wejścia na słynny stadion w Delfach ponad wyrocznią Appolina na stokach Parnasu, zabraniający wchodzenia na stadion podczas zawodów z konewkami wina, jest tego wymownym dowodem. Przeczy on też twierdzeniom, że podchmieleni kibice na zawodach sportowych to zjawisko zrodzone dopiero w naszych czasach.

Po krajach europejskich rozprowadzili winną latorośl i wino starożytni Rzymianie. Wszystko wskazuje na to, że winnice nadreńskie i mozelskie wywodzą się z czasów podbojów rzymskich. Nie bez znaczenia dla rozpoznania wina w innych krajach było *chrześcijaństwo*. I chyba poprzez chrześcijaństwo dotarło ono do Polski, a więc gdzieś w X wieku. Nie znaczy to, by Słowianie nie smakowali w innych mocnych napojach. *Ibrahim ibn Jakub* — podróżnik z hiszpańskiej Tortozy, który w latach 960—965 zwiedził cztery kraje słowiańskie, podaje, że „*ich wina i upajające napoje — to miód*”, w który obfituje najrozleglejsze z państw słowiańskich, to jest „*kraj Mieszka*”. Przekaz Ibrahima ibn Jakuba jest w ogóle najstarszą wiadomością na alkoholizację temat związany z Polską. A. Brückner w „*Dziejach kultury polskiej*” dowodzi, a przeprowadził co do tego wnikliwe badania, że w czasach Mieszka I, a także wcześniej za jego ojca Ziemysława „*przy uccie napoje więcej niż pokarmy ceniono*”. Oczywiście napoje mocne, przede wszystkim owe „*słowiańskie wino*”, czyli miód.

Warzono go z wodą, po czym po kilkunastu dniach rozlewano, kiedy zaczynało kisić. Wina oraz południowe owoce, jakie przed chrześcijaństwem docierały do Słowian poprzez kupców z południa, choć z daleka pochodziły i jakby się dziś powiedziało z importu — nie wywoływały początkowo tego uznania co dobrze przyrządzony miód.

Ale z czasem i wino zyskało sobie w Polsce zwolenników i chyba nie tylko wśród kapłanów, używających tego szlachetnego trunku do celów liturgicznych. Bulla protekcyjna dla arcybiskupstwa w Gnieźnie, wydana przez papieża Innocentego II w 1136 roku, oprócz wielu posiadłości, m. in. kopalni srebra na Śląsku, wymienia także dwie winnice, z których „*jedna znajdowała się w pobliżu grodu plockiego, a druga wrocławskiego*”. Były to winnice dobrze zaprowadzone, obejmujące całe wsie, musiały zatem istnieć już znacznie wcześniej niż wskazuje na to data na pieskim dokumencie, wymienienie ich bowiem wiązało się z dochodami dla arcybiskupstwa w Gnieźnie, a dochody takie mogły dawać tylko winnice od lat uprawiane.

Hodowla winorośli nie przysłała oczywiście sama z siebie. Wymagała, podobnie jak dziś, odpowiedniej znajomości rzeczy. Jeden z dawniejszych historyków polskich, Stanisław Smolka, wyraża zdziwienie, że wino udawało się w klimacie, który na pewno od dzisiejszego nie był łagodniejszy, ale — dodaje — „*i podniebienia ówczesne mniej drażliwe były na cierpkość napoju*”, jeżeli zaś chodzi o uprawę to

„*sprawdzano początkowo z dalekich stron, z francuskiej i włoskiej ojczyzny, świadomych mistrzów tej sztuki, od których z czasem i miejscowi ludzie w niej się poduczuli*”. Stary kalendarz warszawski Gałęzowskiego z 1848 roku podaje wykaz polskich winnic i stwierdza, że dawniej uprawa wina bardziej na północ była wysunięta i dochodziła do południowych brzegów Bałtyku.

Jest jeszcze inny, bardzo stary, zachowany do dziś dowód na istnienie uprawy winorośli w Polsce już w pierwszych okresach państwowości, a mianowicie słynne *Drzwi Gnieźnieńskie*. Może je każdy oglądać, kto odwiedzi Gniezno. Znajdują się w miejscowej katedrze. Pochodzą z XII wieku, są rodzimym dziełem nieznanym już dziś z nazwiska miejscowych artystów polskich, są zarazem jednym z najwspanialszych dzieł europejskich tego okresu, świadczą o niezwykle wysokim poziomie ówczesnej Polski. Otóż na obramowaniu tych słynnych drzwi, przedstawiających sceny z życia św. Wojciecha, znajdują się najstarsze plastyczne dowody o uprawie wina w Polsce. Motyw z winem powtarza się kilkakrotnie. Widoczna jest winna latorośl, praca w winnicy, zbieranie winnego owocu, czyli winobranie, a także tłoczenie wina.

W Polsce istnieją obecnie winnice w Warce, na południe od Warszawy oraz na przedmieściach Zielonej Góry. Winnice w Warce wywodzą się prawdopodobnie jeszcze z tych, które wymieniała Bulla Innocentego II z 1136 roku, są zatem starsze niż Warszawa. Jeżeli chodzi o winnice zielonogórskie, gdzie winobranie połączone jest z uroczystościami ludowymi, jak w wielu krajach słynnych z wina, to pierwsza wiadomość o ich istnieniu pochodzi z 1314 roku. Można więc przyjąć, że są one znacznie starsze. Trzeba bowiem

pamiętać, że zaaklimatyzowanie się winnej latorośli na terenach polskich odbywało się daleko wolniej niż w Francji czy w Nadrenii. Mieli ją podobno w Zielonej Górze zaprowadzić flamandzcy przybysze.

Z późniejszych kronik zielonogórskich wiadomo, że plantacje wina nieraz ulegały zniszczeniu i trzeba było wszystko zaczynać od nowa. I tak w 1338 r. zniszczyła winną latorośl plaga szarańczy, a w jakiś czas później jeszcze nie rozwinięte rośliny doszczętnie pokonał mróz. Zdarzyła się nawet 13-letnia przerwa w uprawie zielonogórskiego wina wskutek niepomyślnych warunków klimatycznych. W roku 1466 sprowadzono z Francji, Węgier i Austrii nowe gatunki winnego krzewu, bardziej odporne na miejscowy klimat.

Zielonogórskie wino nie może oczywiście konkurować z winami krajów typowo winnych. Ale w jego historii jest jeden fakt godny zantowania. Otóż Polacy z okolic Zielonej Góry, emigrujący w XIX wieku za Ocean, którzy dotarli do Australii, przyczynili się tam do uprawy wina na równi z emigrantami francuskimi i niemieckimi. Szczególnie ci, którzy osiedlili się w okolicach *Sevenhill*, bardzo zasłużyli się przy założeniu winnic w południowej Australii i — jak czytamy w polonijnych publikacjach z

Australii — „*na niejednej piwnicy u wejścia do lochu wyrzute są polskie nazwiska ich twórców i pierwszych robotników, a Seppeltowie — australijscy magnaci winni, mają w sobie krew polską*”.

Niejednokrotnie w „*Tygodniku Polskim*” zamieszczaliśmy reportaże z winnic różnych okolic Francji, których właścicielami są Polacy albo już dziś Francuzi polskiego pochodzenia. Opanowali oni uprawę wina i jego wyrób, wykazując przy tym nie tylko pracowitość, ale i dużo talentu. I w tej dziedzinie emigracja polska we Francji może się poszczycić pewną tradycją, a nawet poważnymi sukcesami, gdyż dawniejsi emigranci polscy po przeróżnych próbach zapewnienia sobie egzystencji, brali się nieraz do pracy przy winnej latorośli i produkcji wina. Niektórzy osiągnęli poważne sukcesy. *Piotr Kopczyński* (1793—1860), były powstaniec z 1831 roku, działacz emigracyjny, chemik z wykształcenia i wynalazca, założył w latach czterdziestych ub. wieku winnicę doświadczalną w okolicy Tours i doszedł do pięknych wyników w zwalczaniu chorób rośliny winnej. Ogłosił z tej dziedziny rozprawę w „*Journal des travaux de l'Academie Nationale* (w zeszycie kwietniowym 1845), a w 1857 otrzymał nagrodę paryskiej *Societe d'Encouragement pour l'Industrie Nationale* za pracę o chemicznym zwalczaniu chorób winnej latorośli. Jego metoda przyjęła się w wielu okolicach Francji.

Niedawno prasa polonijna doniosła, że na terenie Afryki Południowej, Polak dr *Józef Kokurowicz*, pochodzący ze Stanisławowa, ur. w 1899 r., który osiadł w 1948 r. w *Cape Province*, dokonał w tym kraju przewrotu w hodowli winogron przez zastosowanie nowoczesnego europejskiego systemu szkółkarstwa, odpowiednią selekcję krzewów i wynalezienie sposobu na zwalczanie grzybka *botritis*, który dotąd powodował masowe gnicie gronowego owocu.

Przytoczone przykłady na pewno nie są jedynymi sukcesami emigrantów polskich, osiągniętymi na obczyźnie w hodowli i produkcji najwspanialszego z alkoholowych napojów.

Antoni GÓRSKI



Winobranie

**LA BOUTIQUE POLONAISE**  
*poleca następujące płyty:*

## KOLEĘDY

XL 0184 **BOŻE NARODZENIE W POLSCE** (13 kolęd)

śpiewa chór męski przy kościele św. Jakuba w Warszawie: Bóg się rodzi — Wśród nocnej ciszy — Jezus malusienki — Anioł pastercom mówił — Lulajże Jezuniu — Triumfy Króla Niebieskiego — Kołysanka Marii Panny — Gdy się Chrystus rodzi — Przystępujemy do szopy — W żłobie leży — Mędrcy świata — Pasterze mili — Pójdźmy wszyscy 22,00 F

XL 0190 „**MAZOWSZE**” ŚPIEWA KOLEĘDY (12 kolęd)

(mono, stereo) Bóg się rodzi — Wśród nocnej ciszy — Przybieżeli do Betlejem — Jezus malusienki — Lulajże Jezuniu — Z narodzenia Pana — Dzisiaj w Betlejem — Anioł pastercom mówił — Gdy się Chrystus rodzi — Mędrcy świata — Gdy śliczna Panna — Bracia patrzcie jeno 22,00 F

**25, rue Drouot PARIS 9<sup>e</sup>**  
**téléphone: 770-83-37**  
**c.c.p. Paris: 189.46.68**

## CANTIQUES DE NÖEL

XL 0209 **HEJ KOLEDA, KOLEDA** — śpiewają „**POZNAŃSKIE SŁOWIKI**”

(mono, stereo) pod dyrekcją Stefana Stuligrosza (12 kolęd)  
W szopie we żłobeczku — Gdy się Chrystus rodzi — Dzisiaj w Betlejem — Oj maluski, maluski — Bracia patrzcie jeno — Z narodzenia Pana — Cicha noc — W żłobie leży — Lulajże Jezuniu — Gdy śliczna Panna — Jezus malusienki — Jasna Panna 22,00 F

V 0101 **KOLEĘDY POLSKIE** (45 tours)

Anioł pastercom mówił — Przybieżeli do Betlejem — Z narodzenia Pana — Lulajże Jezuniu 8,00 F

V 235 **KOLEĘDY** (45 tours)

Wśród nocnej ciszy — Mizerna cicha — Noc cicha w śnie — O gwiazdo betlejemską — Dalejże chłopcy — Zjawilo się nam 8,00 F

Do cen powyższych doliczamy koszty przesyłki pocztowej. Katalogi na żądanie bezpłatnie. Oprócz wyżej wymienionych posiadamy wielką ilość płyt muzyki klasycznej, lekkiej i ludowej.



La découverte de la production du fer, qui date d'environ 3500 ans, a joué un rôle de première grandeur dans le développement de la civilisation matérielle de l'être humain. Mais le commun des mortels ne sait en fait rien ou presque sur la technologie de cette production. Ce n'est que vers le milieu du XVIII<sup>ème</sup> siècle que les chercheurs polonais ont essayé en Pologne de répondre à cette question passionnante s'il en est. Stanisław Staszic, considéré à juste titre comme le père de la géologie et de la sidérurgie modernes polonaises, a découvert au

cours d'une de ses randonnées à travers la Pologne, dans la région de Łysa Góra, toute une agglomération de fours primitifs autour desquels, sous l'herbe, on apercevait des couches de mâchefer. Il s'avérait ainsi qu'il y a environ deux mille ans de cela la partie nord des Monts Świętokrzyskie était un véritable centre de l'industrie du fer. Les recherches entreprises plus tard prouvèrent d'autre part que le fer et les instruments produits ici étaient exportés vers toutes les régions de l'Europe d'alors, entre autres vers Rome. Il y a

treize ans, un groupe de savants de Cracovie décida de produire du fer comme cela se faisait il y a vingt siècles, on reconstruit donc certains fours et la fonte commença. Aujourd'hui cette expérience a servi de prétexte pour organiser à Słupia Nowa une fête folklorique du fer appelée Dymarki. Au cours des festivités, pendant lesquelles le touriste (50 000 cette année) peut observer comment travaillaient les premiers métallos, on organise un grand festin folklorique auquel nous vous invitons pour l'année prochaine.



Wejścia na teren „Dymarek”, jak przed dwudziestu wiekami, bronili „groźni słowiańscy wojowie”. Wieżę wartowniczą zrekonstruowano starannie na podstawie wykopalisk prasłowiańskiej osady w Biskupinie (powiat Znin). Wartownicy wpuszczali tylko „zaufanych przyjaciół”

**W  
1968  
JAK  
2000  
LAT  
TEMU**

# CZARY NA ŁYSEJ GÓRZE

24 godziny trwał proces wytopu żelaza w piecach dymarkowych. Zgodnie ze starą metodą hutnicy przez cały ten okres podtrzymywali ogień poprzez wdmuchiwanie powietrza do glinianych pieców skórzanymi miechami. Proces ten obserwowali z zainteresowaniem najmłodszy uczestnicy „Dymarek”



ESLI w XX wieku odkrycie tajemnicy atomu stanowiło punkt zwrotny w dziejach rozwoju współczesnej cywilizacji, nie będzie przesady w twierdzeniu, że opanowanie w XIV w. p.n.e. sposobu produkcji metalu zwanego żelazem miało najpoważniejszy wpływ na dalsze losy ludzkości. Historia tego odkrycia do dziś jeszcze nie jest znana i frapuje uczonych na całym świecie.

O wysiłkach i sposobach polskich uczonych uczestniczących w rozwiązywaniu tej tajemnicy i radosnym świętowaniu świadków ich sukcesów chciałabym Czytelnikom krótko opowiedzieć.

## SZUKALI Z LOTU PTAKA

Wprawdzie już Stanisław Staszic zwiedzając Góry Świętokrzyskie zwrócił uwagę, że „w całej okolicy tej Łysej Góry kilka mil wokoło znajduje się po polach niezliczone mnóstwo rozrzuconych żużli żelaznych”, ale wzmianka ta nie zainteresowała uczonych. A te właśnie żużle występujące na ogromnej powierzchni (800 km<sup>2</sup>) dały znać, że w północnym rejonie Gór Świętokrzyskich istniał kiedyś okazały ośrodek hutniczy produkujący żelazo.

Dalszy ciąg na str. 14

14 i 15 września Słupia Nowa gościła przeszło 40 tys. turystów z całej Polski. Takiego najazdu gości nie pamiętali najstarsi mieszkańcy miasteczka







Świętokrzyscy hutnicy faktycznie odbywają czynną służbę wojskową. W nieco innym „umundurowaniu” z wielką pieczołowitością czuwali nad produkcją żelaza. Pracowali równie wydajnie, jak prastawiańscy prahutnicy. Otrzymali surówkę żelaza o właściwościach jak w wykopaliskach kieleckich

# CZARY NA ŁYSEJ GÓRZE

Procesem produkcji żelaza według recepty sprzed 2000 lat kierował odkrywca pieców dymarkowych na Łysej Górze — znany uczonec dr K. Bielenin



Po rozbiciu pieca dymarkowego wygaszano i studzono gorącą metaliczną gąbkę. Zbijano ją drewnianym młotem, aż utworzył się kawał żelaza zwany „łupką”. Łupka podlegała dalszej obróbce i jako gotowy półfabrykat kowalski wędrowała aż do wielkiego imperium rzymskiego. Wiadro jest z XX wieku



Przed 13 laty zespół naukowców krakowskich pod kierunkiem prof. Mieczysława Radwana (zmarł w styczniu 1968 r.) oraz dr Kazimierza Bielenina rozpoczął systematyczne badania naukowe, nie podejrzewając, że przyniosą one rewelacyjne wyniki, zmieniające poglądy na odległe dzieje Europy. Początki badań oparte były na odnalezieniu w tym rejonie wielu prymitywnych pieców hutniczych zwanych dymarkami. Odkryto także liczne miejsca, w których hutnicy przygotowywali paliwo i rudę do wytopu. Naukowcy zastosowali obserwacje samolotowe (z lotu ptaka pozostałości po dymarkach zaznaczają się inną barwą gleby, a także rosnącej na niej roślinności) oraz badania magnetyczne. Okazało się wówczas, że chodzi tu nie o tysiące, lecz setki tysięcy stanowisk hutniczych, co było świadectwem istnienia jeśli nie największego, to na pewno jednego z największych w Europie ośrodków produkujących żelazo w okresie zwanym w historii „rzymskim” (mniej więcej koniec IV w. n.e.).

## EKSPORTOWALI DO RZYMU CEZARÓW

Badania trwają. Do chwili obecnej odkryto przeszło 600 tysięcy pozostałości po piecach dymarkowych. Dziś „dymarki świętokrzyskie” stały się sławne na cały świat. Nigdzie w Europie na wschód od Renu i na północ od Dunaju nie występują one w tak zmasowanej ilości. Świadczy to z kolei, że ów prastawiański przemysł hutniczy był z pewnością nastawiony na eksport. Potwier-

Ostatnią fazę wytopu żelaza w dymarkach — odzielanie żelaza od gliny wykonywano długim drągiem. Wszystko odbywało się na oczach zebranych





dzeniem tej hipotezy jest następujący fakt. Z jednej dymarki otrzymać można około 15 kg czystego żelaza, taka zaś ilość produkowanego żelaza, zważywszy na ówczesne stosunki cywilizacyjne w tym regionie — nie mogła być zużyta na miejscu. Odbiorcą było imperium rzymskie, co potwierdzają liczne znaleziska monet, jakimi importerzy płacili za świętokrzyski produkt. Stwierdzono, że eksport obejmował tzw. „kęsy”. Z pieca dymarkowego wydobywano gorącą gąbkę metaliczną, którą drewnianym młotem zbijano w jeden kawał żelaza zwany „łupką”. Łupka podlegała dalszej obróbce. Kilkakrotnie ją wygrzewano i przekuwano, po czym przybierała mniej lub bardziej jednolity i foremny kształt, czyli „kęs”. Prośłowiańscy hutnicy sprzedawali więc nie surowiec, lecz półprodukt nadający się do natychmiastowej obróbki — przede wszystkim do produkcji broni.

### BOGATE PLEMIE SŁOWIAŃSKIE

Czyżby więc do wielkości i potęgi imperium rzymskiego przyczyniło się świętokrzyskie żelazo? Na te i inne liczne pytania starają się dać dziś odpowiedź polscy naukowcy, którzy pod kierunkiem prof. Mieczysława Różańskiego i dr Kazimierza Bielenia prowadzą dalsze prace puzukiwawcze i badania naukowe na tym terenie. Dotychczasowe odkrycia pozwalają przypuszczać, że dwa tysiące lat temu na terenach Kielecczyny istniał ustrój plemienny-państwowy posiadający

scentralizowaną władzę oraz własne siły zbrojne, strzegące najbardziej atrakcyjnego bogactwa ówczesnych czasów: tajemnicy produkcji żelaza. Istniał zatem podział pracy: hutnicy zajmowali się produkcją żelaza — podstawowego źródła dobrobytu plemion, a wojowie zapewniali im bezpieczeństwo itd. Wszystko wskazuje, że region ten musiał zaliczać się wówczas do obszarów bardzo wysoko cywilizowanych i dalekich od dzikości. Stanowi to jeszcze jeden dowód, że nasi przodkowie, hutnicy świętokrzyscy, jak ma to wskazywać źródła archeologiczne będące bez wątpienia Słowianami — nie stali niżej pod względem cywilizacji od swych sąsiadów, lecz w wielu dziedzinach ich przewyższali.

### PACHOŁKOWIE WIEŻLI WICI

Dwa tysiące lat później w niewielkim miasteczku województwa kieleckiego Słupi Nowej powtórzone zostało najpiękniejsze i najbardziej barwne widowisko folklorystyczne „Dymarki Świętokrzyskie 1968”.

A więc zadymiliśmy żół — jak przed wiekami pod Łysą Górą — prasłowiańskie piece hutnicze. Początek obwieściły płonące wici, z którymi przecielili konno przez miasto przebrani w słowiańskie stroje pachołkowie. W chwili potem Gospodarz Ziemi Kieleckiej mgr A. Zarajczyk osobiście rozpalili pierwszy ogień w ziemnym piecu hutniczym. Używał, jak przed 2 tys. lat, płonących

„Dymarki” obfitowały w liczne imprezy artystyczne. Z Mąchowie zjechał słynny zespół wokalo-taneczny, który dał pokaz pełnych temperamentu tańców i przyspiewek kultywowanych na ziemi kieleckiej



„Jakoś się zaliczał, kiełbasa wisiała, jakoś się ożenił — gdzieś się zapodziała” śpiewa starosta na „Weselu kieleckim”, które przedstawił zespół „Studniany”



szczapek smolnych. Od tej chwili do wieczora w niedzielę trwał proces wytopu żelaza metodą dawnych świętokrzyskich hutników.

A więc w ciągu dwóch lat z wielkiej imprezy zrodziła się w regionie kieleckim impreza nie mająca zbyt wielu odpowiedników nawet w skali Europy. „Dymarki” stały się już tradycją i weszły do turystycznego i kulturalnego kalendarza Polski. W przyszłym roku zamierzają organizatorzy zaprosić również gości z zagranicy.

### SUPER-JARMAK LUDOWY

Obok tej największej atrakcji, organizatorzy przygotowali 40 tysiącom turystów, którzy przybyli do Słupi Nowej, wiele innych imprez.

Na principalnej ulicy odbywał się „Jarmark nad jarmarkami”. W drewnianych, pokrytych słomą kramach rozłożyli swe dzieła ludowi twórcy, słynni nie tylko w Polsce, lecz i na świecie, garnarze z Iłży, z Chałupek, i Opatowskiego. Na czele ich byli: Armański, Sowiński i Głuszka. Sprzedawali piękne dzbany i dzbanuszki, figurki, ptaszki gwiżdżące i okaryny, wykonywane także na oczach otaczającej ich publiczności.

Z Ostrowca Świętokrzyskiego przybyła 7-osobowa rodzina mistrzów ceramiki Bąblów, których wyroby cieszą się niebywałym powodzeniem w USA. W jednym z kramów rozłożyli swe figurki z drewna — „świętki” — Henryk Zegadło, laureat niedawnej wystawy w Szwajcarii. Piękne w swej prostocie drewniane figurki świętych, jakie przetwarzały w ludowych legendach, wystawiał Zegadło już w Rzymie, Stuttgarcie, Nowym Jorku i Bratysławie, nie mówiąc o indywidualnych i zbiorowych wystawach w Kraju.

W czasie „Dymarek” świętki szły jak woda — po rewelacyjnie niskich cenach; przeszło stu uczestników świętokrzyskiej imprezy stało się posiadaczami rzeźb, o których marzą koneserzy sztuki ludowej na całym świecie.

Siedemdziesięciokilkuletni Józef Piłat z Morawicy wystąpił z wzruszającymi w swej prostocie i prymitywizmie rzeźbami Matki Boskiej Modłacej, wykonanej — jak to sam określił — „z buczyny”, i szczególnie pięknym Panem Jezusem niosącym krzyż, kilkoma rzeźbami, których motywem jest ulubiony przez artystę amioł zwyciężający szatana, i wielu innymi. Wasz reporter nie zdażył już ich zobaczyć, bo zostały sprzedane „na pniu”.

W innych kramach rozgościli się kowale, którzy kuli pamiątki z rudy żelaznej miejscowego wytopu, tkaczki i tkacze, mistrzynie wycinanek, malarze z na wskroś oryginalnym „świętokrzyskim Nikiforem” — Stanisławem Bąkiem z Bielin. Jego zastanawiająco kolorowe, dziwne obrazki są bardzo wysoko cenione przez znawców malarstwa prymitywnego.

### BYŁ NAWET BARAN Z ROŻNA

Obok stawy duchowe przygotowali organizatorzy liczne stoiska z jadłem i pićm, w których mogli się posilać utrudzeni licznymi wrażeniami uczestnicy „Dymarek”. Wszystko to się działo w takt melodii piosenki i tańców wykonywanych non-stop przez 22 zespoły folklorystyczne z powiatów: iłżeckiego, opatowskiego i kieleckiego. Wśród najbardziej rewelacyjnych należy wymienić słynny zespół Felinków z Masłowa pod batutą Józka Ksela, kapelę Kantery z Ostrowa i niewieści kwartet pieśniarski z Mąchowie, w którym pani Ewcia na poczekaniu układała okolicznościowe piosneczki, budzące ogromną wesołość słuchaczy.

W niedzielę pod wieczór nastąpił kulminacyjny moment: na oczach wielotysięcznej publiczności przebrani w dawne stroje hutnicy przystąpili do uroczystego wydobycia gotowej, wytopionej bryły żelaza.

Na zakończenie na zbocz Łysej Góry w zrekonstruowanej prasłowiańskiej osadzie leśnej odbyło się bajkowe widowisko o życiu, radościach i smutkach dawnych jej — pogańskich jeszcze — mieszkańców. Był stos ofiarny, tańce i śpiewy, a nawet pieczenie jagnięcia na rożnie.

### KRYSTYNA MAŃKOWSKA

Do Słupi Nowej jechali goście wszystkimi możliwymi środkami lokomocji. Wozami z pobliskich wiosek, autami i motorami z dalszych stron Polski





A prendre et à laisser

## UN HOMMAGE EN IMAGE

Dans quelques mois, nous allons tous célébrer le trentième anniversaire du déclenchement de la deuxième guerre mondiale, de cette guerre qui fut la plus sanglante de tout ce qu'a connu l'humanité. A l'encontre de la guerre mondiale numéro un, de cette fameuse „der des der”, les dernières hostilités globales ont eu ceci de particulier qu'elles se déroulèrent vraiment à l'échelle mondiale, qu'elles n'épargnèrent aucun continent; d'autre part, cette guerre déclenchée par les pires ennemis de l'humanité se fit non seulement sur les champs de bataille, mais également au sein de la population civile. Cet aspect caractéristique de la guerre causée par l'impérialisme prussien fit que les civils, hommes et femmes et même les enfants, prirent une part active à ce que l'on appela à travers toute l'Europe la Résistance. Tout comme les crimes et les malheurs dus à la folie criminelle des hitlériens n'avaient pas de frontières, le combat, la Résistance avaient, qu'on le veuille ou non, un aspect international jamais connu auparavant. Quand un soldat britannique ou soviétique tombait sur le champ de gloire, il mourrait non seulement pour sa patrie, mais également pour le Polonais, le Norvégien ou le Français qui se trouvait sous le joug nazi.

Ce caractère internationaliste de la lutte commune contre l'ennemi commun a trouvé son expression la plus entière dans la Résistance. Les rangs du maquis de France, tant ceux des réseaux gaullistes que des Francs-Tireurs et Partisans, étaient ouverts à tous ceux qui étaient animés du même esprit de sacrifice, qui désiraient faire quelque chose, même loin de leurs patries, pour accélérer l'arrivée de l'heure de la victoire de l'Homme Libre sur le monstre hitlérien. Partout en France les divers maquis, les nombreuses organisations de résistance comptèrent des milliers de soldats de l'ombre qui, bien que d'origine étrangère — espagnole, polonaise, autrichienne, belge, arménienne, italienne, tchèque etc. — se sentaient français, non seulement parce que la France était devenue leur seconde patrie, mais parce que c'était là que passait la ligne du front contre l'ennemi haï dont la défaite signifiait la liberté pour tous.

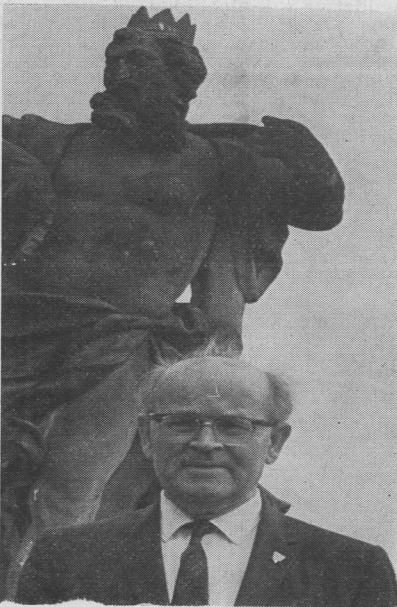
Les Polonais constituaient parmi ces étrangers une troupe d'élite sur laquelle on pouvait compter non seulement en raison de son nombre, mais surtout parce qu'ils étaient prêts à se battre jusqu'à la mort contre ceux qui les avaient traitreusement attaqué le 1 septembre 1939. Parmi eux il y avait des ouvriers, des mineurs, des garçons de ferme qui étaient venus en France bien avant la guerre pour pouvoir vivre; il y avait des anciens soldats de l'Armée Polonaise constituée en France après la défaite de la Pologne; il y avait aussi des anciens soldats des Brigades Internationales d'Espagne qui reprenaient le combat contre le même ennemi. Ils étaient partout présents. Au sud, dans les Alpes, le Massif Central et aux pieds des Pyrénées; dans le nord, dans les corons, à l'ombre des terrils; dans la région parisienne; en Lorraine; dans les Ardennes; en Bretagne. Ainsi nombreux furent les détachements des FTPF composés moitié-moitié de Français et de Polonais; les divers réseaux de Résistance en contact avec Londres comptaient également des Polonais, sans parler des FFI qui à la fin de la guerre avaient dans leurs rangs plusieurs unités composées et commandées par des soldats et des officiers polonais. Et tous combattaient pour un même idéal qui peut être résumé par les derniers propos de Stanisław Kubacki, un des héros du célèbre procès des 23, qui écrivait quelques instants avant de se trouver face au peloton d'exécution: „Je meurs pour la Liberté, pour la France, pour la Pologne”.

La dernière guerre a servi de thème à de nombreux films où la fiction est souvent gênante pour ceux qui ont vraiment vécu „le temps du mépris”. Je propose de promouvoir un mouvement parmi tous nos lecteurs en faveur de la création d'un film qui rendrait hommage à tous les héros franco-polonais qui sont tombés et ont combattu pour la liberté de nos deux pays. Ce film pourrait être tourné en co-production franco-polonaise. Le scénario est tout prêt — il suffit de relater ce qui s'est vraiment passé. De prendre contact avec tous ceux qui vivent en France et en Pologne et qui ont participé à cette épopée. C'est surtout à vous que je m'adresse — donnez-nous votre opinion, apportez vous suggestions. Ce sera, je crois, une façon originale et permettant d'atteindre tous les milieux de rendre hommage aux frères d'arme de la dernière guerre. Un tel Film serait le bienvenu sur les écrans pour le 25-ème anniversaire de la fin de la deuxième guerre mondiale.

GAL



serdeczne powitaniem  
Czytelnikowi  
Tygodnika polskiego  
we Fran. 21  
Z wyrazami wykładu  
Sła  
S. Mrożewski  
22.12.68



Stefan Mrożewski w Wilanowie



S. Mrożewski: J. DŁUGOSZ, KRONIKARZ

S. Mrożewski: Z CYKLU „MILENIUM”



## ARTYSTA POLSKI ZZA OCEANU PARTYZANCKIE ARTYSTYCZNE I EMIGRACYJNE KOLEJE STEFANA MROŻEWSKIEGO

Typowy to Polak na obczyźnie, 72-letni artysta-plastyk Stefan Mrożewski 43 lata przeżył na emigracji (od 1925—1932 we Francji), ale na czas wojny przybył do Ojczyzny, by walczyć w partyzantce kieleckiej o jej wolność. Od siedemnastu lat mieszka wraz z żoną i synem w Kalifornii, pod San Francisco. Obecnie po raz pierwszy od 1945 r., kiedy to wrócił do Francji — odwiedził Kraj, gdzie trwają przygotowania do wielkiej wystawy retrospektywnej w Muzeum Narodowym w Warszawie, obrazującej dorobek artystyczny jego niezwykłego życia.

Jak wspominają państwo Mrożewscy swój ostatni pobyt w Polsce — a więc lata 1939—1945? — Jak po upływie czasu widzą swój kilkunastoletni pobyt we Francji? — Jak i czym żyją dzisiaj na emigracji w Kalifornii?

**S**WIETNE drzeworyty, zespoły ilustracji do kilkudziesięciu bibliofilskich wydań dzieł literatury polskiej, francuskiej, hiszpańskiej i włoskiej — to tylko część bogatego dorobku artystycznego. Są też rzeźby i projekty witraży oraz wspaniałe malowidła ściennie zdobiące liczne kościoły amerykańskie.

### ŻYCIE W PARYŻU

Z Francją Stefan Mrożewski związany był żywo w latach (1925—32, 1945—47, 1947—51), których ukoronowaniem był Grand Prix na Wystawie Międzynarodowej w Paryżu (1937). Tuż po zakończeniu wojny, w czerwcu 1945 r. Stefan Mrożewski z dżetem i „Boską komedią” w kieszeni wrócił do Francji i zamieszkał w Robinson.

Już w dwa miesiące po przyjeździe wykonał szereg ilustracji do bibliofilskich wydań książki Alberta Camusa pt. „Petit Trianon”, a później zestaw ilustracji do „Belle et la Bête” oraz starofrancuskiej legendy „Chaque homme”. Tu odnalazł stale zamieszkałych w Paryżu dawnych i nowych przyjaciół, artystów-malarzy i literatów, jak Alicja Halicka, Maria Szczyt-Lendnieka, Jan Kwiatkowski, Zygmunt Mankes — nagrodzony ostatnio za całokształt twórczości, Henryk Gotlieb, Feliks Topolski, Tadeusz Piotr Potworowski, Bolesław Lechoń, Józef Witił, Kazimierz Wierzyński. Stąd wyjeżdżał Mrożewski do Holandii, gdzie sztuka jego znana i ceniona była bardzo wysoko. We Francji obok wystaw twórczość jego i postać spopularyzowała m. in. książka Pierre Morlanda pt. „20 artistes illustres des livres”.

Z Anglii do Polski przyjechali pp. Mrożewscy w czerwcu 1939 r. „Wojna wisiła już w powietrzu, chcieliśmy być w Ojczyźnie, groziło jej przecież niebezpieczeństwo” — mówią dzisiaj. Osiedli na Kielecczyźnie, we wsi Sodół pod Jędrzejowem. W dwa miesiące po wybuchu wojny wstąpili w szeregi organizacji konspiracyjnej AK, by jak inni Polacy służyć Krajowi.

Zaczęły się tułaczki po lesie, wsiach powiatów włoszczowskiego i szczekocińskiego, jak: Dzierzków, Czaryż, Secenia. Pani Irena Mrożewska — żona artysty (pseudonim „Kundzia”) wśród mieszcowskiej ludności zwana była „generałem w spódnicy”.

### GENERAL W SPÓDNICY

W szmacianych butach, męskiej kurtce, na rękawie której od pierwszego dnia wojny nosiła opaskę Czerwonego Krzyża, i w chustce na głowie, organizowała pomoc pierwszym ofiarom wojny. Wkrótce założyła w budynku szkolnym w Dzierzkowie szpital na kilkanaście łóżek. Pielęgnowała rannych z oddziałów „Marcina”, a w czasie ostatniego półtora roku wojny także z oddziałów „Nurta”, który zapisał się trwale w historii walk partyzanckich w Sandomierskim i w Kieleckim.

„Były to czasy, w których się żyło wyłącznie dla współrodaków, człowiek był potrzebny, coś się robiło” — wspomina po blisko 30 latach.





Podczas pobytu w Polsce pp. Mrożewscy zamieszkali w pałacu



S. Mrożewski

POWSTAŃCY

„Produkowałem fałszywe dokumenty dla partyzantów. Pamiętam, jak dla „Nurta” wystawiałem dokument. Wypisy były prawidłowo sfalszowane, ale dokument miał wadę — był zupełnie nowy. Niemcy mogli zakwestionować jego wiarygodność. Rzuciłem dokument na podłogę, deptałem go dopóty, dopóki nie miał wyglądu autentycznie zniszczonego”.

Syn państwa Mrożewskich — 11-letni Andrzej w chwili wybuchu wojny — przez cały okres okupacji dzielił losy rodziców. Był dobrze znanym łącznikiem (ps. „Bliźna”). Cała rodzina przetrwała wojnę, a wyzwolenie zastało ich na Kielecczyźnie 13 stycznia 1945 r.

Od pierwszych dni pp. Mrożewscy stanęli w szeregach ludzi najaktywniej odrabiających straty wojenne. W Katowicach p. Stefan znalazł się w komisji rewindykującej dzieła kultury materialnej, wzbogacał skarbiec sztuki narodowej odnajdywaniem i zabezpieczaniem rozproszonych i zdewastowanych dzieł sztuki. Pani Irena przystąpiła z nową energią do organizowania Domu Dziecka w Nagłowicach. Około 100 dzieci — sierot i półsierot znalazło tam opiekę pedagogiczną, lekarską oraz warunki życia i wypoczynku.

#### W GROBOWCU WINCENTEGO KADŁUBKA

Ocalała rodzina, ocalały też dziwnym zbiegiem okoliczności bezcenne prace artystyczne znakomitego artysty. Był to zestaw kilkuset płyt graficznych, m.in. drzeworyty ilustrujące „Boską Komedię” Dantego.

Dzieło to, rozpoczęte przez artystę w Rzymie w 1938 r., zyskało, jak i cały dorobek twórcy Mrożewskiego, już przed wojną wielkie uznanie.

Foliowe wory zawierające drzeworyty pp. Mrożewscy w tajemnicy przed Niemcami umieścili najpierw w jednej z leśniczówek pod Jędrzejowem (na trasie Kraków—Kielce). Potem w obawie przed rewizją przenieśli je do Klasztoru Cystersów w Jędrzejowie — wspaniałego zabytku architektury XII-wiecznej słynącego z kaplicy biskupa krakowskiego Wincentego Kadłubka (ok. 1160—1223), gdzie ukryte zostały dzieła Mrożewskiego.

„Być może wiara w ich ocalenie, tak jak wiara w przetrwanie piekła wojny, być może siły, jakie dawała solidarność panująca wśród ludności na Kielecczyźnie sprawiły, że przez cały czas nawałnicy hitlerowskiej kontynuowałem pracę artystyczną. Rysowałem i rzeźbiłem w lesie — między jedną akcją a drugą, przygotowałem wiele ilustracji do „Boskiej Komedii”. Były to „Piekło” i „Czystycie” oraz część „Nieba”, a także zrobiłem „Opactwo Cystersów”, szereg portretów i ekslibrisów oraz „Wigilię w AK”. Jest to niewielki rysunek przedstawiający autentyczne sceny i ludzi z Wigilii w 1943 r., który już po wojnie w Holandii, wyciąłem w drewnie”.

Cwierć wieku minęło od tych złowrogich, trudnych lat. Teraz, gdy odwiedzili Ojczyznę, a w niej wymarzoną w snach i wizjach na obczyźnie, ziemię kielecką, chłonęli jej zapach i światło całym sercem. „Zyjemy w Stanach Zjednoczonych. Tam każdy stan ma swój specyficzny charakter, są nawet przepiękne, tak jak Kalifornia.

Ale w Polsce wszystko ma inny kształt, tu jest ta gleba rodzinna, w której tkwi cała historia, pot Rodaków, chleb ojczysty” — mówi ze wzruszeniem p. Stefan Mrożewski. — „Tu chciałobyśmy spędzić ostatnie lata naszego życia, tu w tej ziemi spocząć”.

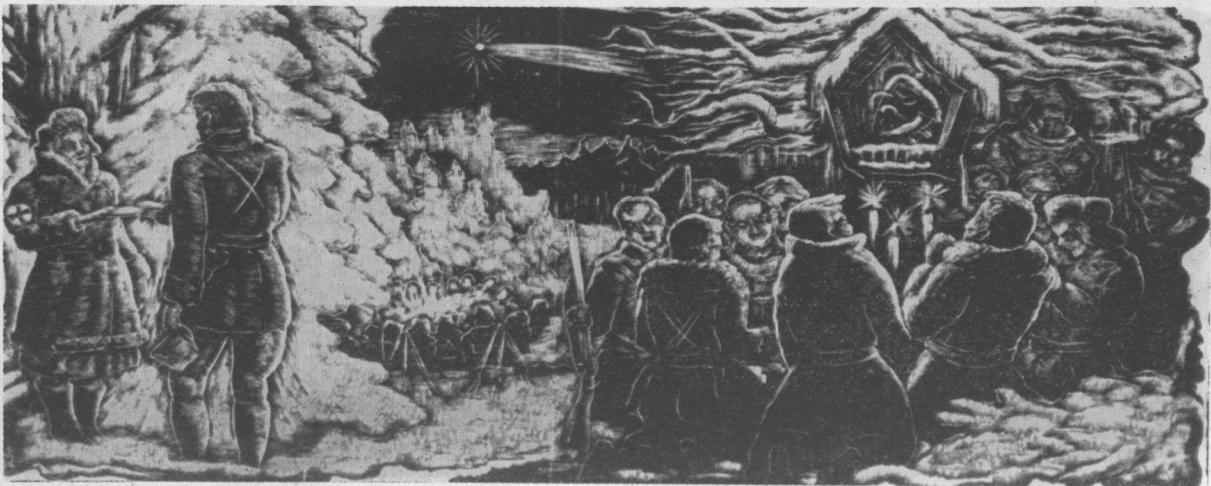
Miejsca walk i pracy znane sprzed lat państwu Mrożewscy odwiedzali z największym pietyzmem. Byli w Nagłowicach, Kielcach, na Górze Świętego Krzyża, która jest dla nich „sercem Polski”. Znalazł tam p. Stefan szereg motywów — zwłaszcza barwy polskiej jesieni — które mają dla niego niepowtarzalny urok, bowiem „najwspanialszym moim nauczycielem była i jest zawsze przyroda i historia Kraju ojczystego”.

#### WSRÓD RODAKÓW ZA WIELKĄ WODĄ

W Kalifornii, w Los Angeles i San Francisco, wśród Rodaków za „wielką wodą” pp. Mrożewscy mieszkają od 15 lat, żywo interesując się i reagując na wydarzenia w Polsce. Gdy ogłoszono Rok Milenijny, p. Stefan chwycił za ryłce, by współuczestniczyć w złożeniu hołdu 1000-letniej historii ojczystego Kraju. Wybrał z jej dziejów 12 motywów, którymi zilustrował książkę Haliny Sworakowskiej, wydaną w San Francisco przez Komitet Milenijny. Książka cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród Polonii. Wykonał również cykl wizerunków pt. „Święci i błogosławieni polscy”, zawierających jako tło sceny z historii Polski. Dzieło to przeznaczone było jako dar dla papieża Jana XXIII. Znajduje się ono obecnie w zbiorach sztuki w Watykanie.

Państwo Mrożewscy utrzymują stałe i żywe kontakty z osiadłymi po drugiej stronie „wielkiej wody” Roda-

S. Mrożewski:



kami, tak samo zresztą jak ich syn, znany i ceniony tam sławista, wicedyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Sherbrook (Quebec — Kanada). Ożywione związki łączą ich m.in. z prof. Domaradzkim — wykładowcą języka polskiego w Montrealu, z prof. Witoldem Sworakowskim, wicedyrektorem Biblioteki Huyera w Stamfordie, znanym historykiem prof. Wacławem Lednickim z Berkeley, ze wszystkimi Rodakami związanymi sercem z dawną ich ojczyzną.

#### MOZAIKI W KALIFORNI

Każdy Polak z dumą odnajduje tam dzieła Stefana Mrożewskiego. Ma bowiem polski artysta w swoim dorobku, obok prac graficznych, wiele dzieł w innych dziedzinach sztuki. W mieście Azusa w Kalifornii są jego mozaiki na szkle przedstawiające „Drogi Krzyżowe”; w stanie Teksas, w miejscowości Canutillo jest szereg jego prac malarskich i fresków, zaś w kościele polskim w Los Angeles, obok wielu projektów witraży, emalii i rzeźb, znajduje się mozaika przedstawiająca Matkę Boską Częstochowską oraz witraże świętych polskich, za które autor otrzymał niedawno nagrodę Muzeum Santa Clara w Kalifornii.

Obecnie z dawniej rozpoczętych prac artysta kończy płytę do „Boskiej Komedii” Dantego, „Pieśni nad pieśniami” Salomona oraz wykonuje szereg prac opartych na motywach ściśle polskich. Jedną z nich artysta wykonał w Wilanowie, specjalnie dla naszych Czytelników.

Krystyna SZCZEPKOWSKA

WIGILIA AK, 1943









Rzeźbiony w brązie tzw. „Lament Opatowski”, którego autorem był Jan Maria Fabrucci, należy do najcenniejszych, słynnych zabytków renesansowych w Polsce

**O**PATÓW, niewielkie, powiatowe miasteczko w województwie kieleckim, nie należy do rzędu punktów liczących się na przemysłowej mapie Polski. Bardzo bogata jest natomiast historia tego miasta. Prawa miejskie otrzymał wprawdzie dopiero w 1282 roku, ale istnienie historycznego Opatowa poprzedzała słowiańska osada Zmigród, położona na północnym brzegu rzeki Opatówki.

Początkowo miasto było własnością biskupów lubuskich — opatów, stąd wywodzi się też jego nazwa. Dzięki korzystnemu położeniu przy jednym z ważniejszych szlaków handlowych, łączących wschód z zachodem — miasto rozwijało się, kwiła handel i rzemiosło. Ściągnęli tu w XIV wieku kupcy ormiańscy, greccy, perscy, włoscy. Od pożaru w roku 1551 zaczął się jednak powolny upadek miasta i choć przez następne lata Opatów kilkakrotnie przeżywał okresy rozkwitu, nigdy nie wrócił już do dawnej świetności.

Pozostały piękne zabytki architektoniczne i bogata kronika historyczna tego jednego z najstarszych polskich miast. Tu witano po zwycięstwie grunwaldzkim króla Władysława Jagiełłę. Mury miasta gościły Stanisława Augusta Poniatowskiego. W zespole budynków klasztornych ukrywał się po kłecce pod Guzowem przywódca rokoszu Mikołaj Zebrzydowski. W Opatowie wreszcie rozegrała się jedna z większych bitew powstania styczniowego — w lutym 1864 roku i tu zginął dowódca wojsk powstańczych major Ludwik Topór-Zwierchowski.

W historii miasta szczególnie zapisał się wielki kanclerz koronny Krzysztof Szydłowiecki jako właściciel i protektor Opatowa. On to wykupił gród od biskupów lubuskich. W krótkim okresie czasu otoczył miasto murami obronnymi, których fragmenty z jedną z czterech bram — Bramą Warszawską — zachowały się po dzień dzisiejszy. Pod jego patronatem miasto rozkwitło, a jego mieszkańcy wzbogacili się.

Po śmierci wielmoży wdzięczni mieszczanie ufundowali Szydłowieckiemu trójkondygnacyjny grobowiec, który należy do najcenniejszych i powszechnie znanych zabytków renesansowych w Polsce. W środkowej kondygnacji umieszczona jest płaskorzeźba i częściowo grawerowana płyta z leżącą postacią Krzysztofa w zbroi, z mieczem w jednej a proporcem i hełmem w drugiej ręce. Poniżej umieszczona jest na czerwonym marmurze grawerowana płyta z brązu tzw. „Lament Opatowski”. Przedstawia ona rozpacz dworu na wieść o śmierci kanclerza Szydłowieckiego. Na płycie wyrzeźbione jest czterdzieści jeden postaci w strojach z XVI w., zgrupowanych wokół stołu. „Lament Opatowski” jest dziełem słynnego rzeźbiarza włoskiego Jana Marii Fabrucci, zwanego Mosca lub Padovano (1495—1573).

Grobowiec kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego znajduje się w kościele kolegiackim, który należy do najpiękniejszych zabytków sakralnych zbudowanych w stylu romańskim w drugiej połowie XII wieku.

## LAMENT OPATOWSKI



Nagrobek Krzysztofa Szydłowieckiego, właściciela i protektora miasta Opatowa

**O**PATÓW, petite ville de la voievodie de Kielce, est surtout connue des touristes et des amateurs d'art médiéval. Elle est également connue des historiens car c'est là que se rendit le roi Jagiełło après la victoire de Grunwald, c'est également près des murs de la ville qu'eut lieu en février 1864 une des plus grandes batailles de l'insurrection dite de janvier. Pour les amateurs d'art, Opatów est avant tout le siège d'un des plus beaux gisants de l'art mortuaire polonais. Ce gisant consacré à la dépouille du chancelier Szydłowiecki est dû au ciseau du sculpteur italien Fabrucci.

Jeden z wielu pięknych romańskich portali słynnej opatowskiej kolegiaty



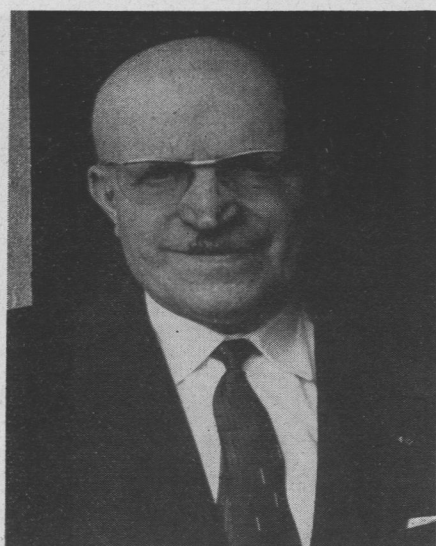
Wieżę kościoła kolegiackiego widać w promieniu wielu kilometrów od Opatowa







General Fleury Seive po latach wspomina Polskę z niezmiennie serdecznym sentymentem. „Czułem się tam znakomicie; Polacy są narodem bardzo sympatycznym”.



niego z Jagiellonów — Zygmunta Augusta.

Ambasadorowie jechali na swych uspaniałych koniach, ustrojonych złotem i srebrem, sami ubrani w kosztowne stroje swego kraju, którego przedziwne ozdoby budziły podziw widzów.

Jakaż to niespodzianka dla ludności, gdy u zagranicznych panów widzi tyle swobody, godności i wdzięku, a zwłaszcza gdy słyszy ich mówiących z taką łatwością i w tak miły sposób językiem francuskim, który — jak sądzili — jest Polakom tak samo obcy, jak język polski Francuzom.

Od tej pory poczęto sobie we Francji lepiej zdawać sprawę z faktu, że poza Niemcami, w kraju o surowym klimacie, którego ostrość wyolbrzymiali jeszcze w swych opowiadaniach nieliczni podróżnicy francuscy, żyje dzielny, hojny, gościnny, uspaniały i śmiały naród, który Francuzów traktuje jako swych przyjaciół, a czasami bierze ich za wzór do naśladowania.

Olśnienia, jakiego doznali paryżanie stykając się po raz pierwszy z delegacją polską, doznał również autor tych zdań, kpt. Fleury Seive, gdy zetknął się z Polską. Przez cały czas pobytu w Dęblinie, w Warszawie, podczas długiej podróży samolotem do Torunia, Poznania, Krakowa i Zakopanego, do Lublina i Lwowa, którą zorganizował dla niego specjalnie ówczesny dowódca polskiego lotnictwa gen. Rayski, poznawał Polaków, odkrywał Polskę i utwierdzał się w przekonaniu, że jest to kraj wyjątkowo bliski Francji. Wszystkie wolne chwile poświęcał na lekturę i zwiędzanie.

armii, przemysłu itd, itp. A nad wszystkim górowało wyraźnie uczucie sympatii dla Polski i pragnienie, aby pomiędzy nią a Francją nastąpiło jak najwzajemniejsze zbliżenie. Szukając śladów dotychczasowych kontaktów i istniejącej już wspólnoty w historii, w nauce i literaturze, znalazł kapitan Seive piękne zdanie Victora Hugo — paralelę wykazującą rolę, jaką Polska i Francja odgrywały w historii:

— Spośród wszystkich narodów europejskich dwa odgrywały bezinteresowną rolę w dziejach cywilizacji europejskiej; narodami tymi są Francja i Polska. Francja rozparzała ciemności, Polska odpierała barbarzyńców. Naród francuski był misjonarzem kultury w Europie, naród polski był jej rycerzem”.

Będąc w Polsce, przez cały tydzień prowadził kpt. Seive swe wykłady i ćwiczenia. Oficerowie, którzy w czasie lotów robili zdjęcia terenowe, później sami je wywoływali i powiększali. No i wtedy następowała najważniejsza część pracy: interpretacja fotografii. Trzeba było odnaleźć na niej i określić wszystko, co się na danym wycinku terenu znajduje. Po dokonaniu tej interpretacji zdjęć porównywano ją, dla sprawdzenia, z mapami wojskowymi.

Potem nadchodziła sobota i oficerowie rozjeżdżali się, a francuski instruktor udawał się do Warszawy.

Spędzał tam sobotę i niedzielę. Widział ambasadora Francji p. Léon Noël, inne osobistości francuskie i polskie. I nie tylko osobistości. Spotykał się z wielu ludźmi z całej Polski, stwierdzał przy tych kontaktach, jak szczerym uczuciem darzą Polacy Francję i sam nabierał coraz większej sympatii do Polski. Coraz lepiej znał

## WSPOMNIENIA FRANCUSKIEGO GENERAŁA Z POBYTU W POLSCE

W roku 1929 przybył do Warszawy z Lyonu oficer Armii Francuskiej, kapitan lotnictwa p. **Fleury SEIVE**. Powitany przez oficerów polskich, przedstawicieli Sztabu Generalnego Wojsk Polskich, kpt. Seive udał się najpierw do generała Denain, szefa francuskiej misji wojskowej w Polsce, późniejszego ministra lotnictwa, który skierował go na instruktura do ośrodka szkolenia lotniczego w Dęblinie.

W okresie kiedy tworzyła się armia wyzwolonego z wiekowej niewoli kraju, Francja udziela Polsce w tym zakresie cennej pomocy. W wielu szkołach oficerskich spotkać można było instruktorów francuskich, którzy współdziałali przy formowaniu polskiej kadry oficerskiej. Jednocześnie z kpt. Seive przebywali w Polsce oficerowie specjaliści od broni przeciwlotniczej i lotnictwa myśliwskiego. Zasadniczym tematem wykładów kapitana Seive była geografia i fotografia lotnicza.

Szkołą lotniczą w Dęblinie kierował pułkownik Szandrowski. Przybywającego nowego instruktora z Francji powitał z wielką serdecznością i gościnnością. Te same uczucia przejawiali w stosunku do kpt. Seive także inni oficerowie i ludność cywilna — wszyscy Polacy z radością witali

na swej ziemi przedstawiciela bratniej Francji.

Jeszcze dzisiaj, po tylu latach życia pracy, walki generał **Fleury Seive**, zastępca mera Lyonu zachował te wspomnienia w pamięci. Pobyt w Polsce był dla niego nie tylko bardzo przyjemny, ale i bardzo ciekawy. Zainteresował się historią Polski, jej kulturą, sztuką, sytuacją polityczną wewnętrzną i stosunkami z innymi krajami. Szczególną uwagę zwrócił na związki Polski z Francją.

Po powrocie do Lyonu wygłosił kapitan odczyt dla oficerów jednostek lotniczych, powtórzony później dla kadry oficerskiej całego garnizonu lyońskiego i wreszcie dla ludności cywilnej. Rozpoczął prelekcję od barwnego obrazu wjazdu do Paryża delegacji polskiej:

— W roku 1573 lud Paryża został prawdziwie oczarowany, gdy ujrzał, wjeżdżający do swego wielkiego miasta, poprzez wąskie i kręte uliczki uspaniałoty orszak na koniach, złożony z dwunastu polskich ambasadorów. Przybywali ze swej dalekiej ojczyzny, aby zakomunikować Henrykowi, księciu Anjou, bratu króla Henryka IX, wiadomość, że został wybrany na tron Polski, wolny od chwili śmierci ostat-



W okresie tworzenia się polskiego lotnictwa wojskowego instruktorzy armii francuskiej oddawali mu nieocenione usługi w wielu dziedzinach lotnictwa

Grupa polskich oficerów lotnictwa, dla których prowadził kpt. Seive wykłady. Tłumaczem jego był w okresie tworzenia się polskiego lotnictwa kpt. Gosiewski



Rewelacją było dla niego bogactwo sztuki polskiej epoki Odrodzenia, poziom nauki, organizacja uniwersytetów. Z podziwem stwierdzał, jak bardzo tolerancyjna, liberalna i gościnna była Polska dla uczonych i działaczy przesładowanych w innych krajach a szukających schronienia na jej terytorium. Z wielkim zainteresowaniem śledził walkę wpływów francuskich i austriackich w Polsce w wieku XVIII, poznawał dzieje rozbiorów Kraju i okres walk powstańczych w całym następnym stuleciu.

Opowiadając potem w Lyonie swe wrażenia, swe spostrzeżenia, zdając sprawozdanie z wyniku swych badań podkreślał ze wzruszeniem, jak nieugięci bywali Polacy w najtrudniejszych momentach historii, z jakim bohaterstwem walczyli o swą wolność i z jaką wiernością stali do ostatniej chwili przy swym sojuszniku — Francji. Z naciskiem powtarzał nazwiska Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Sułkowskiego, Chłopickiego, Zajączka, Kniaziewiczza, Łazowskiego, które powinny być bardziej znane Francuzom, bo ludzie, którzy je nosili, prawdziwie zasłużyli się Francji.

W relacji kapitana znalazła się dokładna analiza polityczna stosunków, które panowały w Polsce w r. 1929. Były tam dokładne dane na temat istniejących stronnicstw, stosunków z innymi krajami, walorów i słabości

ten kraj, coraz go lepiej rozumiał i coraz bardziej go lubił. Dziś, po tylu latach, wspomina ten okres z niezmiennym uczuciem:

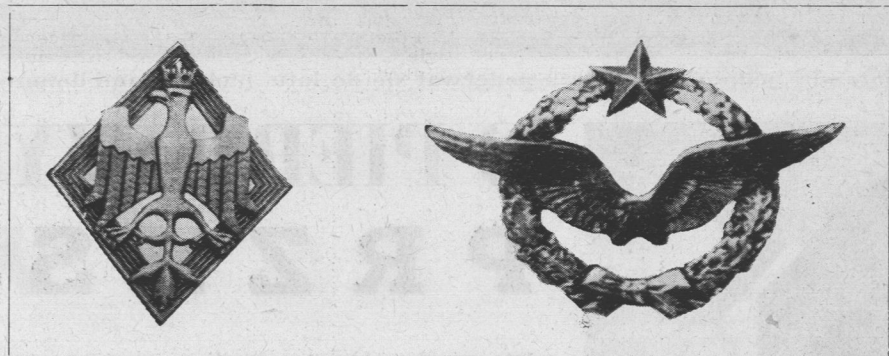
— Polacy są narodem bardzo sympatycznym — mówi generał Fleury Seive — Podziwiałem zawsze u nich serdeczność w stosunku do nas i — jednocześnie — poczucie godności. Przyjmowany byłem bardzo dobrze i czułem się w Polsce znakomicie. Mało jest krajów, w których spotyka się tylu sympatycznych ludzi, tyle pięknych i bardzo eleganckich kobiet i taką gorącą przyjaźń, okazywaną Francuzom.

Prezydent Republiki General de Gaulle w czasie swego pobytu w Polsce wspominał serdecznie swój pierwszy pobyt nad Wisłą i stwierdzał, że solidarność francusko-polska jest zjawiskiem wyjątkowym. Dawny instruktor szkoły lotniczej w Dęblinie, dzisiaj zastępca mera Lyonu generał Fleury Seive również utrzymuje, że oba narzę kraje stworzone zostały, by żyć w przyjaźni, w serdecznych, jak najściślejszych związkach, bo do tego skłania je i położenie geograficzne, i wspólnota interesów, i wspólnota serc.



# O PIERWSZYCH ZDOBYWCACH PRZESTWORZY

Od Ikara do balonu. ● 25 minut w powietrzu w 1783 roku. ● Bracia Wright i Blériot. ● Pierwsi Polacy. ● Z Baraques do Dover. ● 77 km na godzinę. ● Pierwsza wojna światowa. ● Zasługi Stanisława Drzewieckiego dla Francji. ● Wyższa Szkoła Aeronautyczna. ● Francusko-polskie więzy lotnicze. ● Bajończyk Jan Raszewski.



**L**A FRANCE est considérée à juste raison comme la patrie spirituelle de l'aviation. Tout le monde a entendu parler des Montgolfier, et il ne faut pas être spécialiste dans l'histoire de la conquête des airs pour se rendre compte que le survol de la Manche par Blériot a ouvert l'ère de l'aviation telle qu'on la conçoit aujourd'hui. Car il ne suffisait pas de pouvoir voler, comme le firent les frères Wright, il fallait démontrer que l'avion pouvait et devait devenir un moyen de communication digne du progrès incessant du génie humain. De plus Blériot, ancien fabricant de phares d'auto, a été le premier à se rendre compte que l'aviation serait rapidement une véritable industrie. Ce que l'on sait moins, c'est que les progrès de l'aviation française, donc mondiale, car à l'époque la France était détentrice de tous les records mondiaux d'altitude, de vitesse, de longueur et de durée de vol, étaient en partie dus à un ingénieur polonais, le professeur Stefan Drzewiecki; ce chercheur, passionné pour tout ce qui avait trait aux plus lourds des airs, est considéré comme le père de l'hélice. Stefan Drzewiecki a publié au début de notre siècle des nombreux ouvrages, tous écrits en français: „Les oiseaux considérés comme des aéroplanes”, „Le vol plané”, „L'aviation de demain” et „Théorie générale de l'hélice” qui a été couronnée par l'Académie Française. Les liens „aériens” polono-français ne se bornent pas à la personne et aux travaux de Stefan Drzewiecki — tous les aspects de l'aviation polonaise, qui paradoxalement exista avant que la Pologne devint indépendante, puis qu'elle se forma au cours de la première guerre mondiale, étaient passés par l'École Supérieure d'Aéronautique de Paris qui bien avant la Grande Guerre délivra des dizaines de diplômés à ses élèves polonais. Un de ceux-ci, Grzegorz Piotrowski, battit le record de Blériot en survolant la Baltique sur une distance de 37 kilomètres, soit douze de plus que Blériot. Louis Blériot envoya une dépêche enthousiaste à Piotrowski. Les félicitations de l'ancien recordman du monde étaient des plus sincères — Piotrowski avant de battre en 1910 ce fameux record avait été l'élève de Louis Blériot.

## Sztandar Lotnictwa Polskiego we Francji



**O**D NIEPAMIĘTNYCH czasów ludzkość marzyła, by oderwać się od ziemi, pokonać prawa natury i śladem ptaków wznieść się w przestworza. Te marzenia, dziś w pełni urzeczywistnione, sięgają lat tak odległych, iż znajdujemy wzmianki o nich nawet w najstarszych legendach. Najbardziej znana jest historia Dedala i jego syna Ikara, który na przyklejonych woskiem skrzydłach poleciał ku słońcu i runął do morza.

Ikara stał się symbolem i jest uważany w naszym świecie za legendarnego praojca lotnictwa.

Los zrzucił, że chociaż ludzie marzyli o skrzydłach i za ich pomocą chcieli wlatywać w powietrze, to w pierwszej fazie istnienia współczesnego lotnictwa dokonali tego nie na samolotach, lecz na balonach.

Pierwszym aeronautą świata był Francuz Pilâtre de Rozier, który w dniu 21 listopada 1783 r. wraz ze swym rodakiem markizem François d'Arlandes wystartował na balonie typu Montgolfier z Chateau de la Muette w Paryżu i po 25 minutach lotu wylądował w Bois de Boulogne. Oni to zapoczątkowali długą listę francuskich aeronautów, których nazwiska znane były w całej Europie, jak: Alexandre Charles, Jean Pierre, czy François Blanchard, rodzina Garnerin, Herri Giffard czy M. Romaine, który wraz ze znanym nam już Pilâtre de Rozier usiłował przelecieć balonem ponad kanałem La Manche i zginął śmiercią lotnika.

Należy tu dodać, że pierwszą polsko-francuską zalogą balonową byli: Blanchard i Potocki.

Potem zapanowała era samolotów. Co prawda pierwszego wzlotu samolotem dokonali w 1903 r. Amerykanie, bracia Wright, ale Francuzi deptali im po piętach i w 1908 r. odebrali wszystkie powietrzne rekordy. Było to zasługą wynalazców tej klasy, co Delaunay, Voisin, Farman i Blériot, do których dołączyli później konstruktorzy francuscy o tak głośnych nazwiskach, jak: Leon Morane, Edouard Nieuport i René Hanriot.

Ich odpowiednikami w Polsce, o znacznie mniejszych możliwościach, głównie materialnych, byli: Czesław Zbierański i Stanisław Cywiński.

## Z BARAQUES DO DOVER

Bohaterem tego lotu był Louis Blériot, którego nazwisko zostało zapisane złotymi zgłoskami w historii lotnictwa światowego. Bo nie ulega wątpliwości, że tak jak przelot Blancharda i Jefriasa nad kanałem La Manche na balonie był wyczynem na światową skalę, to przelot Blériota na samolocie nad tym samym kanałem stał się kamieniem milowym w rozwoju lotnictwa.

O wadze tego wydarzenia najlepiej świadczą słowa wypowiedziane w parlamencie brytyjskim:

„— Czy Wysoka Izba zdaje sobie sprawę, że wyspa przestała być wyspą?”

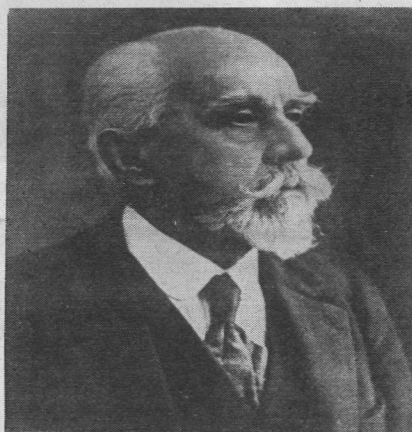
Louis Blériot był właścicielem wytwórni produkującej reflektory do samochodów. Lotnictwem interesował się od dawna i przewidywał jego rozwój. Przewidywał również powstanie potężnego przemysłu lotniczego.

W 1904 r. Blériot rozpoczął budowę szybowców, a już w następnym roku powstał jego pierwszy samolot.

Był to jednomiejscowy górnopłat z silnikiem o mocy 30 KM, nazwany „Blériot V”.



O godz. 4,30 L. Blériot zajął miejsce przy sterach. Obok A. Leblanc



Profesor Stefan Drzewiecki



Lejtnant marynarki Grzegorz Piotrowski

Porucznik Grzegorz Piotrowski

Cechą charakterystyczną początkowych konstrukcji Blériota było pokrywanie skrzydeł i kadłuba papierem.

Samolot „Blériot VIII”, który powstał w 1908 r., był konstrukcją udaną i na nim właśnie Blériot wykonał lot długości 30 kilometrów z powrotem na miejsce startu.

Następna konstrukcja „Blériot XI”, jednomiejscowy górnopłat z silnikiem Anzani o mocy 35 KM, była jeszcze lepsza i na tym samolocie Louis Blériot dokonał przelotu z Francji do Anglii.

Wystartował w dniu 25 lipca 1909 r. z miejscowości Baraques we Francji i wylądował w Dover, jedynie tylko lekko uszkodzając maszynę.

Spotkał się z niebywałym entuzjazmem Anglików i zdobył nagrodę w wysokości 1.000 funtów szterlingów.

W tym samym roku Louis Blériot na samolocie swojej konstrukcji ustanowił światowy rekord prędkości wynoszący 76,95 kilometra na godzinę. Następnie rozbudował swój warsztat, który wkrótce przemienił się w wielką wytwórnię pod nazwą: „Blériot Aéronautique S.A.” produkującą znane i używane na całym świecie samoloty. O ich wartości świadczy przelot pilota Geo Chavez, Meksykanina z pochodzenia — Francuza z upodobania, który w 1910 r. na samolocie „La Gypaète” zbudowanym w wytwórni Blériota dokonał niebywałego wyczynu — przelotu nad Alpami.

W locie tym Geo Chavez osiągnął wysokość 2.587 m, uzyskując rekord świata.

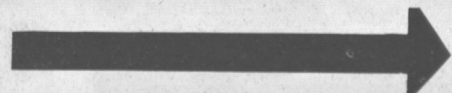
Alpy zostały pokonane, lecz Geo Chavez rozbił się na skraju lotniska pod Mediolanem i w kilka dni później zmarł w szpitalu.

Poza uruchomieniem wytwórni samolotów Louis Blériot założył szkołę pilotów swego imienia, w której pierwsze kroki stawiało wielu późniejszych sławnych lotników.

W tych to właśnie latach Francja stała się kolebką współczesnego lotnictwa, a Paryż prawdziwą „Mekką” dla wszystkich entuzjastów lotnictwa. We Francji powstawały zakłady budowy samolotów, a przy nich szkoły lotnicze, z których dwie: Blériota i Farmana — stały się słynne w całym świecie i ich absolwenci uzyskiwali pierwsze dyplomy pilotów wydawanych przez Aeroklub Francji.

Francuzi też zapoczątkowali pierwsze pokazy lotnicze w krajach Europy, w których m.in. brał udział pierwszy akrobata powietrzny Adolf Pégoud, latając na samolocie Blériota. O nim to pisała prasa: „ze swobodą obracania się w powietrzu ptaki przewyższył”. Ten sam pilot w 1913 r. na samolocie Blériota wykonał pierwszy w historii lotnictwa skok spadochronowy z samolotu będącego w normalnym locie, bo poprzednio skakano wyłącznie z balonów.

Francja stała się wówczas potęgą lotniczą i była nią do wybuchu I wojny światowej. We wszystkich państwach europejskich do 1912 r. latano niemal wyłącznie na samolotach francuskich. Dopiero na dwa



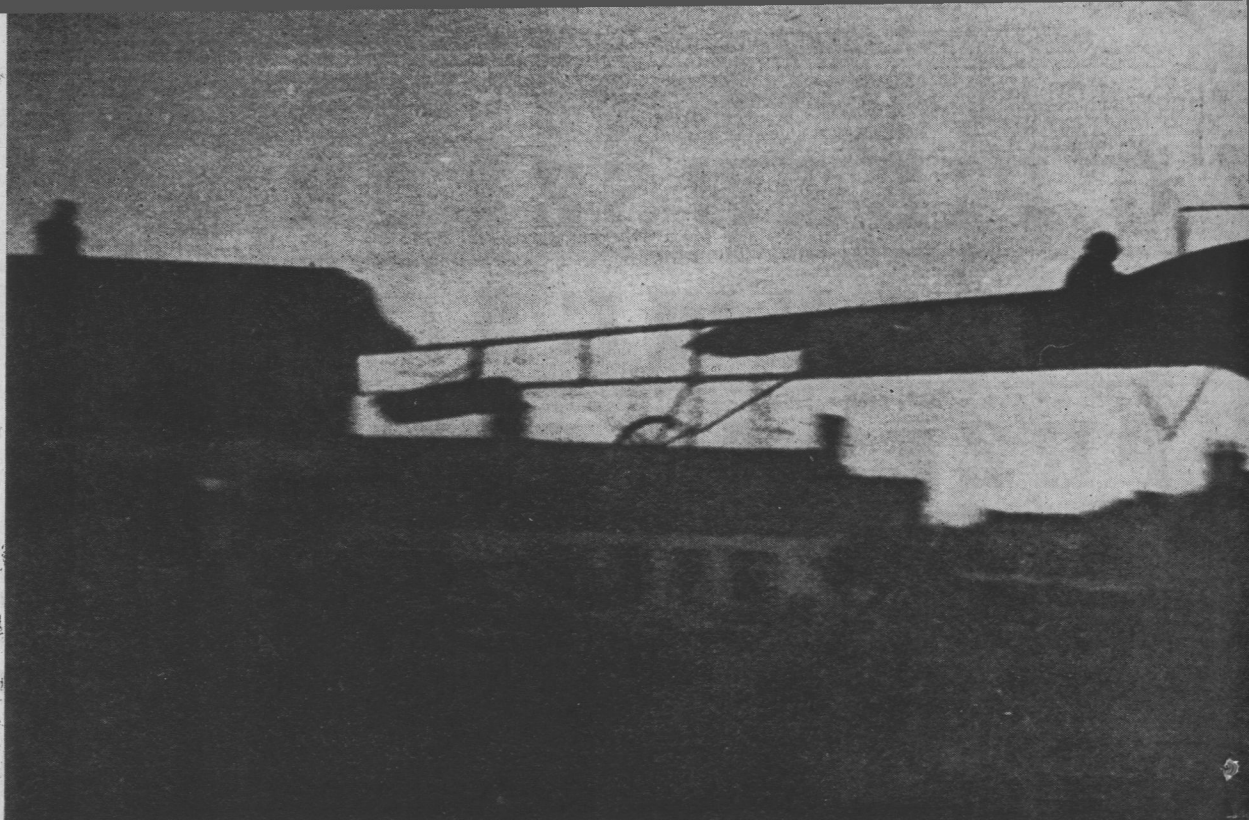




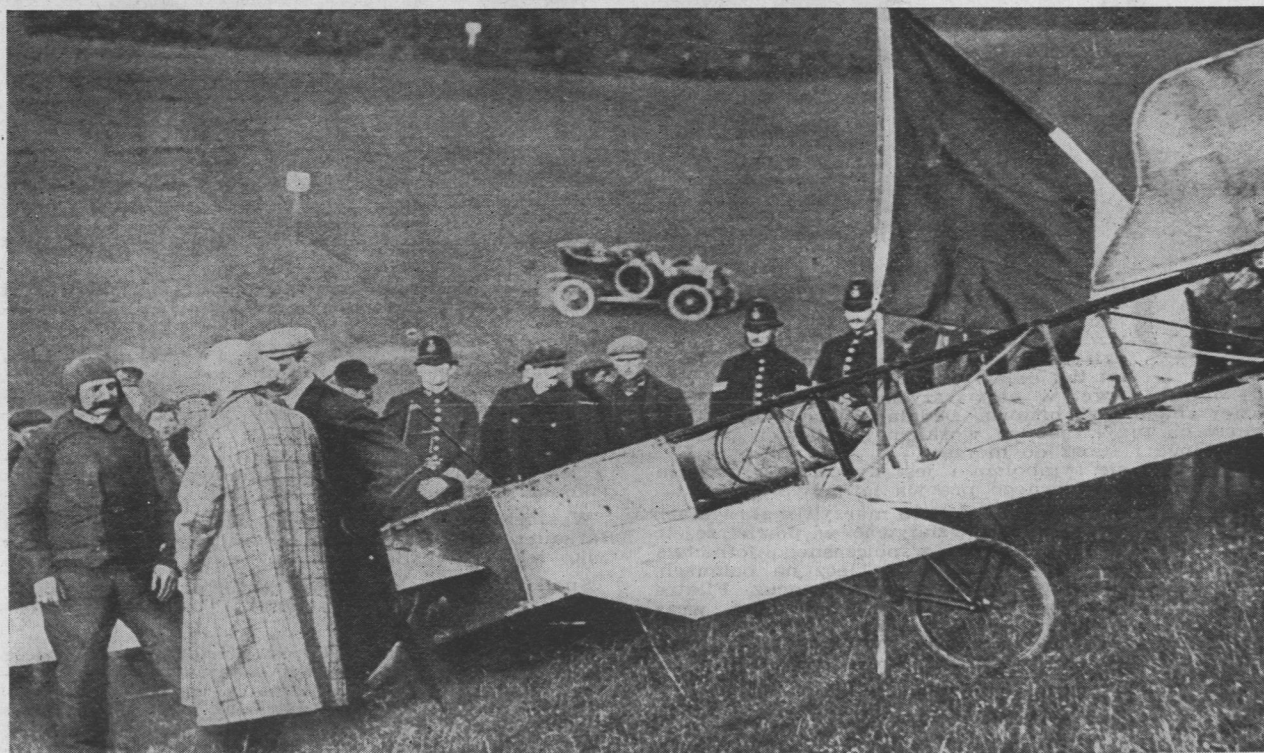
Hangar samolotu Blériota w przeddzień wlotu



Pani Blériot śledzi lot męża przez lornetkę



O godz. 4,35 we mgle porannej jednopłat Blériota poderwał się do lotu nad dachami domów. Za c



Szósta rano, okolice Dover. Reporter „Daily Mail” zawiadamia Blériota o nagrodzie 25.000 F

Triumfalny wjazd Blériota do Londynu. Pilotowitowarzyszy w samochodzie Winston Churchill

## O PIERWSZYCH PRZEST

lata przed wojną przystąpili do organizowania własnego przemysłu samolotowego i silnikowego: Amerykanie, Anglicy i Niemcy, którzy do roku 1914 nie zdążyli już nadrobić czasu straconego na budowę sterowców, które w czasie działań wojennych nie zdały egzaminu.

Wojna otworzyła przed lotnictwem nowe możliwości i pchnęła naprzód dalszy rozwój samolotów.

Można tylko dodać, że w pierwszym okresie wojny Francja musiała zaopatrywać w samoloty wszystkie państwa koalicji antyniemieckiej.

O niebywałym rozwoju francuskiego lotnictwa w latach 1908—1914 świadczy wymownie fakt, że w przededniu wybuchu I wojny światowej wszystkie rekordy były w rękach Francuzów. Oto ich lista:

- 1) prędkość przelotu: pil. Prevost, w dn. 29.IX. 1912 r. — 203.850 km/h.
- 2) odległość przelotu: pil. Seguin, w dn. 13.X. 1913 r. — 1.024 km i 200 m.
- 3) długotrwałość lotu: pil. Poulet, w dn. 26.IV. 1914 r. — 16 godzin, 28 min. i 56 4/5 sek.
- 4) wysokość lotu: pil. Legagneux, w dn. 28. XII. 1913 r. — 6.120 m.

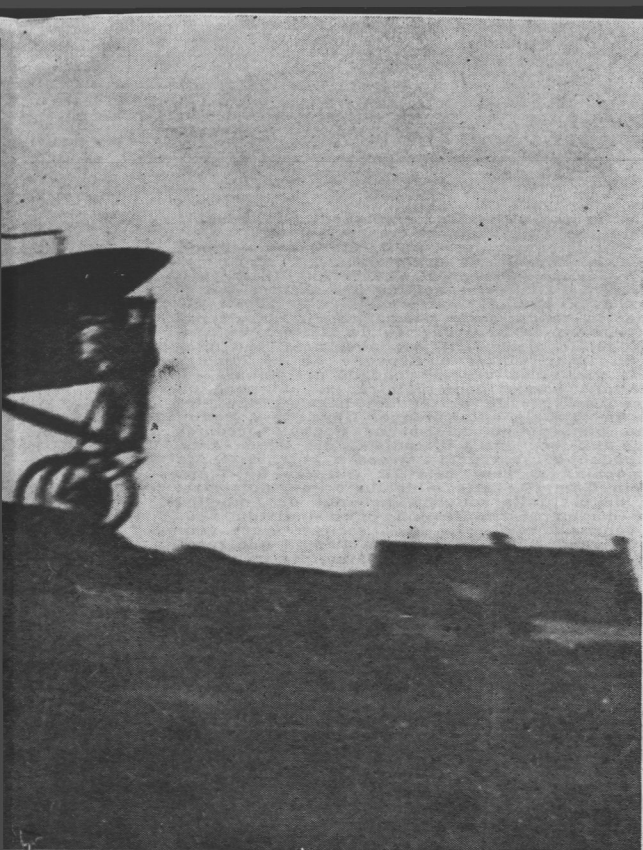
**M**OWIĄC o niebywałym rozwoju lotnictwa francuskiego w początku jego dziejów nie można zapominać o słynnym uczonym polskim, prof. Stefanie Drzewieckim, którego nazywano twórcą śmigła lotniczego.

Prof. St. Drzewiecki, który przeniósł się na stałe do Paryża, oddał się całkowicie pracom nad rozwiązaniem zagadnień aerodynamicznych. Był on autorem wielu nowatorskich prac, jak: „Les oiseaux considérés comme des aéroplanes” (Ptaki rozważane jako żywe aeroplany), „Le vol plané” (Lot szybowcowy), „L’aviation de demain” (Lotnictwo jutra) oraz dzieła: „Théorie générale de l’hélice” (teoria śmigła) nagrodzonego przez Akademię Francuską i dającego trwałą podstawę lotu mechanicznego, wówczas jeszcze przez nikogo nie zbadanego. Dziś nie ulega kwestii, że prof. Stefan Drzewiecki rozpoczął w dziejach lotnictwa nową erę. Jemu też bezspornie przypisać należy inicjatywę utworzenia instytucji doświadczalnych i pomyślnych na szeroką skalę laboratoriów aerodynamicznych.

Pierwsze takie laboratorium aerodynamiczne powstało w St. Cyr pod Wersalem. W dużej mierze dzięki Drzewieckiemu powstała w Paryżu Wyższa Szkoła Aeronautyczna. Pierwsza w historii świata. Można więc śmiało stwierdzić, że stworzenie naukowych podstaw w dziedzinie aeronautyki, których gorącym rzecznikiem był prof. St. Drzewiecki, przyczyniło się do tak wspaniałego rozwoju lotnictwa francuskiego, a Francja stała się krajem, skąd aeronautyka promieniowała na całą Europę i była nieodłącznym wzorem. Lotnicze wieży polsko-francuskie w tym czasie były bardzo silne.

Do Wyższej Szkoły Aeronautycznej w Paryżu garnęli się Polacy studujący na różnych uczelniach zagranicznych. W kronikach tej uczelni odnajdujemy nazwiska Polaków, którzy ją ukończyli w latach 1911—1912 i wyszli z niej z dyplomami inżynierów aeronautyki. Tymi pierwszymi inżynierami byli: Ka-





hwylię znajdzie się nad wodami kanału La Manche

# W ZDOBYWCACH WORZY

zimierz Ziemiński, Kazimierz Tłuchowski, Tadeusz Morstin, Jerzy Szaniawski, Michał Król. Następni to: Henryk Kawecki, Klemens Filipowski, Wacław Wasilewski, Zdzisław Zych-Płodowski, January Grzędziński, Józef Węgrzecki i Bronisław Dworecki.

Podobnie było ze szkołami pilotów. Z samej tylko szkoły Blériota w 1910 r. wyszli następujący piloci polscy: Grzegorz Piotrowski, Bronisław Matyjewicz-Maciejowicz, Michał Scipio del Campo, Adam Haber-Wyński, Włodzimierz Mazurkiewicz, Henryk Segno, Antoni Sobański, Stanisław Supniewski. Najśłynniejszym z nich stał się Grzegorz Piotrowski, który już we wrześniu 1910 r. w czasie konkursu lotniczego wykonał brawurowy lot nad morzem na trasie: Petersburg-Kronsztadt, odległość 37 km, i przelotem tym pobił światowy rekord Blériota, który przeleciał nad kanałem La Manche, pokonując przestrzeń 25 kilometrów. Wśród depech gratulacyjnych napływających do G. Piotrowskiego z całego świata nie zabrakło depechy od Louis Blériota, który wina swemu b. uczniowi tak wspaniałego wyczynu.

Do sierpnia 1914 r. dalsze dyplomy pilotów uzyskali w szkołach francuskich następujący Polacy: Jan Baykowski, Feliks Bołsunowski, Jerzy Borejsza, Stanisław Dorożyński, Ludwik Gałęzowski, Adam Gądulski, Włodzimierz Garliński, Aleksander Jankowski, Mieczysław Jagiełło, Władysław Lewkowicz, Henryk Lipkowski, Tadeusz Lempicki, Hipolit Łossowski, Emanuel Małyński, Gustaw Macewicz, Jan Malczewski, Zenon Miklaszewski, Robert Niżewski, Hubert Rodziewicz, Jan Stachowski, Aleksander Serednicki, Roman Skarżyński, Paweł Studencki, Jerzy Syrokomla-Syrokomski, Zygmunt Studziński, Roman Szomański, Bronisław Suszyński, Jan Szymański, Andrzej Swiderski, Stanisław Tomaszewski, Aleksander Wańkiewicz, Zbigniew Wojciechowski, Michał Zalewski i Stefan Zagórski. Nie wszystkie nazwiska zostały wymienione, gdyż z dokumentów francuskich z tamtych czasów wybrano tylko nazwiska o brzmieniu polskim. Prawdopodobnie było ich więcej.

Można jeszcze dodać, że nawet ci polscy lotnicy, którzy nie kończyli szkół pilotów we Francji, lataли na francuskich samolotach.

Na francuskim „Farmanie” latał Polak Rudolf Warchałowski, który w konkursach lotniczych w Wiedniu zdobywał rekordy światowe. Na francuskim samolocie leciał ponad Arktykę polski pilot Jan Nagórski, pierwszy lotnik arktyczny: „...który wskazał na możliwość osiągnięcia Bieguna Północnego na samolocie”. I wielu, wielu innych.

Należy również wspomnieć o rewanżu ze strony Francuzów. Pierwszym lotnikiem, który latał nad Polską w 1909 r., był pilot Georges Legagneux. Startował z lotniska mokotowskiego w Warszawie. Innym pilotem francuskim, pionierem podróży powietrznych był Binde-Jone des Moulinais, który w 1913 r. w ciągu 13 godzin i 18 minut dokonał przelotu z Paryża do Warszawy.

Lista francuskich pilotów, którzy brali udział w pokazach lotniczych w Polsce, jest zbyt długa, aby ją przytaczać.

A potem była I wojna światowa. W przededniu jej zaczęcia, w dniu 2 maja 1914 r. na lotnisku Le Bron pod Lyonem zginęli dwaj Polacy — Gabriel i Piotr Wróblewscy. Zginęli podczas oblatywania pierwszego typu samolotu opancerzonego, zbudowanego przez siebie dla armii francuskiej. Byli oni pierwszymi Po-



Godz. 5,15 — lądowanie w Anglii koło Dover



Od żony — pocałunek dla męża-zwycięzcy

lakami, którzy śmiercią lotników zginęli we Francji. Pierwszym polskim lotnikiem, który poległ nad Francją w czasie walki powietrznej z Niemcami, był podchor. Jan Raszewski. Dawny „bajończyk”, który już był przydzielony do lotnictwa polskiego formującego się we Francji przy Armii Polskiej we Francji. Na tę ostatnią swoją walkę leciał w kluczu bojowym 96 francuskiej eskadry myśliwskiej. Wystartował w polskim mundurze, można więc przyjąć, że był pierwszym polskim pilotem, który zginął w boju powietrznym.

Polskie jednostki lotnicze formowane we Francji i późniejsza pomoc w tworzeniu polskiego lotnictwa to osobna i piękna karta. Wystarczy chyba stwierdzić, że pierwszą naszą szkołą lotniczą w Warszawie była Francuska Szkoła Pilotów, którą dowodzili mjr pil. Manger de Verennes i mjr, pil. Robert de Chivré, a polscy specjaliści lotniczy studiowali w uczelniach cywilnych i wojskowych we Francji. Można więc powiedzieć, że francuska szkoła stała się podwaliną naszego lotnictwa i lotniczych umiejętności Polaków.

Paryż szaleje z radości! Triumf w przestworzach! Na koźle flaga francuska, ta sama co w Dover



Blériot na molo w Dover. Obok F. Reichel

Dodać jeszcze należy, że w okresie powojennym przez długi okres czasu francuskie samoloty były podstawowym sprzętem naszych eskadr i na nich polscy piloci odnosili swoje pierwsze sukcesy w dalekich rajdach po różnych krańcach świata.

Podobnie przedstawiała się sprawa polskiego lotnictwa cywilnego.

Potem nadeszła II wojna światowa i znów lotniska francuskie zajęły się Polakami, a na francuskim niebie biało-czerwone szachownice zamigotały obok trójkolorowych kokard.

Tak też było i w Anglii, gdzie polskie dywizjony walczyły ramię przy ramieniu z lotnikami „Forces Aériennes Françaises Libres”.

Ta długa, bo blisko dwustuletnia powietrzna przyjaźń polsko-francuska przetrwała do dzisiaj, a jednym z dowodów były niedawne oficjalne wizyty lotników polskich we Francji i francuskich w Polsce.

Władysław LENY-KISIELEWSKI





Dawny wiedeński clochard w blasku jupiterów: „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz!”

**N**IM ELITA NSDAP przy poparciu prezydenta Rzeszy, kół rządzących, generalicji i finansjery uczyniła go wielkim, był po prostu życiowym szczurkiem, włóczykiem i niedorajdą. Właściwie to stwierdzenie nie jest niczym nowym. Historycy znający życiorys Hitlera z okresu wiedeńskiego (1908—1911) wiedzą dobrze o jego ówczesnej biedzie, trudnościach materialnych.

Znało te fakty i dawniej wielu współczesnych Hitlerowi, ale woleli milczeć. Toteż nawet oficjalna biografia Führera III Rzeszy zawierała sporo niejasności, choćby w sprawie jego wojaczki: w 1914 r. znalazł się w Monachium, gdzie rzekomo z żołnierskiej ochoty wstąpił do bawarskiego pułku infanterii i z nim wyruszył na front francuski... A przecież był poddanym austriackim. Nawet bardzo długo! Dopiero przed kampanią wyborczą na prezydenta Rzeszy (w 1932 r.) jeden z wybitniejszych działaczy NSDAP, wykrzystując swe stanowisko w rządzie krajowym Dolnej Saksonii, w trybie przyspieszonym wyrobił mu obywatelstwo niemieckie. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Hitler powinien był zgłosić się pod sztandary austriackiego Franza Josefa. Jeśli zaś zgłosił się pod wojenne znaki Hohenzollerna zamiast Habsburga — to dlaczego? Ano, bo po prostu w 1912 r. związał z c. k. Austrii przed nieprzyjemnym dla niego obowiązkiem służby wojskowej.

Führer III Rzeszy, ów według propagandzistów hitlerowskich wzór żołnierskiej cnót (1914—1918) i przykład patriotycznej ofiarności, był więc po prostu zwyczajnym dezertorem. Pokrył ten czyn ochotniczym zaciągiem do armii niemieckiej. Ale nie miał innego wyjścia, bo na podstawie ówczesnych umów austriacko-niemieckich zostałby aresztowany.

Biblia hitlerystów „Mein Kampf” jest lekturą ciężką, napisaną zawiłym, nie najlepszym językiem niemieckim. To nie tylko ideologia w niej zawarta jest mętna; także styl, tok narracji, nie mówiąc o faktach, które bardzo często autor-ska spółka Hitler-Hess brała dość dowolnie, z sufitu twierdzy Landsberg, gdzie za próbę puczu monachijskiego (1923 r.) razem przebywali. Tam właśnie napisał Hess pod dyktando swego wodza 781 stron tej straszliwej książki. Część pierwsza „Mein Kampf” zawiera — jak wiadomo — dzieje „proroka” za kratami, a po dziesięciu latach (1933 r.) „mesjasza” narodowego socjalizmu w Niemczech.

W okresie nazywanym przez samego Hitlera „Wiener Lehr — und Leidensjahre” (Wiedeńskie lata terminu i niedoli) miały się rzekomo ukształtować wszystkie jego postawy ideowe. Później Hitler tylko je rozwijał, konkretyzował, aktualizował. A więc w Wiedniu poczuł się „niemieckim Austriakiem” nienawidzonym c. k. monarchii, traktującym swój naród jako część narodu Niemców; stał się nacjonalistą, antysemitą — co opisuje na sześciu stronach, antymarksistą i wrogiem socjaldemokracji, wrogiem parlamentaryzmu, wolności prasy. Kto przebrnie przez pierwsze 138 stron „Mein Kampf” może się o tym dowiedzieć. Stało się to — zauważmy — nim 22-letni poborowy wyjechał w 1912 r. do Monachium.

## ŚWIADEK, KTÓRY MILCZAŁ PRZEZ 35 LAT

Byli jednak ludzie, którzy młodego Adolfa znali z tych „wiedeńskich lat terminu i niedoli”. Ostatnio ujawnił się chyba jeden z najciekawszych. Piśsze o tym rówieśniku Hitlera na łamach warszawskiego pisma „Kierunki” — p. Alfred Łaszowski w artykule pt. „Młodość ludobójcy”. Spotkał on w Jeleniej Górze starca — p. Wilhelma Hermenza, który znał dyktatora, zanim ten stanął w blasku brunatnej chwały, pochodni SA-manów i reflektorów. Do tegoż p. Hermenza, jak dziś — stojąc nad grobem opowiedział polskiemu dziennikarzowi — przyszedł w 1933 r. dwaj panowie w zagętych ku górze czarnych czapkach z trupimi główkami. Zażądali, by milczał. Gdy będzie grzeszny, dostanie trafikę w Jeleniej Górze, a jeśli buzię otworzy — zamkną mu ją na wieki. Jasne? Więc milczał lat trzydzieści pięć, a teraz chce to z siebie zrzucić, bo wybiera się do Niemiec Zachodnich, a tam... Posłuchajmy, co mówi w 1968 r.:

**H**ITLER fait partie de cette galerie de personnages historiques qui, après avoir fait couler tant de sang et de larmes, font faire couler des torrents d'encre. Pour les uns, le führer du III Reich était la personnification du mal, un véritable génie dans ce domaine, pour les autres, c'était tout simplement un individu plus ou moins normal (plutôt moins) qui ayant le sens de l'histoire a su mettre à profit toutes les circonstances qui en un peu plus de vingt ans ont fait de l'Allemagne une nation où le crime était raison d'Etat. On se rend compte en suivant les méandres de la pensée politique d'Hitler, en analysant de près sa carrière et l'idéologie qui fit qu'elle fut possible, que l'on a affaire à une anomalie de taille. Car enfin, de faire accepter à toute une nation un amas de monstruosités au nom de la grandeur et de l'histoire ne peut être le fait que de quelqu'un n'ayant pas tout son bon sens, mais qui en même temps se rendait compte que ce manque de bon sens était justement un atout à une époque loin d'être normale. Un journal de Varsovie a publié il y a quelque temps de cela une interview qui est passée inaperçue malgré son caractère vraiment sensationnel. Il s'agissait des souvenirs d'un certain Wilhelm Hermenz, habitant de Jelenia Góra, qui fut un intime d'Hitler à l'époque où le futur maître de l'Allemagne tentait de trouver une place au soleil dans la Vienne des premières années du

siècle. Les propos d'Hermenz expliquent par exemple pourquoi Hitler s'était engagé comme volontaire dans l'armée prussienne alors qu'il était ressortissant autrichien et aurait dû servir dans les rangs des armées de François-Joseph, il s'avère qu'Hitler était déserteur depuis 1912 et que suivant les accords passés entre les deux empires germaniques, il aurait été arrêté par la gendarmerie allemande s'il n'avait pas pris un engagement dans l'armée du Kaiser. Wilhelm Hermenz relate également les aventures peu glorieuses du futur führer à l'époque où ce dernier tentait de gagner sa vie en vendant des aquarelles, en se faisant passer pour peintre en bâtiment ou encore en essayant de porter des bagages dans les gares de la capitale autrichienne. Hermenz a connu Hitler au moment où celui-ci ne pouvait accepter son échec aux examens à l'Académie des Beaux-Arts, à une époque où il végétait grâce à la charité des soupes populaires. Tout cela fit d'Hitler un aigri. Son „Mein Kampf”, cette bible du crime, doit être, à partir de ces faits souvent inconnus ou embellis, comprise comme les confessions d'un individu voulant se venger à tout prix de la société. Cette vengeance fut rendue possible grâce à l'appui que reçut Hitler de ceux qu'il avait en haine, de la haute bourgeoisie allemande qui comptait sur ce peintre sans talent doublé d'un démagogue de génie pour régner sur l'Europe et sur le monde.

„Jeśli natrafie tam na hitlerowców, dadzą mi po mordzie. Natomiast olbrzymią większość społeczeństwa ten sprawca nieszczęść obecnie już nic nie obchodzi. Są szczęśliwi, że go nie ma i pragną o nim możliwie najprędzej zapomnieć... Sam fakt, że daliśmy się nabrać na kogoś w tym rodzaju, czyni ogłoszenie moich wspomnień w Niemczech w obecnej sytuacji rzeczą niemożliwą...”

Skoro przywódca narodu, co prawda w nader specyficznych warunkach, mógł stać się człowiekiem niezadowolnym — jak dobrze pamiętam — by uczciwie zarobić nawet na bardzo skromne utrzymanie, to natrętnie mówienie właśnie teraz o tym, że w swoim czasie oddaliśmy nasz los w ręce zwykłego włóczyki...”

## WŁÓCZEGA

### „KONSTITUCYJNYM DYKTATOREM”

Tutaj p. Hermenz wypowiada znamienne słowa. To nie było tak, że NSDAP z Hitlerem na czele doszła do steru rządów drogą zbrojnego zamachu stanu. Hitler nie był także szefem większościowej partii w Reichstagu. Wyszli go na czoło ludzie z kamaryli konserwatywnych nacjonalistów posługujących się zgrzybiałym, zdziennym prezydentem-feldmarszałkiem Hindenburgiem. Środki finansowe dostarczyli miliony banków, kopalń, hut znad Rury. Zafundowali swemu narodowi właśnie takiego wodza. Mieszkańskie partie zaś — od konserwatystów do katolickiego Centrum — gorąco oklaskiwały takie właśnie rozwiązanie. Tak gorąco, że już po paru miesiącach nie było śladu po tych partiach. Jedynie lewica niemiecka była naprawdę antyhitlerowska. I wędrowała za druty.

W technice dochodzenia do władzy Hitler był wśród wszystkich dyktatorów czasów najnowszych unikatem: jego tak absolutna, jednostkowa władza wynikała z niemieckiej konstytucji tzw. „weimarskiej” (!). Zgodnie z nią został kanclerzem, czyli premierem.

Później parlament udzielił nowemu kanclerzowi Rzeszy takich pełnomocnictw, które oddały mu w ręce pełnię władzy ustawodawczej i wykonawczej. Gdy wkrótce Hindenburg zmarł na wiadomość starczy — Hitler operując się na swoich pełnomocnictwach, które upoważniały go także do zmiany konstytucji (!), połączył w swojej osobie urząd kanclerza i prezydenta Rzeszy. Armia jemu osobiście złożyła przysięgę na wierność! Oddała nawet formalnie nie podlegała niczyjej kontroli. Nawet jego wypowiedzi przy obiedzie były traktowane jako wytyczne polityki, źródło prawa i miały w III Rzeszy moc rozstrzygającą.

Naród niemiecki na to wszystko nie tylko się zgadzał, lecz w przytłaczającej większości nawet szalał z zachwytem i wielił swego Führera. Miliony wyciągały ręce do hitlerowskiego pozdrowienia. Sławiono Hitlera jak zbawcę. Tylko nieliczni protestowali. Wędrowali za druty, za kraty lub pod topór. Społeczeństwo niemieckie, przypomnijmy, w swojej masie demokratów antyfaszystów nie poparło. Jakże dramatycznie przedstawiła to w swej słynnej książce „Siódmy Krzyż” Anna Seghers.

## HITLER I „WYGNANIE Z RAJU”

Wilhelm Hermenz opowiada teraz, jak to było w Wiedniu, nim zagrzmią cesarskie armaty:

„Hitler... był najbardziej niezaradny z nas wszystkich. Nie ukończył szkoły i nigdy porządnie nie nauczył się żadnego fachu, wskutek czego nieraz przymierał głodem. Nawet jako malarz pokojowy, od samego początku obciążony opinią lichego partacza, zazwyczaj pozostawiał coraz mniej liczny klientom ogromne plamy na ścianach... Gdy nie mógł sobie dać rady, sprowadzał na miejsce wypadku bieglejszych od siebie, płatnych pomocników. Angażując ich — oczywiście do interesu dokładał. Czynił tak jednak w obawie, że go rozwiśnieczeni właściciele fatalnie odnowionych mieszkań zaskarżą do sądu i pozbawiają prawa wykonywania zawodu.

Miał zresztą znacznie większe ambicje. Próbowal przecież nawet zdać egzamin do Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Żywił nieprzemyślany pogąd o schematycznego odtwarzania brył monumentalnych. Nie znośił anatomii. Nie umiał rysować aktów! Prawdziwy kształt ciała ludzkiego pozostał dlań chyba na zawsze czymś niepojętym, obcym i odrażającym. Kiedy spytałem go, dlaczego nie został przyjęty na studia, długo nie mógł mi tej niedyskrecji wybaczyć. Do żywego dotknięty

# ZATAJONA MŁODOŚĆ FÜHRERA

moją niewczesną ciekawością, uporczywie wciąż do tej kwestii powracam. Wreszcie dał mi do poznania, że ostateczną przyczyną jego artystycznej klęski stał się wyjątkowo nieszczęśliwie wybrany temat dany do opracowania adeptom. Kandydatom polecono namalować scenę „Wygnańca z raj!”

To tylko pozór, że rysunek konkursowy był czymś areytrudnym. Hitler prawdopodobnie rzeczywiście nigdy nie umiał dobrze rysować. To, co powiada w „Mein Kampf” na str. 19, że rektor Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu mówił o jego uzdolnieniach raczej w kierunku architektury, jest zapewne także bujną fantazją. Przyczyną zaś klęski Hitlera jako artysty-malarza były głębsze, natury psychicznej. Posłuchajmy, jak relacjonuje p. Hermenz jeden z jego wybuchów.

## OBSESJA SEKSUALNA

„I to właśnie mnie musiało się przytrafić — wołał oburzony. — Mnie, który nigdy nie miał skłonności do studiowania obrzydliwych i podniecających detali ciała kobiecego, a całą tę szybko psującą się ludzką zgniliznę fizjologiczną uważam za pomysł z wielu względów okropnie nieudany. I ja zostałem niejako zmuszony do konkursowego babrania się w czymś, co zawsze było mi nienawistne i obce...”

Jeżeli nie znoszę pewnych cech u siebie, a karmienie i odziewanie tego, co mi ciąży, wielokrotnie przerasta moje siły i nie budzi we mnie nic prócz rozpaczliwej troski i stale pogłębiającego się zniecierpliwienia, jakże mogłem z lubością powierzyć się chęci drobniaczowego kształtowania czegoś, co mnie nawet we własnej osobie mierzi i jakoś mnie, że tak powiem, od siebie samego odrzuca...

I choćby z tego powodu sam fakt przynależności do gruntownie spartolonego rodzaju ludzkiego nie wzywała we mnie nic prócz uczucia najgłębszej odrazy i dożywoźnego znuzenia. Mój ołówek i pędzel lgnie do rzeczy trwałych; ożywia się w zetknięciu z pejzażem, architekturą...”

Wiele rzeczy dowodzi, że relacjonujący te wszystkie historie Wilhelm Hermenz był rzeczywiście przyjacielem Hitlera z czasów wiedeńskich, a cytowany monolog ukazuje późniejszego „wodza” w pętlach kompleksów, urazów, a równocześnie zboczenia seksualnego o cechach masochizmu. Ale powiedzmy równocześnie, że ten portret z młodości doskonale pasuje do późniejszego Hitlera: i tego z lat euforii nacjonalistycznej, i tego z dni klęski.

Rzekomy Spartanin, którego propaganda przedstawiała jako tytana pracy na rzecz narodu, który wyrzekał się rodziny, mięsa (jadał tylko jarzyny) i palenia tytoniu, nie używał alkoholu, rezygnował z bogactwa, radości życia, kobiet — był po prostu człowiekiem o skrzywionych wyobrażeniach psychicznych na temat „ludzkiego ciała”. Tkwi w tym wszystkim coś z postawy oszałałych mnichów średniowiecznych, którzy w piękności kobiet doszukiwali się brzydoty szatana, a dobroć i świętość wystawiali na ołtarze w postaci wstrętności i zaprzeczenia praw biologicznych.



Przed naszymi oczami według relacji sędziwego dziś p. Hermenza ukazuje się młody Hitler nie jako umysłowo chory szaleniec, lecz jako seksualny zboczeniec lub (kto wie) rozhisteryzowany impotent, który niegdyś poniósł dotkliwą porażkę. Trudno dzisiaj powiedzieć na ten temat coś absolutnie pewnego, ale niektóre konsekwencje — po przyłożeniu tego właśnie ogniwa do różnych faktów związanych z jego osobą — stają się zrozumiałe, od strony psychopatologii. Zoologiczna nienawiść do Żydów miała u Hitlera korzenie w patologicznej obsesji seksualnej — w wyedukowanym przez rozgorączkowany umysł, że to są właśnie te „najbardziej spartolone” egzemplarze ludzkiego rodzaju. Można także w tym szukać korzeni osławionego rozkazu eutanazji blisko 100.000 umysłowo chorych Niemców, a także całej obłędnej „pozytywnej” polityki rasowej — owych hodowli germańskich „übermenschów” i traktowania w ogóle gatunku ludzkiego jako egzemplarzy hodowlanych.



Namiastka cesarza — prezydent Hindenburg przekazał władzę: „Feldmarszałek i gefreiter”

## SPARTOLONY GATUNEK LUDZKI

Przypomnijmy jeszcze raz to zdanie Hitlera z lat młodości: „Sam fakt przynależności do gruntu spartolonego rodzaju ludzkiego nie wyzwala we mnie nic prócz uczucia najgłębszej odrzy i dożywotniego znużenia”.

Zdanie pobrzmiewa autentycznie. W innej redakcji i całkiem odmiennej sytuacji wypowiada je Hitler w ostatnim swoim bunkrze, jaki mu pozostał. Wówczas w Berlinie, w kwietniu 1945 r. wykrzykiwał — że „jeśli naród niemiecki nie zdola osiągnąć przeznaczonej mu wielkości, winien zginąć, bo nie jest wart życia”. Jeśli uznamy autentyczność cytatu o „spartolonym rodzaju ludzkim”, wówczas okazuje się, że w 1945 r. nie mając już człowiekowi władnięty od niedawna szaleńcem umysłowej choroby, lecz człowiekiem o głębokiej obsesji patoseksualnej, pochodzącej z wczesnej młodości lub dzieciństwa.

Tylko jedno trzeba dodać: obsesje Adolfa Hitlera awansowały do rangi doktryn politycznych uznanych za własne przez przytłaczającą większość Niemców z tamtych lat. Fenomenem jest, że uznali oni za swój „mit nadczłowieka”, który odpowiadał tak bardzo niedoładze i cherlakowi — Hitlerowi. Służył mu do przewyciężenia auto-wstrętności i obrzydzenia.

Oczywiście we wszystkich starych legendach ludzkość tworzyła swego bohatera: Gilkmesz u Sumerów sprzed wielu tysięcy lat jest najstarszym tego wzorem. Potem spotykamy Samsona u biblijnych Żydów, Herkulesa u Greków, Siegfrieda u germańskich Gotów, Kraka u Słowian. Oryginalność Hitlera polegała na dwóch rzeczach: na tym, że chciał on całkiem serio stworzyć naród Herkulesów, i tylko takich blond-Herkulesów, a nie pokurczy — jak on; i na tym także, że Niemcy na serio w to uwierzyli, a Hitler mógł przystąpić do praktycznej realizacji swoich pomysłów rasowych przy ich masowym poparci.

## WŁÓCZĘGA — AKWARELISTA

Gdyby ktoś napisał powieść, jak to się stało, że ów nędzny człowiek stał się absolutnym władcą ogromnego, silnego państwa, to gdyby nie było Hitlera — nikt by nie uwierzył realiom takiej książki. Oto, co sam bohater pisze na str. 35 „Mein Kampf” (str. 514—518, wyd. z 1940 r.):

„W latach 1909 i 1910 moje położenie nieco się zmieniło, gdyż już nie potrzebowałem zarabiać na chleb jak nie wykwalifikowany robotnik (Hilfsarbeiter). Wtedy pracowałem już jako samodzielny skromny rysownik i akwarelista. Chociaż co do zarobków wyglądało to smętnie — starczało ledwo na życie — ale było to korzystne dla wybranego przeze mnie zawodu. Po powrocie z pracy nie byłem już każdego wieczoru tak smiertelnie zmęczony, niezdolny do przeczytania książki bez zdrzemnięcia się. Moja obecna praca pokrywała się z moim przyszłym zawodem. Mogłem także teraz jako pan własnego czasu znacznie lepiej nim gospodarować, niż to działało się dotychczas. Malowałem dla chleba, a uczyłem się dla przyjemności”.

Nieco mniej poetycko, lecz znacznie bardziej brutalnie wyglądały te same sprawy według relacji p. Hermenza, nawiasem mówiąc, znacznie wiarygodniej:

„Widziałem go kiedyś przy robocie; pamiętam, otwierał kontury jakiegoś kościoła czy parlamentu; robił to pośpiesznie, nerwowo i gorączkowo, krzykliwie i chaotycznie. Było to, jak dziś widzę, tanie, jarmarczne efekciarstwo, dające upust niezkontrolowanemu wybuchowi inwencji operatorko zadufanego w sobie nieuka i dyletanta. Hitler operował zwykle grubą kreślącą. Lubował się w plakatywnej kolorystyce, zaczerpniętej jak gdyby z przepalającego mu zmysły widoku jaskrawych afiszów ulicznych. Nigdy niczego subtelnie nie wy-cieniował i żadnej kompozycji porządnie nie wykończył...”

Hitler przeważnie proponował kupno swoich bazgroł dobrze już zawiązanym gościom siedzącym w trzyczlorystych knajpkach. Prosił, by dali, co łaska, bo żadnej ceny na to, co robił, nie było. Upychał to z największą trudnością. Jeśli poszła jedna akwarela dziennie, uważał to za wielki sukces. Pomagałem mu je rozprowadzać, bo sam nie zawsze umiał sobie z tym poradzić...

Zazwyczaj, zanim gdzieś wszedł, mnie kazał najpierw dokładnie zbadać sytuację. Przedtem przewijał moment straszliwej tremy. Przez cały czas miał na oku tych, co lada chwila mogli go chwycić za kołnierz. A sprzedaż rozpoczynał dopiero wtedy, gdy personel zajęty czym innym nie zwracał na niego uwagi. Zresztą nie oferował swoich krzykliwych pocztówek byle komu. Do tych najlepiej wyglądających podchodził bardzo nieśmiało. Przekonany, że go natychmiast przepędzą, okrutnie się przy tym czerwienił i już z daleka kłaniał się nisko, po czym lekliwie, wciąż rozglądając się na wszystkie strony, delikatnym ruchem kładł kartkę z wizerunkiem gmachu publicznego na brzeżku marmurowego stolika, a rękę cofał natychmiast. A potem zaczerwieniony i cały mokry ze strachu krztusił się własną śliną, pół przytomny ze wstydu i upokorzenia, już tylko czekał na cios.

Lecz ja wiedziałem, że trząsł się z nienawiści!!! Pewny, że go zaraz przepędzą i zelżą, pokazywał im szurcze zęby w uśmiechu...”

Pewnego razu siedzący przy stoliku rosły Tyrolczyk zażądał natychmiastowego wypędzenia natręta z restauracji. Szatniarz wziął się do wypełniania swego obowiązku tak gwałtownie, że tecka z rysunkami wypadła Hitlerowi, jego akwarele zmoczyły się piwem rozlanym na podłodze. Przyszły wódz narodu zbierał je. Dostał kopniaka i w ten sposób opuścił piwiarnię. Potem, gdy jeszcze skręcał się z bólu od uderzeń i kopniaków szatniarza, wykrzyknął do swego towarzysza niedoli:

„Wszystko wolno! Tylko nie wolno być słabym i nędznym — rozumiesz?”

Byliśmy obaj tak osłabieni z głodu — mówi Hermenz — że w tej sytuacji nie mogłem i nie chciałem mu przeczyć.

W roli kombatanta na wiecu żołnierskim w Monachium w 1925 r.: „Dawny c.k. austriacki dezertjer”



„Ale ja ich jeszcze kiedyś dostanę swoje ręce i wtedy wytrzęsę z nich wszystkie wnętrzności! Oni... mnie jeszcze nie znają!”

Oto były prawdziwe „Hundejahre”, jak po niemiecku określa się „pieskie lata”. Tam przede wszystkim Hitler nauczył się nienawidzić, bo cała ideologia jego, którą później w jakiś mętny, ale przecież systemat ujął Alfred Rosenberg, a która w sposób rozstrzelony i chaotyczny wyłożona jest w „Mein Kampf” — brała się z obsesyjnych nienawiści.

## W ROLI TRAGARZA

Oto inny fragment przygód na wiedeńskim bruku, gdy po wielodniowych niepowodzeniach w sprzedaży swoich akwarel młody Adolf próbował być na dworcze tragarzem, ale bez koncesji, wbrew tragarzkiej siłwie. Tak o tym opowiada Wilhelm Hermenz:

„Pewnego razu, gdy im znowu odebrał klienta, a potem nie mógł unieść jego bagażu i przewrócić się na kamiennych schodach z dwiema skórzanymi walizkami, dopadli go dwaj atletyczni piwosze w niebieskich kitlach, podstępnie wciągnęli do ubikacji; tam ten wyższy chwycił go za kłapy od marynarki, potrząsnął nim kilka razy i z całej siły grzmotnął o przeciwległą ścianę, tak że o mało mu przy tym kościście wystającego nosa nie roztrzaskano. Kiedy wtargnąłem tam za nim, Hitler stał zgięty w pałąk, krew ściekała mu z twarzy.”

Udało mi się wyrwać im go z rąk i zaprowadzić do dworcowego punktu opatrunkowego, gdzie przeszło dwie godziny przeleżał na twardej ławce na wznak, lekarz długo nie mógł mu nic pomóc; pod wieczór zajęła się nami policja. Tu przy okazji stwierdzono, że obaj jesteście niedożywni, bezdomni i bezrobotni; dano nam więc skierowanie do żebraczego azylu w miejscowości Meidling, dokąd nas odstawiono w obawie, że sami nie pójdziemy... Panował tam nieludzki smród i potępieńczy zaduch; trudno było wprost wytrzymać, a nieraz i zasnąć przed świtem. Pod łózkami tępo stukwały blaszanki z resztkami skwaśniałej zupy, którą otrzymaliśmy na kartki od Bonifratrów. Tak. Zakonnicy ci prawie przez cały rok utrzymywali przy życiu Hitlera...”

To z tamtych czasów płynęły jego doświadczenia w sprawach socjalnych, gdy o ich rozwiązywaniu w Austrii na str. 24 „Mein Kampf” pisał:

„...wtedy, gdy wciągnięto mnie w okrąg niedoli, wydawało mi się, że bardziej zaproszono mnie na naukę, niż by na mnie samym chciano coś wypróbować. Nie było ich zasługą, że królik zdrowo i szczęśliwie przetrzymał zabieg.”

Jeśli to zdanie wyjmie się z „Mein Kampf”, nie wszystko jest jasne. Dopiero gdy Wilhelm Hermenz, bezpośredni, codzienny przyjaciel i towarzyszy niedoli biednego Adolfa z tych „Hundejahre” wiedeńskich opowiedział jak było, zaczynamy je rozumieć. Wszystko, co później Hitler wyrzucał z siebie, było produktem mienawiści, odwetu, obsesji z tamtych właśnie lat. On ciągle — aż do ostatecznego końca w berlińskim bunkrze Kancelarii Rzeszy, chciał się na kimś odgrywać, brać na kimś odwet.

## A WSPÓŁCZESNY ADOLF?

Nie należy nigdy lekceważyć nacjonalistów niemieckich. Nawet taki włóczyki wiedeński, jak Adolf Hitler z lat 1908—1912 może stanąć na ich czele. Przecież od chwili, gdy znalazł się na wiedeńskim bruku, upłynęło niespełna 12 lat, a w dużej sali „Hafbräuhaus am Platzl” w Monachium zebrało się 24 lutego 1920 r. około 2.000 ludzi. Tam właśnie Hitler odczytał po raz pierwszy program NSDAP. Zdobył poklask. Przypisał temu wiecowi tak wielkie znaczenie, że zakończył nim pierwszy tom swej faszystowskiej biblii:

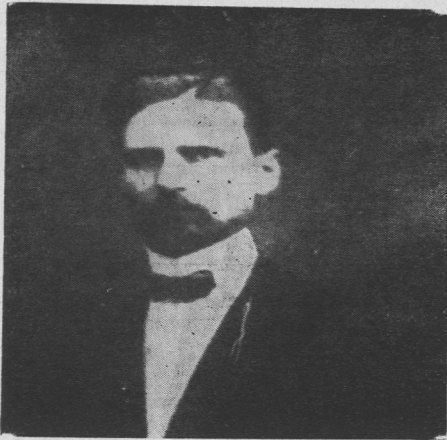
„Zapalono płomień, w którego żarze wykuje się miecz, a ten winien przynieść wolność germańskiemu Zygfyrdowi i odbudowę bytu narodu niemieckiego.”

W napływającym uniesieniu czułem kroki bogini nieprzejdanej zemsty, zemsty na wiarołomnym państwie 9 listopada 1918 r.

Tak oto opróżniła się sala. Nasz ruch nabierał rozmachu”. („Mein Kampf” str. 406).

Czy teraz Adolf II, nazwiskiem von Thadden, który nie był przed II wojną światową żadnym włóczykiem, lecz bogatym junkrem pruskim spod Szczecina, który zorganizował w NRF nową ekspansyjną partię nacjonalistyczną, miałby mieć mniejsze szanse niż jego poprzednik?





**P**ONIZEJ ogłaszamy nie publikowane dotąd listy polskiego górnika z kopalni z Noeux w Barlin — Kazimierza Trzebiatowskiego — prezesa tamtejszego gniazda „Sokoła”, pochodzące jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Trzebiatowski, urodzony w dawnej Kongresówce, wyemigrował wraz z rodziną na początku naszego stulecia i osiadł w Pas-de-Calais. Jako jeden z pierwszych wstąpił w szeregi Wolontariuszów Polskich we Francji w 1914 i poległ na polu bitwy 9 maja 1915 r. Listy Trzebiatowskiego zachowały się szczęśliwym trafem. Adresowane one były do prezesa Polskiego Zachodnio-Europejskiego Związku Sokoła — Wacława Gąsiorowskiego, pisarza i działacza emigracyjnego w Paryżu. Dotyczy spraw „Sokoła” w Barlin, założonego w 1910 roku. Są one cennym przyczynkiem do jego historii, a trzeba pamiętać, że tamtejsze

gniazdo „Sokoła” należało wtedy do najliczniejszych pod względem liczebności i najaktywniejszych organizacyjnie. Zrzeszało wielu polskich górników, a także polską młodzież emigracyjną. Wielu członków barlińskiego „Sokoła” stanęło w pierwszych szeregach Związku Wolontariuszów Polskich, a następnie w szeregach Armii Polskiej we Francji.

Przytoczone listy mimo prywatnego charakteru ukazują nie tylko fragment dziejów „Sokoła” w Barlin, ale obrazują też wiele spraw ówczesnego polskiego życia emigracyjnego w Pas-de-Calais.

Listy drukujemy w porządku chronologicznym, nowelizując tylko pisownię, pozostawiając wiernie ich treść jak i styl. Od redakcji pochodzą jedynie tytuły dodane do każdego z listów.

## PRZYCZYNNY DO DZIEJÓW KOLONII POLSKIEJ W BARLIN

# Listy Kazimierza Trzebiatowskiego

### SZTANDAR DLA BARLIN

Do Świątecznego Wydziału Polskiego Związku Sokolego Zachodnio-Europejskiego

w Paryżu

Uprzejmie zapraszamy Świąteczny Wydział Związku na uroczystość poświęcenia sztandaru dla Gniazda Barlin, mającą się odbyć w dniu 26 października w trzecią rocznicę założenia naszego gniazda.

Serdeczne „Czołem” zasyłam

Prezes Kazimierz Trzebiatowski  
Barlin, 16.X.1913 r.

### SPRAWY SZKOŁY

Szanowny Druhu Prezesie!

List zawiadomieniem o przyjeździe Sz. Druha Prezesa odebrałem i spodziewam się przyjazdu w sobotę dnia 20 grudnia. Radziłbym Szanownemu Prezesowi wyjechać z Paryża tym pociągiem, który przychodzi do Barlin o godz. 10 m. 45 rano, a to z tej racji, iż dyrektor kopalni mieszka i ma biuro w Noeux-les-Mines, a Noeux jest oddalone od Barlin o kilka kilometrów. Po obiedzie, to jest około godz. 2 wyjedziemy samochodem do Noeux do dyrektora i będziemy około godz. 3. Druh Prezes będzie miał czas rozmówić się z nim, a później wrócić do Barlin. W przeciwnym razie, przyjeżdżając do Barlin o godz. 2, możemy jechać do Noeux dopiero o godz. 4 m. 25, a komunikacja jest tak niedogodna, że w biurze nie będziemy wcześniej jak o godz. 6, a trzeba myśleć o powrocie do Barlin, a wtedy już pociąg nie ma, tylko samochód, o godz. 7.30, to za mało czasu pozostanie Sz. Druhowi Prezesowi do porozumienia się z dyrektorem. Można by jeszcze liczyć na samochód kopalniany, o ile by dyrektor dał, lecz to nie jest pewne.

Jest jeszcze inny sposób wyjścia. Jadąc z Paryża wprost do Noeux pociągami, który przychodzi do Noeux o godz. 1 m. 30 po poł., starczy czasu na wszystko, tylko nie wiem, czy w Noeux będzie można dostać obiad, a w Barlin nie będzie można być wcześniej jak o godz. 7 wieczorem.

Wczoraj mieliśmy miesięczne zebranie, na którym była poruszana sprawa szkoły polskiej i księdza. Wybrano trzech delegatów do Noeux: mnie, Forspaniaka i Ogrodowczyka.<sup>1)</sup> Zebrano 34 podpisy, lecz teraz nie wiem, czy nie zaskądzi to naszej sprawie, gdybyśmy sami przed przyjazdem Sz. Druha Prezesa poszli do dyrektora. Proszę o radę, jak mam postąpić, czy mam iść zaraz do dyrektora, czy też czekać przyjazdu Sz. Druha Prezesa. Gdyby Szanowny Druh Prezes orzekł, że mam iść do dyrektora przed Jego przybyciem, w takim razie proszę bardzo o przetłumaczenie naszego podania na francuski język, gdyż żaden z nas nie zna tak dokładnie francuskiego języka, aby prośbę przedstawić na piśmie i w możliwie krótkim czasie o przysłanie.

Prośbę tę podaję:

Do Wielmożnego  
Pana Dyrektora Kopalni Compagnie  
des Mines de Vicoigne  
et de Noeux w Noeux-les-Mines

<sup>1)</sup> Forspaniak Ksawery i Ogrodowczyk Wojciech — emigranci polscy, górnicy zamieszkałi w Barlin, pracujący w kopalni Noeux-les-Mines.

W niedzielę dnia 14 grudnia br. na zebraniu Polaków górników w lokalu Polskiego Tow. św. Barbary w Barlin wybraliśmy trzech delegatów: Kazimierza Trzebiatowskiego, Ksawerego Forspaniaka i Wojciecha Ogrodowczyka do przedstawienia W. P. Dyrektorowi naszych prośb, prosząc o ich uwzględnienie.

Z dużej liczby Polaków pracujących w Tow. Kopalni de Vicoigne et de Noeux wielu jest żonatych, a dzieci ich w wieku szkolnym, liczba których dochodzi do 60, pozbawione są oświaty i opieki szkolnej. Języka francuskiego nie znamy, abyśmy mogli dzieci nasze posyłać do szkoły francuskiej. To zniewala nas do opuszczania stron tutejszych, gdyż nie możemy na to pozwolić, aby dzieci nasze pozbawione były oświaty. Przetło upraszamy W-go P. Dyrektora o uwzględnienie naszej prośby i dania nam szkoły polskiej z nauczycielką Polką, która by dzieci nasze oświecała w duchu polskim.

Upraszamy również o stałego księdza Polaka, gdyż opieka duchowna, jaką mamy obecnie, nam nie wystarcza. Jesteśmy wszyscy katolikami i wiary naszej nie chcemy we Francji zgubić.

Mamy nadzieję, iż W-ny P. Dyrektor prośby nasze, uznając je za słuszne, uwzględni i dając nam pracę i utrzymanie, da również oświatę i religię. (Następują podpisy).

Proszę o informacje w tym względzie i proszę jeszcze raz zawiadomić, kiedy Sz-ny Druh Prezes przyjedzie.

Spodziewając przedkiego widzenia się z Sz. Druhem Prezesem, nic nie piszę o „Sokole” w Barlin, który się podnosi, gdyż o tym zdam sprawozdanie osobicie.

Serdeczne „Czołem” zasyłam

Kazimierz Trzebiatowski  
Barlin, 15.XII.1913.

✱

Szanowny Druhu Prezesie!

Pośpieszam zmienić swoją radę, gdyż plan inaczej trzeba ułożyć. Dowiedziałem się o dyrektora: otóż w sobotę nie będzie go w Noeux, ponieważ jedzie ułożyć się z delegatami względem strajku. Natomiast przyjmować będzie w niedzielę.

Przetło upraszam Szan. Druha Prezesa przybyć do nas do Barlin w sobotę o godz. 2 po poł. Na godz. 3 zaproszony jest Sz-ny Druh Prezes do p. Thiebeau inżyniera dywizjonera, który ma te szyby, na których pracują Polacy w Barlin, i bardzo dobrze usposobiony względem nas. W tej chwili wrócił od niego z biura. Gdyby dyrektor wrócił jeszcze w sobotę to, być może, iż Sz. Druh Prezes mógłby kopalnianymi kołmi lub autobusem jechać do Noeux. Gdyby zaś w niedzielę, to z samego rana wyjazd do Noeux, prawdopodobnie już tylko załatwić sprawę, a później wprost do Lallaing, nie wstępując do Barlin.

Przepraszam bardzo, iż moim pomysłem narobiłem tylko ambarasu, lecz nie wiedziałem jeszcze, że dyrektora w sobotę nie będzie. Inaczej się stało, lecz za to w sobotę będzie czas pomówić o sprawach sokolskich.

Serdeczne „Czołem” zacyłam

Kazimierz Trzebiatowski  
Barlin, 18 grudnia 1913 r.

✱

Szanowny Druhu Prezesie!

Dnia 4 stycznia rb. odbyło się w Barlin walne zebranie. Wydział pozostał stary, to jest: ja zostałem prezesem, Michał Turkowski zastępcą, Ksawery Forspaniak sekretarzem, Stanisław Broda skarbnikiem, Antoni Głowacki naczelnikiem, Jan Molek zastępcą, Franciszka Błaszczak naczelniką oddziału druhów.

Gniazdo nasze, chociaż najliczniejsze w I Okręgu, gdyż liczba członków dochodzi do 50, nie licząc druhów i chłopców, na słabych jeszcze oparte jest nogach. Braki te, o których dzisiaj wiele pisać nie będę, można by z czasem usunąć, lecz trzeba by poświęcić wiele pracy, lecz są chwile, iż cierpliwości nie staje. Gniazdo ma kilku druhów, którzy z Ogrodowczykiem na czele chcieliby rej trzymać po kryjomu, a którzy wiele szkody nam przynoszą. Na zebraniu 1 lutego doszło do tego, iż zebranie zaraz w początku zostało zerwane i ja noszę się z myślą, aby Ogrodowczyka usunąć z sali, a na jego miejsce wybrać przez ogół drugiego, a bufet przenieść na dochód Sokoła. Do osiągnięcia tego projektu potrzeba mi pomocy Sz. Druha Prezesa. W razie gdyby się to nie powiodło, trzeba by szukać lokalu dla zebrania gdzieś w Francuzi, a wtedy i wszelkim niesnaskom będzie koniec.

W kasie są pustki, a wiele rzeczy trzeba sprowadzić, aby czymś ludzi zająć. Z kopalni odebrałem już hanec<sup>2)</sup>, teraz robimy chorągiewki i malujemy je. W tym tygodniu jadę do Lallaing po świeże ćwiczenia hancami i w krótkim czasie zaczniemy ćwiczyć na dobre. Wspominałem Sz-mu Druhowi Prezesowi o legitymacjach, proszę więc odpisać czy otrzymam je z Paryża, czy też mam sam postarać się o nie. Przrzeczone mieliśmy jakieś angielskie ćwiczenia, więc jeżeli są one u Sz. Prezesa, proszę również o przysłanie. Potrzebna nam jest mapa Królestwa Polskiego, czy nie miałby kto w Paryżu, aby mógł nam jej udzielić? Sprowadzenie z Krakowa kosztowałoby 6—7 fr., lecz z frankami kruchy, iż jak wpadnie ich kilka do kasy, to nie wiadomo, co z nimi robić.

Proszę o wiadomość, kiedy przybędzie ksiądz? Bo szkoła pewnie nie będzie wcześniej, jak od początku roku szkolnego, a na przyjęcie księdza trzeba by jeszcze poczynić jakiegokolwiek przygotowania.

Andrzejewska przesyła serdeczne podziękowanie druhowi skarbnikowi za przysłanie ubranka dla dzieci. Sam nie pisałem do dr. skarbnika, gdyż na kopercie był adres, lecz nieczytelny. Kiedy Sz-ny Druh Prezes do nas zawita?

Gniazdo nasze zasyła Sz-mu Druhowi Prezesowi serdeczne „Czołem”.

Kazimierz Trzebiatowski  
Barlin, 5.II.1914.

PS.

Zycze powodzenia Szanownemu Redaktorowi jako też i nowej polskiej gazecie w Paryżu.<sup>3)</sup> Proszę o nią i proszę o poinformowanie mnie, ile mam wnieść za prenumeratę.

Mieszkanie zmieniłem, adres: Fosse nr 9, rue Casablanca 27 à Barlin (P.de. C.).

### SOKÓŁ DO SZTANDARU

Szanowny Druhu Prezesie!

I znów mam prośbę do Sz. Druha Prezesa. Otóż potrzebny nam do sztandaru brązowy sokół, lecz nie wiem, gdzie pisać po niego, bo nie

<sup>2)</sup> Hance albo hancie — przyrządy gimnastyczne.

<sup>3)</sup> Mowa o tygodniku „Polonia” — „Revue Hebdomadaire Polonaise”, założonym w Paryżu w 1914 r. przez Wacława Gąsiorowskiego, a wydawanym do 1918 r. Od 1914 „Polonia” redagowana była przeważnie w języku francuskim. Pismo było organem Towarzystwa Polskiego Literacko-Artystycznego i Comité Franco-Polonaise w Paryżu.

mam adresu. Przetło udaję się z prośbą do Sz. Druha Prezesa, aby był łaskaw sprowadzić owego metalowego sokoła, lub też w krótkim czasie dał nam adres, to sam napiszę. Gdyby Szanowny Druh Prezes sam sprowadził, to w cenie około 40 fr., nie droższ.

Wczoraj wysłałem 10 fr za gazetę, lecz nie do redakcji, bo okazowy numer zaginął mi. Gazetę proszę posyłać nie do „Sokolni”, lecz pod adresem, który dzisiaj podaję.

Serdeczne „Czołem” zasyłam

Kazimierz Trzebiatowski

Barlin. 10.III.1914 r.

Adres:  
Barlin (Pas-de-Calais)  
Fosse nr 9 rue Casablanca 27  
K. Trzebiatowski

### KŁOPOTY Z MIESZKANIEM DLA KSIĘDZA

Szanowny Druhu Prezesie!

Po odebraniu pierwszego listu byłem u inżyniera i u księdza dziekana. Zawiadomiłem o przyjeździe księdza i nauczycielki, inżynier zanotował sobie przypuszczalną datę przyjazdu, a ksiądz dziekan pytał się, czy jeszcze kto więcej z księdzem przyjedzie: siostra, matka lub któkolwiek do zarządzania gospodarstwem. Przypuszczałem, iż ksiądz sam przyjedzie, więc tak też odpowiedziałem i ksiądz dziekan mówił, iż w początku, nim się urządzi, stołować się może u niego.

Co do mieszkania, to wiem, jakie ono jest, gdyż kilka razy tam byłem. Na dole dwa małe pokoje, bez przedpokoju, prócz trzech czy czterech krzeseł i stołu nic więcej nie ma. Tapeta zabrudzona, poobdrapywana i pozdierana; na gorze też dwa pokójki, niskie, nieforemne i małe. W każdym z nich jest łóżko, takie same, na jakim. Sz-ny Druh Prezes spał w Barlin. Do mieszkania wchodzi się z podwórza, drzwi na podobieństwo takich, jakie są w Królestwie w stajni, u dołu drzwi nie dochodzą, iż można palec wsadzić. A na spodziewany przyjazd księdza wymyto podłogi.

Jest wiele domów w pobliżu Barlin, które by można przerobić na mieszkanie dla księdza. Lecz takie przerobienie potrwa miesiąc czasu. Najlepiej by było, aby Sz-ny Druh Prezes przyjechał z księdzem w poniedziałek wielkanocny i tam w Noeux wyrobił to, aby dali dla księdza polskiego inne mieszkanie. Dzisiaj pójdę do p. Thiebeau poradzić się, chociaż wiem, że to do niego nie należy. Ksiądz na jakiś czas zamieszkałby w starym mieszkaniu, nim nowe nie będzie zrobione. Prócz mieszkania dla księdza wyrobiłby Sz-ny Druh Prezes znośniejszy byt nauczycielce<sup>4)</sup>. Gdyby Sz-ny Druh Prezes nie przyjechał, można by z góry powiedzieć, iż nauczycielka powołana została tylko do wakacji, gdyż na takich warunkach, na jakich były dwie poprzednie,<sup>5)</sup> żadna długo w Barlin nie usiedzi.

<sup>4)</sup> Jadwiga Mrozowska — polska nauczycielka pochodząca z Krasiczyna, ucząca dzieci polskich górników do 1915 r. w Barlin, a także w sąsiednim Guesnain.

<sup>5)</sup> Mowa o pierwszej nauczycielce polskiej Domicelli Szmidównie z Galicji, której „Listy do Pana Prezesa” drukowaliśmy w pierwszym półroczu w „Tygodniku”. Drugą nauczycielką uczącą również w Lallaing a także w Guesnain i Barlin była Maria Chimiakówna.





Wszystkie młode, a każda pełna indywidualności. Są czymś mocno zaafektowane te żołnierki w spódniczkach, ale to chyba nic poważnego...

L'armée a toujours été considérée comme quelque chose de viril. Bien qu'étant un mot féminin le terme „armée” représente toujours ou presque une multitude d'hommes en uniforme, l'arme au poing ou à la bretelle. Cette notion était juste en général jusqu'au siècle dernier. En Pologne, il y a eu l'insurgée célèbre Emilia Plater qui au cours de l'insurrection de novembre prit part à la lutte et commanda même un détachement. C'est justement en son honneur que le premier détachement féminin de la nouvelle armée populaire polonaise qui vit le jour en URSS porta le nom d'Emilia Plater. Les aventures de ces femmes courageuses qui combattirent avec autant de cœur que les hommes contre l'ennemi qui occupait alors la mère-patrie ont inspiré un film que l'on est en train de tourner quelque part en Pologne. Les photos que nous vous présentons proviennent pour le plupart de ce film. Pour la plupart, car trois sont originales et montrent comment étaient vraiment ces femmes qui participèrent à tous les combats de Lenino à Berlin, en passant par Varsovie et les grandes étapes du combat de toute la nation polonaise contre l'ennemi haï. Les hostilités terminées, ces femmes, que l'on appelait les „platerówki”, ont décidé d'habiter en commun dans un village qu'elles avaient libéré. Ce village existe toujours et porte le nom de „Platerowo”. Seulement les premières habitantes ont pour la plupart changé de domicile, surtout après avoir trouvé mari et créé leurs propres foyers. Rares sont celles qui ont continué à servir dans l'armée où certaines ont atteint jusqu'au grade de colonel.



Nutka sentymentu pani sierżant(kó)?

Co? Mam się tak zupełnie rozebrać?



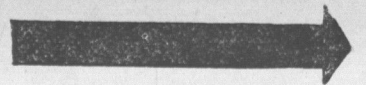
# ZA MUNDUREM PANNY SZNUREM

WYSTAWAŁY długo przed okienkami radzieckich urzędów wojskowych. Wręczano im kartę mobilizacyjną, ubożuchny furaz, rozkaz wyjazdu. Wyczekiwały całymi dniami na pociągi, by przebyć pół Azji, czy gdzieś z północy, z mroźnej tundry, czy z suchych stepów Kozachstanu, by dotrzeć na tyły frontu. Nad Oką, taką trochę podobną do Wisły, był obóz wojskowy, w którym komenda brzmiała w zasadzie po polsku, choć nie wszystkim łatwo to przychodziło, ale gdzie żołnierze byli polscy, i orzełki były na czapkach, i rogatywki. Tam nad Oką był kawałek Ojczyzny, do której spieszono — by była wolna.

Mówili ludzie: w mundurze, choć takim babskim — nietypowym, będzie najłatwiej dotrzeć prostą, krótką drogą. Dlatego chętnie przyjmowały karty mobilizacyjne i wcielenie do „batalionu fizylierek im. Emilii Plater”, jak nazywała się ta jednostka. Należała do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Polskich Sił Zbrojnych w Związku Radzieckim, ale

potocznie wszyscy nazywali go wówczas „bab-bat”. Dla pokrzepienia serc nadano batalionowi imię bohaterki wiersza Adama Mickiewicza „Śmierć pułkownika”. Wojsko polskie na Zachodzie miało swoje „Pestki”, a wojsko polskie na Wschodzie swój „bab-bat” albo „Platerówki” — jak mówili o nich inni.

W Warszawie czy gdziekolwiek indziej w okupowanej wówczas Ojczyźnie młodzież polska na pierwsze wezwanie stawała do szeregów żołnierskich, by walczyć o wolność swego narodu — przeciw niemieckiemu faszyzmowi. Dowództwo dywizji uważało, że dziewczęta z „bab-batu” winny walczyć jak inni frontowcy: z karabinem i granatem ręcznym. Tak niezupełnie wyszło, ale to już inna sprawa. Oczywiście były kobiety-partyzantki, walczyły młode kobiety bohatersko w Powstaniu Warszawskim — ale nie ludźmy się — kobieta walczy z bronią w ręku tylko w ostateczności. Nie ma ona instynktu wal-





# ZA MUNDU- REM PANNY SZNUREM



Woda zimna? Linka pewnie do ratowania topielic



Mundur pani porucznik skrojony, że ho, ho...

Dalszy ciąg ze str. 27



O czym też rozmawiają panie sierżantki? O ostrym strzelaniu?

ki zbrojnej. I to chyba dobrze. Te dziewczęta, które nad Oką ubierały się w drelichowe, normalne, wojskowe bluzy i spodnie, a potem takie trochę cudaczne szarawary, czyli spodnie spięte gumką na dole, tak by opinała nogę nieco powyżej kolana (później ten strój odrzucono) — więc te dziewczęta na początku bardzo poważnie myślały o tym, by zabrać się do bezpośredniego gromienia hitlerowców. Niektóre z nich nawet to robiły bardzo skutecznie. Jako całość jednak — „bab-bat” żadnych zadań operacyjnych czy taktycznych nie wykonywał. Pełniły natomiast dziewczęta ważne funkcje w sztabach, w szpitalach, w kwatermistrzostwie, w prasie, teatrze wojskowym, w łączności. Kto zliczyłby wszystkie ich zasługi? Ofiarnością „Platerówki” mierzym się nie różniły od innych rówieśnic swego pokolenia.

Poza tym z „bab-batu” wyszło

parę dzielnych, żeby nie powiedzieć „męskich”, oficerów liniowych na poziomie swej imienniczki, partyzantki antycarskiej Emilii Plater. Nie sposób ich wszystkich wymienić, ale por. Larysy Żakowicz pominąć nie można. To był oficer! Dowodziła kompanią moździerzy (sami mężczyźni!). Mimo dwukrotnego rannienia, ciągle wracała na front. Pod Berlinem dowodziła ogniem kompanii, by zamknąć drogę odwrotu osaczonej dywizji grenadierów pancernych SS. To było zaledwie 16 km od centrum Berlina. Topniejący w oczach oddział dwudziestoletniej dziewczyny był już w tym systemie okrążenia ostatnim, najcieńszym ogniwem pierścienia — tym, który nie pękł. Larysa padła ciężko ranna w chwili, gdy natarcie SS-owców zatrzymało się sto kilkadziesiąt metrów przed nią.

Wyobrażamy sobie kobietę-wo-

jownika raczej jak Walkirię z pieśni Nibelungów niż Joannę d'Arc, bo walka wymagała siły, brutalności. Larysa nie pasowała do tego wyobrażenia: była ładna, przystojna, szczupła — choć raczej wysoką dziewczyną. Wszyscy podkomendni chcieli na stałe przejść pod jej rozkazy, a jednemu nawet się to udało. To nie żart, naprawdę! On był dowódcą plutonu, sierżantem. Potem zdobył szlify oficerskie i wtedy Larysa za niego wyszła. Pan Żakowicz skończył wyższe szkoły wojskowe, uzyskał awans — i jest pułkownikiem, a p. Larysa została żoną, matką, cenioną działaczką w ruchu kombatanckim.

Także więc nawet najbardziej utalentowane, posiadające „nerw do walki” — młode dziewczęta w życiu oczywiście wybierały przy „ostatnim pierścieniu obrony” rolę kobiety. Niektóre właśnie dlatego, skoro tylko ucichły armaty, pośpiesznie zrzuciły mundur. Stawały do raportu, że „stan wojenny uległ zakończeniu” i one w wolnej Ojczyźnie znów chcą być zwykłymi dziewczynami.

Nie dla wszystkich „Platerówek” była to łatwa i prosta decyzja. Zza dalekich stepów wiodła prosta droga do Ojczyzny, ale nie do domu, bo domu nie było. Trzeba było zacząć od nowa, najlepiej nad Odrą i Nysą. Budowanie tam nowego życia było na pewno czynem patriotycznym, ale jakże trudnym. Puste ziemie pełne min, niewypałów, grasujących band rabusiów, różnych hitlerowskich uciekinierów. Małe miasteczka i wsie natomiast pozbawione ludzi — martwe. Trzeba było w nie wlać życie, włożyć własny wysiłek, stworzyć tam właśnie realną, dotykającą, prawdziwie własną Ojczyznę. Piękny, ale trudny cel.

Nie wiadomo, kto wpadł na tę myśl i trudno dziś powiedzieć — czy należała ona do szczególnie szczęśliwych. Nie było wtedy mądrych socjologów, którzy by się w tej sprawie wypowiedzieli. W każdym razie talka „Rzeczpospolita Babska” — jak nazwano nakręcaną obecnie polską komedię filmową — rzeczywiście istniała. Wieś także dziś nosi popularną nazwę „Platerowo”, bo osiadły w niej dawne fizylierki owego „bab-batu”. Może to nie było tak dokładnie, jak to przedstawiają autorzy komedii — bo w rzeczywistości te nadziały ziemi wzięły dziewczyny z rodzin chłopskich, a w filmie (żeby było bardziej ciekawie i zabawnie)



Ten uroczy plutonowy zaalarmował Amazonki. Nie wiadomo, czy napastnicy na serio się przestraszyli





Maszeruje wojsko, drzewa salutują... Coś chyba było inaczej, ale uśmiech polskich dziewcząt ten sam

sprawa się nieco inaczej przedstawia, ale pomysł był oryginalny; tylko sztuczny — bo nigdzie na świecie nie powstało jeszcze społeczeństwo Amazonek. Istniało tylko w starożytnej legendzie. To zawsze Sabinki były porwane — a nie na odwrót.

Nowe społeczeństwo tworzą rodziny, a zakłada je (przepraszamy, panie się nie pogniewają) mimo wszystko mężczyzna. Ma on oczywiście wiele, bardzo wiele przywar, ale takie oto zasadnicze

zalety: siłę fizyczną, instynkt obrony swojej kobiety, dzieci i poczucie obowiązku ich utrzymania. Czasem oczywiście zdarza się inaczej, ale normalnie taką właśnie rolę los wyznacza mężczyźnie. Kobietom wyznaczyła natura rolę matki, troszczącej się o to, co będzie w domu, o dzieci. Odwrócenie ról — to prawdziwe — we wsi Platerowo udało się tylko w tym znaczeniu, że dziewczęta-kombatantki szybko postarały się o mężów, którzy przyszliz za po-

sażnymi pannami z własnym, uzyskanym za służbę wojskową „wianem” hekstarów. Razem twardo uchwycili ziemię nad Odrą i Nysą. Początki nie były jednak ani wesołe, ani łatwe. Czekal tych młodych ludzi los identyczny z resztą polskich repatriantów, którzy wracali na stary, historyczny szlak Piastów — musieli zaczynać przecież całkowicie od początku.

Co to było za szczęście, gdy przydzielono konie! Albo gdy



Gentelmeni-saperzy szukali nie tylko min. Co też zobaczyli?

przydzielono dla wsi kilka krów, które nadeszły w ramach planu dostaw UNRA!

Ludzie wychodzili z pługami na pola, które jeszcze do końca nie były rozminowane. Rzykowali życiem, żeby żyć. Ze zgrzyotą patrzyli na niektóre spłachcie urodzajnej ziemi, które dopiero specjaliści potrafili całkowicie rozbroić.

Tępilli myszy, które rozplemiły się na polach z konieczności leżących odłogiem. Szukali sposobów tępienia chwastów. Nie mieli żadnych nawozów. To, że już po dwunastu latach ziemię nad Odrą i Nysą zaczęły dawać więcej plonów niż przed 1938 rokiem, było prawdziwym sukcesem całej gospodarki krajowej, w tym także osadników wojskowych, tych „zwykłych” i tych „w spódnicach”.

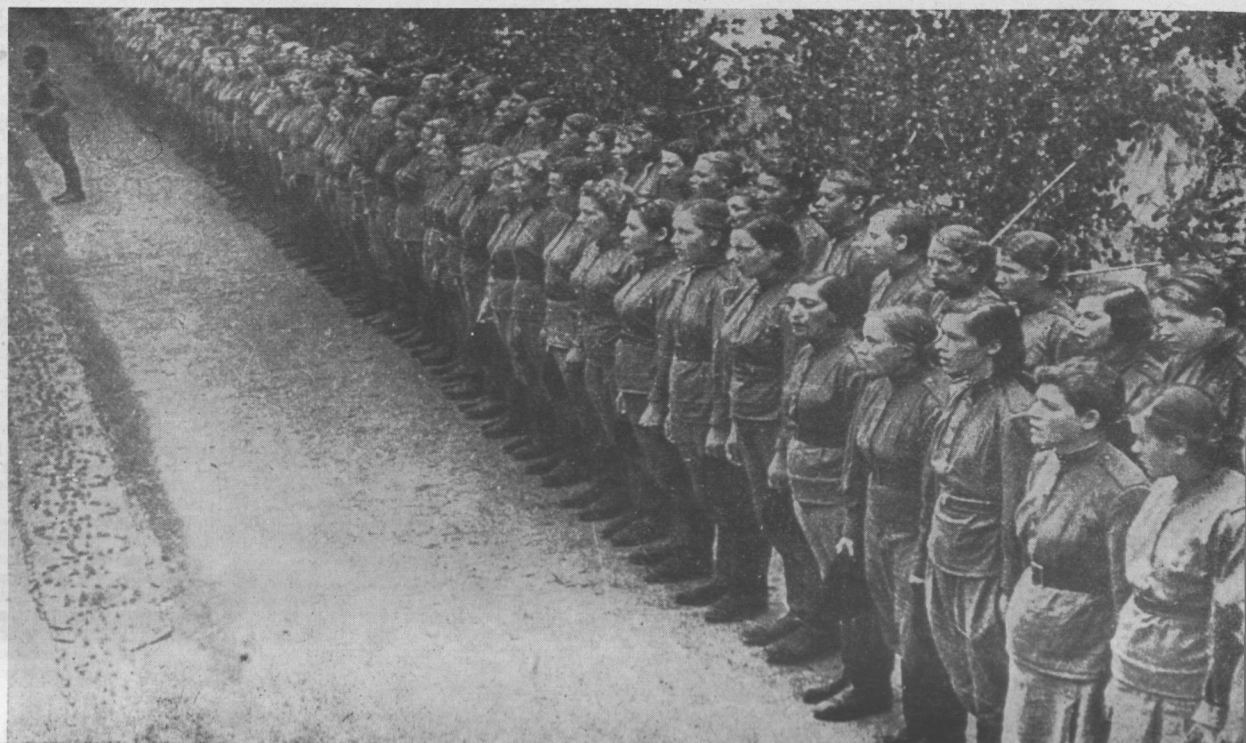
...ale, ale! Ta szczególna anormalność sytuacji, że oddział dziewcząt-żołnierzy przybywa do małej miejscowości, jest tematem wspaniałych gagów, krótkich spieć, intrygi komediowej. Młode dziewczęta trochę są Amazonkami, trochę Sabinkami — które na pewno chciałyby być porwane. Oczywiście natura młodych kobiet w zielonym mundurze czy w strojnej sukience jest przecież identyczna. To tylko życie spłatało figla, wywracając wszystko do góry nogami.

\* \* \*

Zdjęcia, którymi ilustrujemy tę prawdziwą historię, pochodzą z filmu pt. „Babska Rzeczpospolita”, którego bohaterkami są „Platerówki”. Na końcu zamieszczono dwa zdjęcia historyczne — tak wyglądały naprawdę.

## A tak wyglądały naprawdę

Przysięgę składały dziewczęta jesienią, gdy jeszcze liście nie opadły. Dziwnie trochę wyglądały te młode dziewczyny na starcie swej wojskowej kariery. Na fotografii poniżej — po dwóch latach służby. Zdjęcie zbiorowe na dachu Reichstagu w zdobytym Berlinie należało do ceremoniału w owym maju 1945 roku. Oba zdjęcia wybraliśmy z prywatnego albumu. Może mundurki nie takie, może życie nie było takie zabawne, ale wtedy, w maju 1945 roku, wszyscy cieszyli się dojściem do krańca tej drogi.





# SPODENKI I ĆWIKŁA

Teodor Niewiadomski

## czyli PIŁKA NOŻNA ZA DRUTAMI

Skończyła się wiosna 1944 roku...

OKOLICE Hoyerswerde, miasteczka położonego niedaleko Zgorzelca, zamieszkałego przez ludność, która ostała się wielowiekowej germanizacji — Łużyczan. Pełno tam było wówczas jeńców wojennych reprezentujących wiele nacji europejskich. Jeden z wielu obozów rozsiadanych na obszarach Rzeszy ulokowano w celach „zdrowotnych” na terenach podmokłych, depresyjnych; aby cel osiągnąć szybko, kazano jeńcom mieszkać w dużych namiotach. Obóz nosił nazwę Stalagu IV A. Wegetowali tam podoficerowie i żołnierze, mając obecnie wiele czasu do rozmyślań nad marnością tego świata i wiele czasu na marzenia. Były to marzenia dość przyziemne. Wyobraźnia przeciętnego gefangena zamieniała zupę „kraszoną” zylastą brukwią na pajdę polskiego chleba wiejskiego, grubo posmarowanego smalcem, garniowanego trzeszczącą w zdrowych zębach skwarką. Obozowym nietaktem było głośno marzyć o ekskluzywnym w tych dniach — narodowym schaboszczaku z kiszoną kapustą. Bigos byłby już powodem do śmiertelnego gniewu.

Można było nawet dokonywać wymiany seansów marzeń. Przy codziennym posiłku dokonywał jej rasowy śląski pieron, pochodzący z przedmieść Katowic — kędzierzawy Hanys. Z góry wiedzieliśmy od czego zacznie, nim zagłębi swoją łyżkę w czeluściach blaszanej puszki.

— Pierona! Moja dziouška za...

I zaczynał wymieniać śląskie przysmaki poczwazy od olbrzymich parzonych klusek, kończąc na smakołykach nieznanych słuchaczom pochodzącym z innych rejonów Polski. Jądlospis miał długi. Nim skończył wyliczanie, co chciałby w zamian za

swoją dziouškę, łycha waliła już w puste dno.

Nie zgodził się tylko na jedną zmianę. Mimo wielkiej wściekłości naszych obecnych gospodarzy, Hanys za żadną cenę nie chciał wymienić swojej polskiej ojczyzny. Na częste propozycje, by zrozumiał dobrodziejstwo Führera, że chce uznać jeję krew za niemiecką, Hanys niezmiennie odpowiadał:

— Pierona! Jestem polski Ślązak i zbyte! Nie lubia ichniego koloru! W tych barwach jest mi nie twarzowo!

Kończył poezją:

— W takim kolorze?... i moja dziouška nie puściłaby mnie do łózka.

Cóż dopiero miałem mówić ja, parząc na swoje zielone, bufiaste portki, mocno szamerowane srebrem, symbol karnej kompanii tutejszego Stalagu. Portki pochodziły z remanentów niemieckiego Wehrmachtu. Zapewne pamiętały czasy wilhelmowskich kirasjerów. Paradowałem w nich za to, że nie chciałem korzystać z niemieckiej gościnności i pozwoliłem sobie już po raz drugi związać z obozu. Dwa razy zwracano mnie z połowy drogi do rodzinnej Warszawy. Wracalem w honorowej asyście i jeszcze długo nosiłem widoczne dowody przywitania: dwa fioletowego koloru „flimony”. Były to wspomnienia pięści feldfelbla Fritza Schlappke.

Pewnego poranka w maju 1941 obozowe władze obwieściły, że polscy jeńcy wojenni są łaskawie zwolnieni — idą na wolność. Tylko warunek: należy podpisać dobrowolną deklarację, że jeniec wojenny pozbywa się orzełka z czapki, a na piersiach przypnie

literę „P” — symbol hitlerowskiej „wolności”.

„Tygodnik Jeńca Wojennego” — urzędowy organ polskich gefangenen redagowany i wydawany w „urdeutsche Stadt Posen” większość szpalt poświęcał dobrodziejstwu płynącemu z wielkodusznego aktu Führera. Obozowa komenda sięgnęła po inne sposoby. Rozpoczęto wysyłać zbiorowe „Arbeitskommando” do fabryk, majątków oraz większych zakładów pracy. Obóz pustoszał. Ospali wartownicy szukali rozrywek dla zabicia monotonnego życia. Ktoś z obozowych bonzów z żyłką sportowca wpadł na pomysł zorganizowania meczu piłkarskiego między jeńcami narodowości francuskiej i polskiej. Pętali się bezczynnie między namiotami lub komentowali ruchy wojsk na froncie. Międzynarodowe zawody piłkarskie rozgrywane za drutami — tego jeszcze nie było.

Starsi obozu postawili komendanturze warunki: obóz kondycyjny z odpowiednim jadłospisem wzmacniającym zwiotczące mięśnie. Siedem dni „zgrupowania” upłynęło pod znakiem gęstego makaronu obficie wymieszanego z „lilim gulaszem, pochodzącym z okolicznego lasu. Z takiego obrotu sprawy najmniej były zadowolone wystraszone hukiem strażów dawno zadomowione lisy — cel polowania, natomiast więcej zadowolenia wykazywały żony obozowych myśliwych, obdarowane skórąmi.

W przeddzień międzynarodowej imprezy obozowy kwatermistrz opasły Jung wydał dwa komplety kostiumów i jak przystało na starego kibica „Schalke 04”, wydał je drogą losowania, nie omieszkał przy okazji popisać się swoimi zdolnościami poligloty.

„France... noir!” „Polski biała”

Dla pewności podkreślił to w swoim ojczystym języku.

„Frankreich schwarz... Polen weiss!”

Do naszych białych spodenek i koszulek wspaniałomyślny Jung skrupulatnie wycylił odpowiednią ilość skarpet i używanych buciurów. Ujrzelismy potem rozplakatowane zawia domienia o niezwykłym meczu. Jakis domorosły ręczny drukarz wykonał dwujęzyczny tekst na niewielkich tekturowych kartonach.

Różnojęzyczne okrzyki powitały wkraczające na boisko drużyny. Jedynie przeciwna strona apelowego placu, ekskluzywna, trybuna, na której zajmowali miejsca obozowi dygnitarze z ascetycznym oberstem na czele, zamarla z wrazenia. Impetyczny Schlappke mrugał oczami, jakby przed sobą ujrzał co najmniej brygadę nieprzyjacielskich czołgów, których jeszcze nie oglądał podczas tej wojny. Sędziujący zawody Jung na widok polskiej drużyny przecierał oczy. Przecież dopiero wczoraj wieczorem własnoręcznie wydawał polskiemu zespołowi idealnie białe kostiumy.

A teraz? Obok drużyny w czarnych barwach, stała jedenastka Polaków w czerwonych spodenkach, jaskrawo odcinających się od bieli koszulek, na których dumnie widniały haftowane na suknie orzełki.

Komendant Stalagu dał jednak znak, by rozpocząć zawody. Przy gorącym dopingu jenieckiej braci rozpoczęła się gra. Już pierwsze zagrywki zepchnęły francuski zespół do defensywy. Nie pomogły techniczne tricki wielokrotnego reprezentanta francuskiego Nicolais. Polskie „orły” prowadziły do przerwy trzy do zera. Bogaty łup bramkowy przypadł w udziale: Hanyśowi, który grywał przed wojną w śląskim klubie A-klasowym z Bogucic. Jedną bramkę strzelił z rzutu karnego broniący bramki — Pawłowski, przedwojenny bramkarz WKS „Smigły” z Wilna. Trzecią bramkę, zresztą zupełnie przypadkowo, strzelił ja wykorzystując nieporozumienie

nie francuskich obrońców. Po przerwie padła jeszcze jedna bramka strzelona przez Koguta — pierona z chorzowskiego AKS — niegdyś I-klasowego. Nie mogliśmy jednak dopuścić do tak sromotnej porażki naszych przyjaciół na oczach Niemców.

Nie pomogły nawet pojedyncze zachęty „trybun”, z których dobiegały chrapliwe „Polen vorwärts!”. Zgorszony oberst zlikwidował te okrzyki jednym spojrzeniem. Polska przecież nie istniała, wykreślono ją z map Europy.

A ja czekałem. Do znużenia dryblowałem, wodząc się z piłką coraz bliżej ławki, na której siedział Schlappke, mój stary prześladowca. Wreszcie gracz drużyny francuskiej wpadł na mnie z zamiarem odebrania piłki. Piłka skierowana w jego stronę wróciła na moją nogę. Na to tylko czekałem. Idealnym wolejem w stronę bramki przeciwnika, a właściwie... Włożyłem w to wszystkie zdobyte w siedmiu dniach kalorie. Kopnąłem piłkę z całej siły prosto w Schlappkego. Padłem udając kontuzję.

Od strony trybun biegł rozjuszony, z ociekającym krwią nosem poszkodowany feldfelbl. Biegł z pierwszą kontuzją odniesioną w tej wojnie. Osadził go na miejscu krótki rozkaz zasuszonego obersta:

— Schlappke! Zurück! Ruhe!

Nie doczekałem się końca meczu. W towarzystwie troskliwych gefangenen udałem się do obozowego ambulatorium. Dyżurny sanitariusz był mocno zdziwiony na widok mojej obandażowanej nogi, na której nie mógł się w żaden sposób dopatrzeć śladu kontuzji. Już wiedział o przygodzie Schlappkego. Pod dużą ilością jodyny znikł olbrzymi siniak. Większa ilość ligniny i papierowego bandaży pozorowały, że moja noga jest poważnie kontuzjowana.

Z sąsiedniego murowanego baraku, w którym mieściła się izba chorych dla Niemców, wychodził z watą w dziurkach swego fioletowego nochala — Schlappke. Na widok podniesionej do góry lewej nogawki moich portek, spod której wyglądała baniasta noga opakowana górą bandaży, w jego oczach zatliło się wahanie, ale za chwilę już wygrażał:

— Du alte Warschauer Halunke! Du Schurke!

Starego obersta widocznie tej nocy gniebiły sny o kolorach naszych majtek i polskich orłach. Wezwano do raportu zwycięską jedenastkę. Obok stojącego jak zwykle z monoklem w oku starego junkra, stał w pełnej szacunku podstawie, wczorajszy sędzia Jung. Oberst już wiedział o orzełkach, że pochodziły z naszych połowych rogatywek. Natomiast co do czerwonych spodenek posadzał nieszczęsnego Junga, że nie znał naszych barw narodowych.

— Polnische Soldaten! Nie będzie żadnej kary. Proszę tylko powiedzieć, kto wam to dał?

Wystąpił Hanys najlepiej mówiący po niemiecku.

— Pierona! — zaczął — Nikt nie dał! Spodenki moczyły się całą noc przed meczem w beczce pełnej kiszonych czerwonych buraków, którymi nas czasem karmicie.

— Gott in Himmel! Das sind nur Polaken!

Tylko tyle powiedział oszołomiony tym niecodziennym wyjaśnieniem oberst. Jung stał z otwartą gębą. Wróciliśmy do naszych namiotów.

„Tygodnik Jeńców Polskich” poświęcił jedną ze szpalt najbliższego numeru wyczynom sportowym hoyerswerdzkich stalagowców. Nie wspominał jedynie o czerwonych spodenkach i kontuzji Schlappkowego nosa.

STALAG IVA  
STADION NA „SWIŃSKIM TARGU”  
dojazd pieszo: przez Zakątek Łatynny i ul. Capstrzyków  
W dniu 1 czerwca 1941 r. o godz. 10<sup>00</sup> odbędzie się  
międzynarodowy mecz piłkarski reprezentacji jeńców  
FRANCJA — POLSKA 4:0  
miejsce tylko stojące  
Opłata: 1 „JUNAK”  
SILKBAZAR DES COCHONS  
Communication: par le del. Latynny, et quelle d'Appel  
Le 1 juin 1941 a 16 heure au stade on jouera international  
metsch de la balle à pied entre les representants des prisonniers  
POLOGNE — FRANCE  
Les places seulement debout  
Preis d'entree: 1 „Gaulasse”

Kriegsgefangenenpost  
Rückantwortbrief  
An den Kriegsgefangenen  
Niewiadomski  
4510  
Gefangenenummer:  
Lager-Bezeichnung: Stalag IV A  
Gebührenfrei  
Deutschland (Allemagne)



Pasjonującą powieść przygodową pt. „Znojny chleb” autor — Władysław Umiński przeznaczył wprawdzie dla młodzieży, jednak niejedynemu dorosły Czytelnik znajdzie w niej wiele ciekawych wątków autobiograficznych. Książka Umińskiego mówi bowiem o losach młodego polskiego emigranta, Sobiesława Mrockiego, syna poznańskiego rzemieślnika, który zmuszony jest opuścić ziemię i rodziców, opuścić Poznań, „miasto rozpaczliwej walki polskości z nacierającą potężną falą germanizmu”, by szukać miejsca pod obcym niebem Brazylii, Nowego Jorku, Kalifornii.

Autor opowieści znał ówczesne losy Polaków rodem z Poznańskiego i Bydgoskiego, bowiem sam z tych stron pochodził. Urodził się w miasteczku leżącym wśród lasów otaczających Jezioro Przedeczkie, w Przedeczu (pow. włocławski, woj. bydgoskie). Z tych też okolic wywodzi się wielu bohaterów kilkunastu jego powieści, broszur i książek fantastyczno- i popularnonaukowych. Nauki pobierał jednak w Warszawie, dokąd przenieśli się jego rodzice. Tam też skończył gimnazjum, wydział przyrodniczy zaś na uniwersytecie w Petersburgu. Zadebiutował książką pt. „Zwycięzcy oceanów”, mając 26 lat. Wiele podróżował, wygłaszał odczyty popularnonaukowe, wiele pisał.

„Znojny chleb” Władysław Umiński drukował najpierw w odcinkach w „Wieczorach Rodzinnych”, (1909—1910), a w 1912 r. ogłosił powieść drukiem. „Pisarz ten co roku dostarczał młodzieży utworów beletrystycznych o treści oświatowej — niezastąpionych, jak na owe czasy, gdy w szkołach nie uczono nas geografii Polski, nie istniało harcerstwo, a o krajoznawstwie i sportach zaledwie marzono” — pisał wówczas Eustachy Czekalski. „Kiedy Umiński pisał «Znojny chleb», dramatyczne wypadki we Wrześni — czytamy w postawieniu Stanisława Zielińskiego do książki — i głośna na cały świat sprawa Drzymały z Podgrodowic należały do przeszłości oddalonej zaledwie o kilka lat. W atmosferze ucisku i narastającego zagrożenia obrona polskości przy pomocy zaborczych kodeksów prawnych rokowała nikiłe szanse powodzenia. W tym samym roku, w którym „Wieczory Rodzinne” kończyły druk zamorskich przygód Sobiesława Mrockiego, na terenie Kraju zawiązywały się tajne organizacje przygotowujące młodzież do służby dla Polski”...

Dodajmy, że do Francji przybywały wówczas z różnych zaborów Polski liczne rzesze uchodźców, że w dwa lata później większość polskich emigrantów wstąpiła w szeregi wolonariuszów polskich, podobnie jak czynili to Polscy wychodźcy przebywający tam, gdzie przebywał bohater „Znojnego chleba” — w Stanach Zjednoczonych.

Książka Władysława Umińskiego ukazuje więc niezwykle ciekawą epokę w dziejach polskiego narodu, w dziejach wprawdzie sprzed półwiecza, a jednak jakże bliskich wielu z naszych Rodaków.

(Red.)

Władysław Umiński

## ZNOJNY CHLEB



## CHWILKA ZAPOMNIENIA I DONIOSŁE JEJ NASTĘPSTWA

Sobiesław Mrocki, którego przygody mam zamiar opowiadać, urodził się w zaborze pruskim, w Poznaniu, w mieście rozpaczliwej walki polskości z nacierającą potężną falą germanizmu.

Rodzicem jego był skromny rzemieślnik, stolarz. Był to człowiek inteligentny, kochający bardzo swoją nieszczęśliwą ojczyznę, jeden z dzielnych wojowników w tej bezkrawawej walce, jaką toczyło społeczeństwo polskie z potomstwem Krzyżaków, walce nierównie okropniejszej od wielu zapasów z bronią w rękę.

Zaborcy znali jego usposobienie i prześladowali starego Mrockiego nie tylko w życiu publicznym, ale i na każdym kroku.

Sobiesław został wcześniej oddany do szkoły, gdzie na równi z innymi dziećmi cierpiał srogie prześladowania za umiłowanie języka praocjców; niejednokrotnie wracał do domu posiniaczony trzcina niemieckiego pedagoga, z goryczą w sercu i kielkującą do ciemności nienawiścią, która obrzydzała mu naukę. Musiał się jednak uczyć i uczył się. Wstąpił wreszcie do gimnazjum, gdzie w dalszym ciągu trzeba było znosić znęcanie się profesorów.

Ojciec koniecznie pragnął wykształcić swego najstarszego syna na lekarza albo na adwokata.

— Jak to będzie ładnie, Sobiesławie, jeżeli będziesz prawnikiem i będziesz umiał bronić rodaków przed sądami pruskimi! Ilu niewinnie oskarżonych wybawisz od kary, ile ataków ślepej nienawiści odeprzesz z kodeksem w rękę!

Tak czasami marzył sobie stary Mrocki nie wiedząc, że te marzenia pozostaną nie ziszczone.

Sobiesław nie skończył gimnazjum, a to dla następującej przyczyny.

Był pilny, uczył się dobrze, lekcje odrabiał zawsze starannie; miał tylko bardzo daleko do szkoły, bo rodzice mieszkali na przedmieściu, • trzy kilometry od gimnazjum.

Nic więc dziwnego, że w zimie zdarzyło się chłopcu spóźnić parę razy na wykłady.

W pruskim gimnazjum, jak w koszarach, karność utrzymywano pięciami.

Panował tam zwyczaj, że uczniom, którzy się spóźnili choćby o parę minut, nie wolno było wchodzić już do klasy, ale musieli oni czekać na korytarzu, aż nauczyciel, skończywszy lekcję, rozmówi się z nimi.

A rozmowa ta była jedyna w swoim rodzaju.

Nauczyciel, spasiony na piwie, czerwony jak ćwik, zatrzymywał się przed ustawionymi w szeregu chłopcami i pytał pro forma o powód spóźnienia się; potem bił, wyprostowanych jak świece, z całych sił w twarz. Było to „ojcowskie napomnienie”. Chłopiec do czternastego roku życia nie może mieć, według pruskiego poglądu, poczucia godności. Jako bursz, obowiązany jest stawiać do śmiesznej walki na papierze o byle jakie skrzywienie palcem, będąc zaś chłopcem nie ma prawa obrażać się nawet za policzek wymierzony brutalnie przez „pedagoga”.

Za pierwszym razem Sobiesław, otrzymawszy takie napomnienie za niepunktualność, płakał całe trzy dni; za drugim — odchorował tydzień, ale przysiągł sobie, że po raz trzeci nie znieśnie już takiej obelgi.

• Unikał więc jak ognia spóźnienia i w ogóle starał się wszelkimi siłami być w porządku. Nieszczęście jednak chciało, że pewnego zimowego ranka ojciec Sobiesława wstając z łóżka zemdlął, upadł na podłogę i boleśnie się skaleczył. Sobiesław, jako dobry syn, pomagał matce opatrywać rodzica i przybył do szkoły o całe pół godziny za późno. Nie byłoby to nic, gdyby nie trafił akurat na lekcję nauczyciela historii, który najbrutalniej postępował z uczniami. Inni zresztą profesorowie czynili to samo, ale przynajmniej uwzględniali powody poważne. Historyk zaś nauczający, że „Polska była to kraj barbarzyński, który powinien czuć wdzięczność dla Prusaków za to, że wkroczyli doń, aby zaprowadzić porządek i cywilizację”, był nieubłagany.

Ujrawszy Sobiesława stojącego na korytarzu, zatrzymał się przed nim z ironicznym uśmiechem.

Chłopiec, błąd ze strachu, zaczął się tłumaczyć ze łzami w oczach, ale nauczyciel, nie słuchając nawet, zamierzył się i gruba jego ręka spadła na chudą twarz chłopca. Ten instynktownie uchylił się, co doprowadziło historyka do wściekłości.

— Gerade stehen! \* — zakomenderował.

Sobiesław polykając łyżę wyprostował się. Wtedy nauczyciel wymierzył mu potężny policzek z przeciwnej strony.

— Ja cię tu wyprostuję, poczekaj! — zawołał.

Już zamierzył się po raz trzeci, kiedy Sobiesław, doprowadzony do rozpacz, rzucił mu obelgę i uciekł.

Ojciec płakał razem z synem, ale przyznał mu słusność.

— Nie mogłeś inaczej postąpić — rzekł.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że śmiały czyn Sobiesława pociągnął za sobą surową karę i wydalenie z gimnazjum, jako dodatek do niej.

Sobiesław wstąpił na praktykę rolną do jednego z majątków polskich, przebył tam kilka lat i skorzystał bardzo wiele. Właśnie miał zostać rządcą w jednym z folwarków, kiedy wzięto go do wojska. Ponieważ umiał doskonale jeździć konno, był sprytny i zgrabny, więc przeznaczono go do artylerii konnej. Byłby zapewne skończył służbę szczęśliwie, gdyby nie uległ na jedną krótką chwilę zapomnieniu. A ta krótka chwila oburzenia i gniewu, nad którym nie umiał zapanować,

zadecydowała o całej jego przyszłości, ściągnęła nań długi szereg cierpień, które mam zamiar przedstawić w dalszym toku powieści.

## W ARTYLERII PRUSKIEJ

Poranek zimowy. Jest już ósma, a słońce dopiero co wyrzało w ognistej chmurze spośród nędznych domostw przedmieścia poznańskiego i zalewa zimnym światłem ciasne podwórko, gdzie odbywa się niezmiernie smutna scena pożegnania. Sobiesław, już w szynelu żołnierskim, z tobołkiem na plecach, ściska po raz ostatni rodziców. Matka przypada do piersi ukochanemu synowi i nie może oderwać od nich swej siwej, zrozpaczonej głowy.

— Sobiesławie, Sobiesławie, już ja ciebie nigdy nie zobaczę!

— Ależ co znowu, matko! Wróć, dostanę urlop, zobaczysz się! — protestował chłopiec, który nie miał podobnie smutnych przeczuć. — Będę często pisywał o wszystkim, nie zapomnę was nigdy, przynigdy!

Całował rozszlochaną, mokrą od łez, pomarszczoną twarz staruszki, potem jej spracowane ręce, które kurczowo zacisnęły się dokoła jego szyi i nie chciały go puścić.

Ojciec stał obok pogrążony w ponurym milczeniu i gryził wargi, żeby odęgnąć wzruszenie, które nim owładnąć chciało. Staremu rzemieślnikowi łyżę cisnęły się także do oczu, ale panował nad sobą.

— Wróci, co nie ma wrócić! — pocieszał żonę. — Ot, chłop tęgi, zdrow, nic mu nie będzie. No, błogosławie ci, moje dziecko kochane. Pamiętaj o nas, przede wszystkim o ojczyźnie, nie popelnij nic takiego, co by było niezgodne z imieniem Polaka. Spełniaj swoje obowiązki, o ile ci twój honor pozwoli. Idź, skróć mękę rozstania matce, która cię kocha, jak każda kobieta kocha swoje dziecko. Myśli nasze i serca będą zawsze przy tobie! A to schowasz sobie na czarną godzinę! — dodał wtykając synowi w rękę papierek. — Na czarną godzinę. Rozumiesz?

Sobiesław przypadł do nóg ojcu, uściśnął serdecznie matkę, ręce jej ucałował i wybiegł z podwórka nie oglądając się.

Biegł śnieżną drogą, goniąc swój długi cień pełzający przed nim.

Ból rozsadzał mu piersi, ból rozstania z tymi, którzy go najbardziej kochali, którzy mu najlepiej życzyli. Łzy perliły mu się na policzkach zarożowionych mrozem.

Musiał zdążyć punktualnie na punkt zborny, gdzie oczekiwała jego partia, przeznaczona do małego miasteczka na Śląsku, nad samą granicą. Przyszedł w ostatniej chwili. Rekruci już stali w szeregu, podoficer odczytywał listę. Sobiesław stanął na końcu, odkrzyknął, usłyszawszy swoje nazwisko, i odetchnął.

Odtąd był już żołnierzem. Stało się!

Otucha wstąpiła w jego serce, kiedy spojrzął na twarze kolegów, po większej części Polaków, a nawet znajomych.

Kiedy więc partia wsiadła do wagonu, Sobiesław dla dodania sobie animuszu zaintonował wesołą polską piosenkę, którą natychmiast podchwycili inni, i chór młodych, potężnych głosów zagłuszył turkot pociągu po szynach stalowych.

Spiewano, twarze rozpozodziły się i wkrótce może smutek pierzchnąłby z duszy, gdyby nie zjawienie się podoficera prowadzącego partię.

Niemiec, usłyszawszy polską piosenkę na ustach rekrutów pruskiej armii, wpadł we wściekłość.

— Maul halten! \*\* — ryczał przeskakując do najbliższych siedzących młodzieńców. — Zakazuje wam śpiewać w tym przeklętym języku! Jeżeli chcecie, możecie zaintonować sobie „Wacht am Rhein!” \*\*\*

Ale chłopcy nie przestawali śpiewać. Podoficer zaczął więc wygrażać; wymyślał i pieniał się. Na najbliższej stacji przyzwał żandarmów i koniec końców postawił na swoim. Przeszraszeni pogróżkami rekruci zamilkli zloręczając w duszy temu, który zatruł im tę pierwszą chwilę i tak przepętnioną piółunem rozstania się z najbliższymi.

Miejsce wesołego usposobienia zajęło ponure; rekruci zaczęli szeptać pomiędzy sobą, bali się niemal mówić głośnie i w takim nastroju dojechali nad wieczorem do miejsca przeznaczenia.

Stał tam od wielu lat, rozrzucony po rozmaitych punktach pogranicznych, pułk artylerii konnej wespół z pułkiem dragonów i piechoty. Wojska te były niejako strażą mającą czuwać nad bezpieczeństwem państwa niemieckiego od strony sprzymierzonej Austrii.

Koszary baterii, do której przeznaczony był nasz Sobiesław, znajdowały się na samym skraju miasteczka, odosobnione zupełnie.

Był to budynek parterowy, murowany. Obok niego stał taki sam, dłuższy tylko cokolwiek, przeznaczony na stajnie. Za koszarami znajdowały się: kasyno oficerskie, cekhaus, czyli skład broni, amunicji i odzieży, trochę dalej na uboczu, w polu, stała prochniwa strzeżona zawsze przez sztyldwacha. Oto i wszystko.

O parę mil dalej stacjonowała druga bateria.

Każda więc bateria, znajdująca się pod dowództwem pułkownika albo przynajmniej podpułkownika, stanowiła jakby niezależną całość, która żyła własnym życiem, dość ciasnym i zamkniętym.

\* Gerade stehen! (niem.) — Stać prosto!

\*\* Maul halten! (niem.) — Milczeć!

\*\*\* Wacht am Rhein (niem.) — Straż nad Renem.



Sobiesław ujrzał się nagle jakby na wygnaniu w pustyni.

Odziano go w mundur artylerzysty konnego, dano buty z brzęczącymi ostrogami, przypasano pałasz do boku, słowem, Mrocki został kawalerzystą.

W baterii, oprócz pułkownika von Wildensteina, służyło jeszcze osiem oficerów.

Sobiesław miał za swego przełożonego — nie licząc naturalnie kaprała — młodziutkiego, drobne, ale czupurnego porucznika, który nosił nazwisko brzmiałe z polska.

Biały nienawidził Polaków, a Słazaków w szczególności. Zdawało mu się zapewne, że tą swoją nienawiścią zdoła złagodzić niemię dla ucha pruskiego słowiańskiego brzmienie swego nazwiska, którego, jak każdy renegat, wstydił się niezmiernie.

Podoficer był Słazakiem, ale zupełnie i od dawną zniemczonym. Nazywał się, a raczej jego przodkowie nazywali się zapewne Szczygłami, ale on mianował się Stiglitzem i dobrze mu z tym było. Kaprał posiadał wstrętą, służalczą, niewolniczą niemal naturę; największym szczęściem dla niego było zasużyć na zadowolenie przełożonych.

Zaraz pierwszego dnia wyszła na jaw jego niska, pochlebca natura. Nowych rekrutów przedstawiono, naturalnie, oficerom, to znaczy uszykowano ich w szereg w maneżu zimowym, czyli w wielkiej szopie, gdzie odbywała się nauka konnej jazdy.

Oficerowie obejrzeni rekrutów i byli, jak się zdaje, zadowoleni z nich. Już to Polacy we wszystkich trzech zaborach uchodzili za urodzonych kawalerzystów i w istocie zostawali doskonałymi jeźdźcami.

Mrocki, zręczny, przystojny chłopiec, o inteligentnym wyrazie twarzy, podobał się pułkownikowi: zbliżył się do niego, poklepał go po ramieniu i zapytał o nazwisko.

— Mrocky, Mrocky — wymówił z trudnością Niemiec. — Pole?

— Tak, Polak — odparł Mrocki podnosząc głowę.

To wyznanie, nacechowane w dodatku pewną dumą, nie przypadło pułkownikowi do smaku: skrzywił się nieznacznie, ale patrzył dalej z przyjemnością na tęgiego, doskonale zbudowanego i sympatycznego rekruta.

— Sobiesław Mrocky. Was für ein Name! — rzekł. — Mrotz! To brzmiało daleko lepiej.

— Ja\*\*, ja, Mrotz! — podchwycił kaprał Stiglitz.

— Nazywam się Mrocki, nie żaden Mrotz — odparł Sobiesław, oburzony tym przekruceniem swego nazwiska.

Ale Niemcy nie zwrócili uwagi na ten protest.

Pozostawszy wieczorem sam, Sobiesław miał ochotę płakać. To bowiem pierwsze zetknięcie się z przełożonymi zrobiło na nim niezmiernie przygnębiające wrażenie. Nakrył się cienką kołdrą na głowę, żeby nie widzieć nikogo dookoła, i marzył o domu, o rodzicach, pytał sam siebie, co oni tam o nim teraz myślą, co robią, czy bardzo odczuwają jego nieobecność. Najbardziej tęskno było Sobiesławowi za małą siostrzyczką, która liczyła dopiero dwunasty rok życia, kiedy opuszczał dom.

Na imię jej było Leonka; obiecywała pisywać często do brata, który w zamian za to miał jej przysyłać karty pocztowe z widokami krajów, do jakich losy go zapędzą. Umowy tej dotrzymano sobie przez długie lata i Leonia, kiedy już była dorosłą panną, otrzymywała karty pocztowe ze wszystkich niemal krańców świata od kochającego ją niezmiernie brata, który w tej korespondencji nieraz doznawał ulgi w zmartwieniach i przygodach.

Jak już zaznaczyłem, wśród rekrutów znajdowało się paru znajomych Sobiesława, jego rówieśników ze szkoły, pamiętających jeszcze wspólne plagi otrzymywane od nauczyciela.

Jeden z nich nazywał się Wojciech Potrzeba. Znajdował się on w tym przykrym położeniu, że ani podoficer, ani oficerowie nie potrafili wymówić jego nazwiska, przekreślali je niemilosierdzie; w końcu przechrzcili Potrzebę na Potzera i mimo stanowczych protestów pokrzywdzonego nie chcieli go zwać inaczej.

Tak więc Potzer był towarzyszem niedoli Mrotza.

Mieli oni łóżka żelazne tuż przy sobie stojące; postarali się o to drogą zwykle praktykowaną w wojsku, to jest „fundą” dla podoficera, co kosztowało kilkanaście kufli piwa w kantine żołnierskiej.

Pierwsze dni służby nie należały do przyjemnych; ale im dłużej przebywali nasi chłopcy w wojsku, tym bardziej dawalo się im ono we znaki.

Rekrutów, jak zwykle, przeznaczano do najniższych posług.

Kazano im oczyszczać stajnie, zwozić siano i owies z kolei, myć podłogi, rąbać drwa, słowem, znęcano się nad nimi, jak tylko się dało; ale nie na tym bynajmniej koniec. Starsi żołnierze posyłali ich po różne sprawunki, nierazdło kazali wyręczać się w swoich własnych obowiązkach, nawet przynosić sobie piwo. A kiedy przyszła musztra, nie daj Boże jak się pocili biedni rekruci.

Najprzód uczono ich hierarchii wojskowej; musieli znać na pamięć całą rodzinę panującego poznaczając od samego cesarza, a kończąc na kuzynkach domu Hohenzollernów, dalej nazwiska ministrów, generałów korpusu, dywizji, brygady, pułku, słowem, wszystkich swych bezpośrednich naczelników, najważniejsze przepisy wojskowe, obowiązki żołnierza itd.

Nauka ta odbywała się rankami, potem pędzono żołnierzy do klas, gdzie wykładano im, słownie do roku służby, artylerię, fortifikację, praktykę artylerii, zaznajamiano ich drobiazgowo z budową działa i wszystkich jego części pomocniczych. Sobiesław w parę miesięcy, jako człowiek posiadający czteroklasowe wykształcenie, potrafił sobie dobrze przyswoić przerobiony materiał; ale było między rekrutami kilku słabo znających język niemiecki, którzy dobrze się nieraz napocili, żeby się wszystkiego nauczyć jak należało.

A nauczyciele nie żalowali rekrutów.

Zła odpowiedź wywoływała nieraz wymysły w najordynarniejszych wyrazach, a nawet uderzenie pięścią pod brodę, co się nie nazywało bynajmniej biciem, bo bicie zakazane było oficjalnie w armii pruskiej, ale ot, napomnieniem, gestem znicięripliwienia, za który podoficer nie potrzebował odpowiadać.

Nieraz zdarzało się, że od takiego uderzenia pięścią biednemu rekrutowi krew rzucała się ustami; wtedy szedł do kąta i wypluwał nieborak parę zębów, bo któż tam zważał na takie bagatelki.

Najbardziej atoli dawała się we znaki wszystkim rekrutom nauka konnej jazdy. Należy wiedzieć, że konna artyleria jest to rodzaj broni wymagający niezmierniej ruchliwości i zręczności.

Działa zaprężone w cztery konie muszą pędzić galopem na pozycję, odprzodkować, zająć w mgnieniu oka stanowisko; kanonierzy zeskakują z koni, które jeden z kolegów szybko odprowadza w bezpieczniejsze od strzałach nieprzyjacielskich miejsce. Paf! Paf! Po kilkunastu strzałach trzeba opuszczać zajętą pozycję równie szybko, jak się na nią wjechało. Konie mądbiegają galopem, działo zaprzęga się znowu do przodka; kanonierzy nie mają zwykle czasu dosiąść swych wierzchowców, wskazują na nie w biegu jak cyrkowcy. Toteż muszą być sprawniejszymi kawalerzystami aniżeli nawet ułani. Zeskakiwać w pełnym galopie i wskakiwać z tyłu na siodło to dla konnego artylerzysty fraszka. Zanim jednak wzięty od pług chłopiec dojdzie do takiej wprawy w jeździe na koniu, ileż gorzkich chwil musi przeżyć!

W zimie konna jazda odbywa się w maneżu. Biedni rekruci zaznajamiają się tam z koniem, najprzód na oklep, potem dopiero na siodło.

Oficer stał w środku z podoficerami i dawał wskazówki, strofował, krzychał trzaskając długim biczem. Rekruci zaś siedzieli w najkomiczniejszych nieraz pozach na koniach biegnących w kółko jak na arenie cyrkowej. Bartki i Maćki pocziwie, którzy umieli od biedy dosiąść szkapy chudej, krytej derką i, kierując uzdeczką zrobioną z kawałka powroza, truchcikiem pojechać do miasteczka na jarmark albo do sąsiedniej wioski, najgorzej właśnie cierpieli; oficerowie bowiem musieli oduczać ich tego, do czego się przyzwyczaili, zmieniać ich postawę na koniu, sposób trzymania nóg i rąk, słowem, naprawiać karygodne dla dobrego kawalerzysty nałogi. Nie obeszło się przy tym bez wymysłów, w których wyborze oficerowie, zjawiający się w białych rękawiczkach, lakierowanych butach i błyszczących mundurach, najbardziej celowali. Był to szereg drwin ordynarnych, naigranych się bez końca, wypominania domu, świń, krów, całego inwentarza i porównywania go z biednymi kandydatami na konnych artylerzystów jego cesarskiej mości.

Zahukani chłopcy nie śmieli nawet okazać niezadowolenia przełożonym; znosili wszystko, ale nie dowodziło to bynajmniej, że nie brali do serca tych obelg i wysmiewania. Pod wpływem doznawanych krzywd rodziła się w nich głucha nienawiść do tych eleganckich paniczów w oficerskich mundurach i do podoficerów, ich wiernych i skwapliwych naśladowców.

Wojtek Potrzeba, niezgrabny, ciężki, osadzony na cokolwiek krzywych nogach, niezbyt przystojny chłopak, nacierpiał się zapewne więcej aniżeli ktokolwiek inny.

Porównywano go z małpą w cyrku, z żabą siedzącą na kamieniu, słowem, nie szczędzono mu żadnego upokorzenia. Biedny Potrzeba wściekał się nieraz i musiał wzywać całą swoją cierpliwość, żeby nie „machnąć — jak powiadał w zafaniu do Mrockiego — którego gładkiego Szwaba przez ucho na odlew”. Ale musiał, w obawie przed srogą odpowiedzialnością, powściągnąć swoją niechęć.

Zima minęła szybko, biedni rekruci nauczyli się jako tako trzymać na siodle; ale był to dopiero wstęp. Kiedy bowiem nadeszła wiosna, miano co dzień przez kilka tygodni jeździć na praktykę. Polygon artylerijski znajdował się o parę kilometrów od koszar zimowych, na obszernym błoni pobbawionym drzew.

O świcie żołnierze wstawali, zaprzęgali działa, siadali na koń i udawali się na ćwiczenia.

Dla młodych żołnierzy, którzy nie umieli jeszcze trzymać się tak jak starzy, manewry takie przedstawiały wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba było nie tylko jechać galopem przez rowy, ale zakrecać szybko, zeskakiwać z koni na nierównym gruncie, wskakiwać, kiedy już działo znajdowało się w ruchu, słowem, wykonywać cały szereg istic akrobatycznych ćwiczeń.

W baterii znajdowało się sześć armat, które zwykle jechały jedna za drugą. Otóż, jeżeli zdarzyło się jakiemuś niezręcznemu jeźdźcowi spaść z konia, to prawie zawsze kończyło się to smutnie: albo przejechaniem na śmierć przez ciężkie działo, albo złamaniem nogi, ręki, zgnieceniem kilku zębów, słowem, biada temu, kto nie trzymał się dobrze w siodle.

Sobiesław, który, jako rolnik, doskonale jeździł konno, dość gładko zastosował się do wymagań swoich umundurowanych profesorów. Miał on wrodzone uzdolnienia kawalerskie. Gdyby Mrocki był Niemcem, na pewno by go przełożeni lubili; ponieważ jednak przyszedł na świat jako Polak, więc Prusacy znęcali się nad nim przy każdej sposobności i ciągle mieli mu coś do zarzucenia. Podoficer doprowadzał go do rozpaczyc przesadnymi wymaganiami co do czystości w stajni. Co dzień musiał biedny chłopiec słuchać urągania pod adresem swoich rodaków, którzy, według poglądu Prusaka, byli przysłowiowymi niechlujami i niedołęgami. Stiglitz, który, jak wiadomo, sam był pochodzenia słowiańskiego, odznaczał się szczególnie w tych zaczepkach. Kiedy rano zjawiał się w stajni, nie omieszkaj nigdy obejrzyć konia Sobiesława i zawsze znalazł, że ten nie był dobrze oczyszczony i utrzymany.

Dla dokonania próby kładł zwykle Stiglitz na swoją wielką, grubą łapę białą rękawiczką i silnie tarł nią sierść konia. Jeżeli rękawiczka cokolwiek zabrudziła się, natychmiast sypał się na głowę Mrockiego grad wymysłów i kary w postaci pełnienia służby nie według kole, zakazu wydalania się z koszar przez parę dni itd.

Sobiesław zdawał swoje usiłowania, nie wypuszczając prawie z ręki zgrzebia, ale niewiele to pomagało; Stiglitz zawsze znalazł jakieś niedopatrzenie i zanosił skargi przed von Bialskiego, który ze swej strony dokuczał Mrockiemu.

Nic więc dziwnego, że w sercu Sobiesława i jego kolegi rosła nienawiść, która miała pewnego razu wybuchnąć z żywiołową siłą.

## Z ROZPACZY

Było to na wiosnę, w końcu kwietnia, kiedy bateria artylerii, w której służył Sobiesław, wybierała się na ćwiczenia w polu.

Wiosna stała w całej swojej krasie. Pączki na drzewach rozwijały się, w górach stopniały już śniegi, buki pokryły się młodziutką zielenią. Na leśnym podszyciu, jeszcze nie zacięzionym przez nagie drzewa, puściła się bujna, młoda trawka, spomiędzy której strzelały ku słońcu główki sasanki, przyłaszczek, całe pokolenie kwiatów wczesnych, które śpieszyły, żeby okwitnąć i wydać nasiona, zanim maj okryje zielonym, nieprzenikniętym dla promieni słonecznych płaszczem konary buków, dębów i innych olbrzymów leśnych.

Korzystając z wolnego czasu Sobiesław często wychodził na przechadzkę. W tych wycieczkach do samotni towarzyszył mu często Potrzeba. W lesie, na dywanie szmaragdowym, pośród pachnących kwiatów wiosennych, chłopcy zwiertali się sobie ze swoich utrapień, narzekali na ciężary służby i knuli, pienne zresztą, plany zemsty.

Płonne, bo zarówno Potrzeba, jak Mrocki należeli do ludzi, co prawda porywczych, ale szybko zapominających o krzywdach.

Oficerowie tak jednak dokuczali biednemu Potrzebie, że ten nieraz wybuchał płaczem, gdzieś na uboczu.

— Co ja tym szelmem zawiniłem, że mię tak prześladowa? Czy nie robię tego, czego ode mnie żądają? Czy zaniebduję się w nauce? Oto po prostu dokuczają nam, żeśmy Polacy; nie mogą nam darować naszej mowy.

Mrocki kiwał głową potakująco, bo i on sam nie potrafił sobie inaczej wytłumaczyć tych ślepych wybuchów nienawiści, która na każdym kroku stawała się widoczna w postępowaniu niemieckich oficerów względem Polaków.

— Za co oni nas tak niecierpią? — pytał Potrzeba. — Czy może dlatego, że pragną nas wygnać z ziemi naszych praocjów i zagarnąć ją dla siebie? Jak sądzisz, Mrocki? Przecież nie my ich napastowaliśmy, ale oni nas, nie my do nich, ale oni do nas przyszli.

— Wiesz co... — ciągnął po chwili dłuższego milczenia — życie mi już obrzydło na tej służbie i często bierze mnie ochota raz z tym wszystkim skończyć.

— Bój się Boga, Wojciechu, co też ty wygadujesz! — oburzył się Sobiesław. — Jeszcze by też! Z powodu takich kanalii, jak ci nasi Stiglitz albo Bialscy! Zwariowałeś chyba! Te dwa czy trzy lata miną jak z bicza trzask; ani się obejrzy!

Biedny Wojtek zamyslił się, czy mu się zakreśliły w oczach, ale szybko je rękawem otarł. Spoglądał na wyciągnięte w trawie swoje krzywe nogi. Oburzony był snadź na tę niesprawiedliwość natury, która jednemu daje postać pełną wdzięku, drugiego zaś upośledza, czyni niemal kaleką.

Sobiesław zwrócił rozmowę na inny temat. Prawił Wojciechowi o rodzicach i zdawało mu się, że wybił koledze z głowy niedorzeczne zamiary.

Ale nieszczęście chciało, że zaraz nazajutrz podoficer Stiglitz dokuczył znowu Potrzebie tak boleśnie, jak nigdy, i na nowo zbudził w biednym chłopcu ponure myśli.

Rano zaszedłszy do stajni podoficer zauważył, że koń Potrzeby ma lekko startą pod siodłem skórę.

Wpadł więc w straszny gniew, wymyślał rekrutowi od ostatnich za niedbalstwo, za brak opieki nad koniem. Tymczasem Wojciech nic a nic nie był winien. Siodło podczas długiej jazdy z lekką nadwyrężyło skórę, ale otarcie miało się ku zagojeniu.

— Ja ciebie nauczę, ty polski wieprzu, jak na koniu się siedzi! — wołał Stiglitz.

Wieczorem, kiedy wszyscy wrócili z ćwiczeń, Stiglitz kazał Wojciechowi za karę wsiąść na drewnianego konia służącego do początkowej nauki dla rekrutów, ale na odwrót. Zamiasł ogona, zatknął manekinowi miotełkę i poleciał Potrze-

\* Was für ein Name! (niem.) — Cóż to za nazwisko!

\*\* Ja (niem.) — tak.



bie trzymać się za ten ogon. Nieszczęśliwy Potrzeba musiał spędzić cały wieczór pod tym swego rodzaju pręgiem. Stiglitz był nieublagany; nie wzruszyły go ani łzy, ani błagania rekruta.

Wkrótce zjawił się w koszarach i Biały jak świecący jak zwykle mundurze, ale zamiast zganić podoficera za znużenie się nad podwładnym, jeszcze sam dorzucił parę dowcipów.

Potrzeba siedział więc na drewnianym koniu cały w pasach z zaciśniętymi ustami, z przymkniętymi oczami i słuchał docinków.

Kiedy wreszcie, po odcierpieniu kary, zszedł z manekina, tacał się jak pijany, a twarz jego pokrywała trupia bladeść.

Mrocki zbliżył się do niego i ostentacyjnie uściśnął mu rękę.

Inni koledzy: Polacy oraz kilku Niemców, także zmanifestowali swoje współczucie dla biedaka, ale ten nie zwracał na nic uwagi. Podszedł do łóżka i, nie rozbiegając się, przykrył kołdrą. Nie spał jednak całą noc.

O świcie zrobił się ruch w koszarach. Wstawano i wyruszano o szóstej w drogę na poligon, gdzie zwykle trwały do południa ćwiczenia.

Potrzeba wstał także i ubierał się, ale znać było po nim jakieś dziwne zdenerwowanie.

Kiedy już miano siadać na koń, Wojciech zbliżył się nieznacznie do Sobiesława i wsunął mu coś w rękę.

— Weź — szepnął — i oddaj to moim rodzicom. Mrocki drgnął.

— Co to ma znaczyć? — zagadnął groźnie.

— Nic, nic — zmieształ się Potrzeba — ale widział, miałem dziś sen: śniło mi się, że spałem z konia i że mnie armata przejechała przez pół; od paru dni mam jakieś złe przecucia. Jeśli się to miało sprawdzić, broń Boże, to wręczysz te pieniądze i ten list moim, dobrze?

— Wojciechu, spojrzysz mi w oczy.

Potrzeba spojrzął swymi mętnymi, znużonymi oczami, jeszcze czerwonymi od łez wylanych w nocy.

W spojrzeniu tym malował się taki ból, takie znużenie, że Sobiesława aż coś zamroczyło.

— Ty może znów masz złe myśli, Wojciechu? — zagadnął badawczo. — Pamiętaj...

— Eh! Nie, Sobiesławie, doprawdy nie, ale ten sen...

Potrząsnął głową. W tej chwili rozległ się sygnał na wsiadanie. Przyjaciele rozstali się; Potrzeba uściśnął jakoś bardzo mocno i długo dłoń kole-dze i skoczył na siodło. Znów trąbka — i cała bateria wyruszyła z dziedzińca na drogę.

Jechano coraz prędzej. Pogoda była piękna, wszystko dookoła pachniało wiosną; ptaki tak śpiewały w gajach, na stokach, pagórkach, że aż zgłuszały turkot kół po leśnej drodze. Słońce śmiało się do ludzi, swawolnie przeglądało się w lufach dział, w blachach mundurów żołnierskich, błyskało w guzikach, w chomątach. Kwiatki podnosiły główki pachnące, wietrzyk przynosił szum pędzących i igrających po kamieniach strumieni górskich, słowem, było tak uroczyste, odświeżające w całej przyrodzie, że niebawem Sobiesław otrząsnął się ze smutnych myśli i zapomniał o swych przypuszczeniach.

W godzinę potem bateria wjechała na obszerne poligon i rozpoczęły się ćwiczenia.

Rozległy się dźwięki trąbki. Działa, pociągnięte zwawo przez ogniste konie, z głuchym turkotem potoczyły się po trawie. Prędzej, prędzej! Jeźdźcy, przynaglani sygnałami, napierają ostrogami rękami. Armaty skaczą po nierównościach żłobiac obęczkami kół brudzą w ziemi. Po pierwszej armacie pozostaje ślad niezbyt widoczny, następna pozostawia już znacznější, trzecia również, a dziesiąta, jedenasta — głęboką koleinę. Dość przejechać kilku bateriami przez rów, żeby go całkiem wyrównać.

Nic dziwnego, jaszczyki i działa ważą dużo.

Ale konie nie czują jakby tego ciężaru; pędzą z kopyta nastawiając uszy na sygnały, które znają doskonale, toteż nie czekają na uklucie ostroga, żeby wykonać nakazany manewr; zwracają same, przyspieszają kroku, kiedy trzeba odprzodkować i zając pozycje, słowem, dają liczne dowody zmyślności, do której wojskowi są już przyzwyczajeni.

Koń, jeździec i dział to całość nierozłączna i ożywna jedną myślą, jedną wolą. Tak być powinno; Sobiesław zaczynał to pojmować i patrzył z przyjemnością na ruchy wykonywane z matematyczną niemal dokładnością.

W odległości jakiegoś kilometra leżały wzgórza o dość stromych zboczach. Na tych pagórkach pułkownik lubił zajmować pozycję podczas manewrów. Dostać się na nie nie było łatwo.

Odezwała się znowu trąbka. Konie automatycznie przeszły z klusa w rytmiczny galop; działa warcząc biegły za żywym łańcuchem ludzi i rękami. Natrafiając na kamienie odbijały się od nich ze zgrzytem, nachylały nieco, jakby się miały wywrócić, ale prostowały się szybko i pędziły naprzód coraz prędzej, niebierając coraz większego napędu.

Sobiesław widział przed sobą na jednym z koni przygarbioną postać Potrzeby siedzącego nieruchomo jak posąg.

„Biedny chłopiec” — pomyślał sobie Mrocki.

Znowu sygnał: działa pędzą już pod górę. Zatrzymują się, odprzodkują, rolega się w ciszy leśnej kilka strażów, które jak grzmot odbijają się od górskich grzbietów i konają wolno gdzieś w dali. Dym z prochu pelza po krzakach i omszonych kamieniach.

Zmiana pozycji! Armaty, porywane przez podniecone hukami konie, leca jak opętane na dół nie bacząc ani na wystające odłamy skały, ani na korzenie buków. Jazda szalona, na łeb, na szyję, taka, jaką lubił namiętnie Wildenstein!

Aż tu nagle nad turkotem rozszalałych kół, nad tętentem kopyt o skalisty grunt góruje okrzyk bóleści i trwogi.

— Halt! Halt!

Konie ściągnięte gwałtownie cugłami stają dęba, skręcają w bok, żeby uniknąć zderzenia z roz-pędzonym działem. Wszczytna się zamieszanie, które jednak szybko mija. Bateria zatrzymała się. Co to jest, co się stało?

Sobiesław czuje, że coś mu ścisnęło serce aż do jęku. Skulona postać Potrzeby zniknęła z siodła.

— Nieszczęśliwy wypadek! — powtarzają żołnierze. — Ale kto?

Mrocki nie może dłużej wytrzymać; zeskakuje z konia i biegnie wstecz. O dwa działa w tył zatrzymuje się jak wryty. Na mchu czerwonym od krwi, jakby jagodami leśnymi porośniętym, leży szczupła postać Potrzeby. Leży bez ruchu, dziwnie jakoś powyginana.

Sobiesław klęka i patrzy z przerażeniem na bladą, siniejącą już twarz kolegi. Ogarnia go przestraszenie.

— Wojciechu, Wojciechu! Cóż ty zrobił?!

Na twarzy Potrzeby znać było mękę okrutną, przemaganą wysiłkiem woli. Usta chcą się uśmiechnąć, ale zamiast uśmiechu wybiega na nie skurcz bolesny. Wargi poruszają się. Sobiesław nachyla się, ale jedno tylko słowo może zrozumieć: list!

Mrocki załamuje ręce; teraz rozumie wszystko. — Boże, mój Boże!

Chce podźwignąć kolega, ale inni żołnierze nadbiegają także, potracając go; wszyscy się tłoczą.

— Potzer, Potzer! — rozlegają się głosy.

I to przekrecone nazwisko biegnie od końca do końca wyciągniętej baterii.

Do leżącego podjeżdża pułkownik i przygląda mu się przez chwilę, nie zsiadając z konia.

— Felczer! — woła.

Ale felczer już jest. Ogląda Potrzebę i kiwa głową.

Sobiesław bada wyraz jego twarzy z niepokojem.

Felczer schyla się nad rannym i słucha bicia serca; rozpiną mundur, maca posiniałe piersi i szybko wstaje.

— Zebra połamane, krzyż także!

— Odstawić go do lazaretu! — wydaje krótki rozkaz pułkownik i każe trębaczowi grać „wsiadanego”.

Artylerzyści, jak pod działaniem sprężyny, wska-kują na siodła; porządek, naruszony na krótko, w jednej chwili wraca. Sobiesław ociąga się, chce pozostać przy rannym, ale ostry głos Stiglitzza brzęczy mu w uszach:

— Siadać!

Bateria rusza. Mrocki odwraca się i widzi na tle mchów grupkę złożoną z czterech ludzi i czterech koni. Potem wszystko znika na zakręcie, działa toczą się po pochyłości w dolinę. Sygnały rozchodzą się głośno i dźwięcznym echem w górskiej pustyni. Ale Sobiesław pozwała się unosić swojemu koniowi, nie widzi nic prócz wykrzywionej męką, zbroczonej krwią twarzy Potrzeby i nie słyszy nic prócz słowa „list”, wyszeptanego przez zbliżające wargi.

A w sercu jego podnosi się wielka zawziętość i żalność.

## KREW NIE WODA

Przyjechawszy tego dnia po południu z ćwiczeń, Sobiesław dowiedział się, że Potrzeba umarł w drodze do lazaretu. Śmierć kolegi zrobiła na Mrockim wrażenie straszne. Przez kilka tygodni nie schodziła mu z oczu blada, siniejąca twarz, wykrzywione bólem usta i gasnący wzrok nieszczęśliwego. List powierzony sobie przechowywał niby jaką rekwizyt; układał zawczasu plan, jak dostać się do rodziców przyjaciela, obwieścić im smutną wiadomość i wręczyć ten papier, dowód pamięci ich syna o gnieździe rodzinnym.

Zażądał urlopu, ale mu go odmówiono, bo rekrutów przed upływem roku do domu nie puszczano. Powierzyć listu pocztę nie chciał. Na razie zatem opisał cały wypadek rodzicom Potrzeby. Spełniwszy ten smutny obowiązek czekał cierpliwie na sposobność dostania się do nich.

Tymczasem życie jego stało się jeszcze niezniesniejszą aniżeli dawniej. Jedynym skutkiem śmierci biednego Potrzeby było wzmożone prześladowanie Polaków w baterii.

Pułkownik Wildenstein wydał rozkaz dzienny, w którym zwracał uwagę podwładnych oficerów na niedostateczne przygotowanie rekrutów, nie umiejących trzymać się dobrze na koniu. W tym braku przygotowania widział pułkownik przyczynę wypadku.

Ponieważ zaś władza wyższa ze swej strony zganiła von Wildensteina za narażanie w karkołomnej jeździe życia żołnierzy, więc szanowny dowódca baterii wpadł w nadzwyczaj zły humor. Poleciał oficerom rozpocząć na nowo naukę jazdy konnej dla młodszych żołnierzy i zdać sobie raport o postępiech.

Oficerowie, oburzeni, że im zajmują wolny czas, który zwykle spędzali na pohulankach, wpadli już nie w zły humor, ale w prawdziwą wściekłość.

Dalszy ciąg nastąpi

## Stowarzyszenie b. Kombatantów i Uczestników Ruchu Oporu ZUPRO w Paryżu

zaprasza Rodaków na

### BAL SYLWESTROWY

we wtorek, 31 GRUDNIA 1968 r.  
w Salonach Merostwa 4-tej Dzielnicy Paryża  
Place Baudoyer, Métro: Hôtel de Ville

Orkiestra Prof. Daniela Krawczyka

Bufet własny

## SERDECZNE ŻYCZENIA ZUPRO

Zarząd Główny Związku Uczestników Polskiego Ruchu Oporu we Francji składa swym członkom i ich rodzinom, sympatykom, bratnim organizacjom, kombatantom polskim w Kraju i za granicą serdeczne życzenia wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Za zarząd:

Sekretarz Generalny

Prezes

(—) mec. Denizart

(—) Paweł Poziemski

## ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNO-NOWOROCZNE

Zarząd Główny de la „Fédération des Combattants Alliés en Europe” śle organizacjom kombatantów alianckich w Europie i ich rodzinom, sympatykom serdeczne życzenia Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku.

Président de la Fédération des Combattants Alliés en Europe

Paweł Poziemski

## TOWARZYSKIE SPOTKANIE GWIAZDKOWE

„Amicale des Anciens Elèves du Lycée Polonais à Paris” zaprasza serdecznie byłe Koleżanki i byłych Kolegów wraz z Rodzinami na towarzyskie spotkanie gwiazdkowe, które odbędzie się w niedzielę 12 stycznia 1969 r. w lokalu Stowarzyszenia (15, rue Lamandé, Paris 17-ème — dawne liceum) w godzinach popołudniowych (początek o godzinie 15).

Rodziny mile widziane.

Gwiazdka dla dzieci.

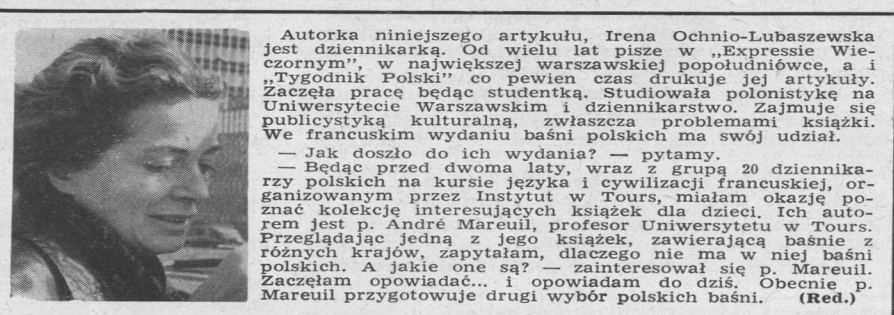
Herbatka i zabawa taneczna.

## SERDECZNE ŻYCZENIA

Z okazji Świąt i Nowego Roku 1969 najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pomyślności składa swym członkom i sympatykom AMICALE DES ANCIENS ELÈVES DU LYCÉE POLONAIS À PARIS.



Ces Six Contes sont présentés sous la direction d'André MAREUIL. I.D.E.N. Version française d'Irena LUBASZEWSKA. Exercices d'André HISBERGUE, conseiller pédagogique. Images de Denise CHABOT, Gérard DI MACCIO, Philippe JOUDIOU.



Autorka niniejszego artykułu, Irena Ochnio-Lubaszewska jest dziennikarką. Od wielu lat pisze w „Expressie Wiozornym”, w największej warszawskiej popołudniówce, a i „Tygodnik Polski” co pewien czas drukuje jej artykuły. Zaczęła pracę będąc studentką. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i dziennikarstwo. Zajmuje się publicystyką kulturalną, zwłaszcza problemami książki. We francuskim wydaniu baśni polskich ma swój udział.

— Jak doszło do ich wydania? — pytamy.  
— Będąc przed dwoma laty, wraz z grupą 20 dziennikarzy polskich na kursie języka i cywilizacji francuskiej, zorganizowanym przez Instytut w Tours, miałam okazję poznać kolekcję interesujących książek dla dzieci. Ich autorem jest p. André Mareuil, profesor Uniwersytetu w Tours. Przeglądając jedną z jego książek, zawierającą baśnie z różnych krajów, zapytałam, dlaczego nie ma w niej baśni polskich. A jakie one są? — zainteresował się p. Mareuil. Zaczęłam opowiadać... i opowiadam do dziś. Obecnie p. Mareuil przygotowuje drugi wybór polskich baśni. (Red.)

## POLSKIE BAJKI dla FRANCUSKICH DZIECI

...En ce temps-là, à Cracovie, tous les gens étaient heureux... Le roi de ce pays s'appelait Krak... Son château se trouvait sur une colline, au-dessus de la ville. Ce château s'appelle Wawel... Dans un creux de la colline, sous le château s'installa... Nasi czytelnicy już się domyślają, o czym piszemy. O smoku wawelskim. „Le dragon de Wawel” — oto jedna z sześciu baśni polskich, które się ukazały po francusku, jako lektura dla dzieci w wieku 6-7 lat.

Jakie jeszcze baśnie polskie będą czytać mali Francuzi? O Złotej Kaczce, o warszawskiej Syrenie, o kwiecie paproci, o koniu Białonóżce, o Liczyrzepie. Jest to więc wybór baśni najpopularniejszych, opowiadanych wnułkom przez babcię. Tłumaczenie zostało oparte na tekstach literackich pióra wielkich polskich baśniarzy: I. J. Kraszewskiego, A. Oppmana, St. Wasylewskiego, A. Wiślickiego. Ale i odwoływało się do tradycji ustnych. Tak właśnie był pierwszy warunek: żeby to były powszechnie znane, tradycyjne baśnie, żeby oddawały „esprit du pays”, ukazywały fantastykę ludowej twórczości polskiej, zapoznawały ze starymi obyczajami.

Warunek ten postawił twórca kolekcji, prof. André Mareuil, pedagog, psycholog, wykładowca na Uniwersytecie w Tours. Ma on w swym dorobku kilka wyborów lektur szkolnych dla dzieci i młodzieży, wydawanych przez „Istra” i przez „Hatier”.

„Six contes pour les enfants sages” — sześć baśni polskich, ukazało się nakładem „Librairie Istra”.

Baśnie te przeszły już „próbę ognia” na gruncie francuskim. Były prezentowane 120 małym Francuzom w

przedszkolach Turenii. Nauczycielki odczytywały je jeszcze w maszynopisach, a głosy dzieci utrwalano na magnetofonach. Nagrania prowadził specjalny zespół z Laboratorium Psychologicznego Uniwersytetu w Tours, znajdując na tych próbach lekcjach okazję do badań percepcji dziecka. Równocześnie autorowi książki lekcje te służyły jako sprawdzian reakcji dzieci, które wprowadził w nowy i nieznaną świat fantastyki baśniowej.

Baśń polska wyszła z tych eksperymentów prawdziwie zwycięsko. Dowiodła, że żywo przemawia do wyobraźni małych słuchaczy, że oddziaływała na całą gamę uczuć: radości, gniewu, ciekawości, podziwu, że angażuje dzieci, zachęca, wciąga treścią i nie raz potrafi wzruszyć do łez.

„Donc valeur intellectuelle et morale certaines” — orzekł prof. Mareuil. To naprawdę wielka przyjemność dla Polaków usłyszeć taką opinię o naszych baśniach.

Oto, jak dzieci francuskie przyjęły np. opowieść o warszawskiej Syrenie. Wszystkie były oburzone na rybaków, którzy złapali i uwieźli małą Syrenkę, taką wdzięczną, taką dobrą, tak kochającą Warszawę. Jeden chłopiec krzyknął w trakcie czytania: „Ja chcę ją wyzwolić”. Pojęcie czasu dla dzieci nie istnieje, a baśń tak je poruszyła, że w sali wprost wrzało. Wycho-wawczynie usiłowała dzieci uspokoić: „Ale pomyślcie czy Syrena naprawdę istnieje”. Odpowiedzi były pomieszane: „tak” i „nie”. W końcu ustalono, że istnieje tylko w baśni.

Na jedno dzieci absolutnie nie mogły się zgodzić. Były prawdziwie nie-szczęśliwe, że młody pasterz, który Sy-





renę wyzwolił, pokochał i siedł za nią jak cień, że ten młody pasterz zginął w nurtach Wisły. Zwołano aż naradę pedagogów. I po dyskusjach baśń otrzymała zakończenie mniej tragiczne. Pasterz zmienił się w drzewo. Kiedy dzieci urosną i przyjadą zwiedzić Warszawę, zobaczą to drzewo na brzegu Wisły, jak pochyla gałęzie nad wodą i oczekuje Syreny. Pasterz żyje pod inną formą — to małych słuchaczy zadowoliło.

Mając dobro dzieci na względzie, zlagodzone również zakończenie baśni o kwiecie paproci. Mały Jacek, zmieniony w księcia, wyrzywa z serca czardziejski kwiat i wraca do domu, do rodziców; żeby żyć z nimi razem, choćby w biedzie. Dzieci doskonale rozumiały morał baśni: że nie przynosi szczęścia bogactwo, gdy nie można się nim dzielić z innymi. Nauczycielka zachęcała do dalszych wypowiedzi: „Każdy chciałby znaleźć kwiat paproci, ale kto zgodziłby się opuścić rodziców?” Tylko jeden chłopczyk podniósł palec do góry. „Dlaczego?” — pytała. „Chcę być księciem” — odpowiedział z największą powagą.

Sugestywność naszych baśni w ocenie francuskiego pedagoga ma wysoką notę. Wprowadza w świat czarów i cudów w sposób łatwy i zaciekawiający. Obserwując dzieci, słuchające np. opowieści o Złotej Kaczce, widziało się, jak błyszczą im oczy, gdy była mowa o wróżce-czarodziejce, wręczającej małemu szewczykowi kieszę, która sama zapełniała się talarami i nie można jej było opróżnić.

Jak wiadomo, baśń jest najstarszym rodzajem twórczości ludowej i ma wiele wątków, które przewędrowały świat, znajdując odbicie w różnych krajach. I w polskich baśniach takie wątki mają swe echo. W „Smoku wawelskim” np. pomysłowość Skuby, który podrzucił potworowi skórę barania, wypchaną słomą, smołą i siarką, została porównana przez francuskiego znawcę do tego typu zmagania człowieka z bestią, znacznie od niego silniejszą, jakie były udziałem Odysa, walczącego z Cyclopem, Dawida pokonującego Goliata itd.

Pochwała inteligencji triumfującej nad brutalną siłą fizyczną — motyw powtarzający się w baśniach od nie-

pamiętnych czasów — znajduje w polskich bajkach wymowę nową i oryginalną, ale dzieci bynajmniej nie zaskakują. Są one potomkami przodków od wieków zafascynowanych potęgą myśli, inwencją, sprytem. To, że smok dał się „nabrać” na wypchanego barana, jest przez nie przyjmowane jako coś oczywistego.

Walory wychowawcze polskich baśni? Baśnie te dostarczają małym czytelnikom pięknych wzorów bohaterstwa, sprawiedliwego postępowania, pracowitości, uczy szacunku względem bliźnich i dla kontrastu karzą samolubów, jak np. króla gór, Liczyrzepę, czołowego egoistę, który szkodził ludziom tylko dlatego, że żyli na jego terenach. Prof. Mareuil podkreśla, że baśnie te są odzwierciedleniem prawdy o ludziach i życiu, ale ją przedstawiają w obrazach idealnie przez dzieci zrozumiałych.

Baśnie polskie wychodzą w adaptacji prostej i najprzystępniejszej. I tak np. stara opowieść z rejonu proszowskiego o koniu Białonóżce — opowieść o przyjaźni człowieka ze zwierzęciem — dzieci francuskie w lot przyswoiły. Przy drugim czytaniu umiały ją na pamięć. Nie tylko forma słowna o tym zdecydowała — stwierdza prof. Mareuil. Stary żołnierz z baśni otacza Białonóżkę miłością i opieką, tęskni, gdy konia mu skradziono, czuje się szczęśliwy, gdy koń do niego wraca. I Białonóżka mu się odwzajemnia wiernym końskim sercem. Przemawia to do dzieci w sposób szczególny. Dzieciństwo jest tym okresem życia, w którym odczuwa się ogromną potrzebę bezpieczeństwa, objawów troskliwości, przejawów stabilizacji.

Oczywiście nie obyło się w tej adaptacji bez poloru francuszczyzny. W pałacu pod polskim niebem są baseny, niczym w Wersalu. Nie pije się w tych baśniach wódki, tylko likier. Polscy chłopcy „promenują” sobie po okolicach. W ilustracjach także, choć cechuje je naprawdę wdzięk i staranność, polskie oko może dostrzec co-nieco z obcego ducha. Ale głównemu celowi, jaki przyświeca edycji, przykłaśnie chyba

każdy. Jest to pierwsza książka francuska, która z taką pieczołowitością przynosi i udostępnia dzieciom Francji piękno baśni polskich, dalekich i nieznanych.

Powtórzmy ze wstępu za autorem: „Les années d'école maternelle sont, pour les enfants, des années merveilleuses pendant lesquelles ils sont invités à s'exprimer par le dessin, la peinture, le langage, les travaux manuels; pendant lesquelles aussi ils entendent leur institutrice, leur dire les plus beaux contes et récits qui soient au monde!”

Paradoxalement, au cours préparatoire, la nécessité d'assurer l'apprentissage des „mécánismes intellectuels fondamentaux” conduit trop souvent les maitres à appauvrir le contenu de l'enseignement. Les enfants ne lisent plus que des banalités, des pauvretés...

Voici, au contraire, „Six contes”, qui raviront les enfants par leur valeur poétique, l'imprévu des situations, la délicatesse des sentiments exprimés. Rien n'est trop beau pour l'enfant”.

Irena OCHNIO-LUBASZEWSKA

## NIE TYLKO BISKUPIN

**NA RAKOWIE**, w peryferyjnej dzielnicy częstochowskiej, w otoczeniu bloków nowego osiedla mieszkaniowego stoi efektowny niski pawilon. Na zewnątrz — sama nowoczesność. Lekka konstrukcja z metalu i szkła, na planie prostokąta, z dłuższymi murywanymi ścianami na całej powierzchni pokrytymi mozaiką o motywach archaicznym, zaczerpniętych ze sztuki i rzemiosła odległej kultury łużyckiej.

Wewnątrz — coś, o czym turysta-laik często słyszy, czyta w przewodnikach i prasie, lecz rzadko ma okazję oglądać na własne oczy. Autentyczne cmentarzysko z 33 grobami Łużyczan, z bogatą kolekcją znalezisk w postaci broni, noży, sierpów, dziewięcących naszyjników, bransolet z żelaza i brązu, rozmaitych innych przedmiotów codziennego użytku naszych przodków. Obok Biskupina, Santoka czy Wiślicy jest to jedno z najciekawszych na ziemiach polskich skupisk grobów z przełomu szóstego i piątego stulecia przed naszą erą i stanowi ciekawy przyczynek do znajomości pradziejów. Tylko tutaj zachowały się relikty dwóch w sposób istotny różniących się obrządków. A więc ciałopalnego, charakterystycznego dla rodzimych ludności słowiańskiej, oraz grzebalnego szkieletowego, występującego wśród Ilirów, napływowego ludu indoeuropejskiego.

Odkrycia dokonano przypadkowo, podczas szeroko zakrojonych prac budowlanych w dzielnicy powstającej właściwie od nowa, zagospodarowywanej dla załogi potężnego kombinatu hutniczego im. Bolesława Bieruta. Przed trzynastu laty to wielkie i dobrze zachowane cmentarzysko stało się jedną z sensacji naukowych.

Zanim powstał obecny skansen, uczeni mieli tu roboty na wiele lat. Archeologowie przekopywali ziemię, gromadzili cenne znaleziska. Zaangażowała się również medycyna, zainteresowana bliższymi wiadomościami o ludziach dawnej kultury. Zbadano, że warunki ich egzystencji były nielekkie. Zyli przeciętnie 25 lat, byli doświadczeni przez te same co my choroby. Bronili się przed nimi wcale nieprymitywną sztuką lekarską, bo umieli uciekać się w potrzebie do zabiegów chirurgicznych. Inżynierowie ustalili, że Łużyczanom nieobce były różne metale, rzemiosło hutnicze i kuźnicze. Część ich narzędzi i broni była wykonana z żelaza meteorytowego.

Pawilon o powierzchni 340 m<sup>2</sup> daje solidną porcję wiedzy prehistorycznej. Uzupełnieniem zachowanej w pierwotnym stanie części wykopaliskowej i eksponatów są przejrzyste plansze i wykresy, dostarczające wielu dodatkowych informacji.

PHOTO CINÉ-MAGNÉTOPHONES

**HAUCHARD**

LE PLUS GRAND CHOIX  
LES MEILLEURS PRIX  
VALENCIENNES

19, rue de PARIS

Tel. 46-26-82

MEUBLES MEUBLE

**BELIN**

OJCIEC I SYN od 1854 roku

Rue des Angés Tel. 46-25-13

34-36, rue Vieille Poissonnerie

Tel. 46-26-71

VALENCIENNES

V  
A  
L  
E  
N  
C  
I  
E  
N  
N  
E  
S



## Drogie Czytelniczki, drodzy Czytelnicy!

Po raz dwunasty razem spędzamy Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

Przez te dwanaście lat wiele zmieniło się w naszym życiu. Przynajmniej szczerze — przybyło nam tych lat. Z małych dzieci wyrosły duże, dorosłe, niektóre wyszły za mąż, niektórzy się poženili. Matki stały się babciami, ojcowie — dziadkami. Młode dziewczęta, które przed laty pisały do mnie w porywie pierwszej, zawiedzionej miłości, dziś nie raz piszą w sprawach poważnych, mających naprawdę życiowe znaczenie.

Dwanaście lat! Szmata czasu. My się zmieniamy, ale problemy zawsze pozostają podobne. Zdrady, zawody, samotność, brak zrozumienia wśród bliskich, zły mąż, niedobra żona, kłopoty materialne, los starych ludzi pozostawionych sobie samym, wychowanie dzieci, trudne sprawy pedagogiczne i nieszczęścia, choroby, śmierć najbliższych.

Na wiele z tych spraw nie ma lekarstwa, życie niesie kłopoty i życie nasuwa rozwiązania. Ale z listów, które do mnie, moi drodzy, kierujecie, wynika jasno, że potrzeba Wam serdecznego słowa, podtrzymania, pomocy i rady, zwykłej ludzkiej rady.

W moich rozmowach z Wami zawsze podkreślam rzecz, która najbardziej mnie wzrusza — Wasze zaufanie. Ufajcie mojej mądrości życiowej, choć jest to tylko doświadczenie, które staram się Wam przekazać najlepiej jak umiem.

W tych świątecznych dniach przesyłam Wam, drodzy moi, najlepsze, najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności, Nowego Roku pełnego radości.

ANNA



KOCHANA PANI ANNO!

Różne tematy porusza się w Radach i ja chciałabym włączyć tu mój głos. Uskarżamy się na różne nieszczęścia i na niepowodzenia w życiu osobistym, a właściwie przyczyną tych tragedii jesteśmy my same. Zadaję sobie pytanie — kto przyczynia się do rozbijania małżeństwa? Kobieta. Mężczyzna jest zupełnie niewinny, każda z nas ma przecież w sobie trochę kokietery, a panowie szybko ulegają.

Kobieta nie patrzy, czy mężczyzna jest żonaty, ona widzi tylko osobiste szczęście, a jakie konsekwencje z tego wynikają — ją nie obchodzi. „Ja też chcę mieć osobiste życie, mnie się też coś należy” — tak mówią dojrzałe kobiety samotne. O podlot-

kach nie wspominam, bo one w ogóle nie mają umiaru.

Jak inaczej byłoby, gdybyśmy miały swoją godność. Często myślimy tylko o sobie, a zapominamy o innych krzywdzonych kobietach.

Nie miejcie do mnie urazy, niewiasty, ale naprawdę apeluję do was — nie burzmy szczęścia cudzego, nie próbujmy wtargnąć w życie małżeńskie! Nic nie pomożne żonatym mężczyznom zalecanie się do nas, jeśli się im nie odwzajemnimy.

Przy dobrych chęciach każda z nas, bez krzywdy wyrażonej drugiej, może sobie ułożyć własne szczęśliwe ognisko domowe.

Oczywiście, powiecie: mężczyźni też są winni. Na pewno, ale na ten temat niech się sami wypowiedzą.

KOBIETA

DROGA PANI!

Bardzo prosto to wszystko wygląda w pani liście. Ale życia nie pisze się jak list.

Zgadzam się z pani opinią, że gdyby kobiety nie prowokowały żonatych mężczyzn, mniej byłoby nieszczęść. Ale zaręczam pani, że nawet w takim wypadku — nie znik-

łyby nieszczęścia całkowicie. Bo małżeństwo nie może polegać tylko na przymusie, na tym, że mężowi czy żonie brak okazji do popełnienia zdrady. Małżeństwo polega na dobrowolnej umowie opartej na miłości, wzajemnym zaufaniu i zrozumieniu.

Rola kobiet w tym związku jest niezwykle ważna, ale nawet najmądrzejsza żona może sobie źle wybrać męża i wtedy nie pomoże nic.

Świat jest tak niemądre urządzone, że więcej po nim chodzi kobiet niż mężczyzn. Zawsze więc pewna część niewiast pozostaje poza związkami małżeńskimi. I wtedy powstaje problem.

Niewątpliwie, sprawa poszanowania cudzych praw, czyli cudzego męża — jest niezmiernie ważna. Kobiety kokietując żonatych mężczyzn często nie zastanawiają się nawet nad konsekwencjami swych czynów — a wynika z tego później wiele prawdziwych tragedii. Dlatego apel mojej korespondentki uważam za godny rozpowszechnienia.

ANNA

SZANOWNA PANI ANNO!

Jestem już prawie 15 lat mężatką, mamy dwoje dzieci dobrych i ładnych. Prawie cały okres małżeństwa pracuję zawodowo, w domu robię wszystko sama, mąż często mi pomaga. Mąż jest dobry, kocha bardzo dzieci, dom i mnie, w ogóle nie pije.

Jak w każdym małżeństwie, tak i u nas bywają chwile radosne i smutniejsze, jest czasem trochę kłopotów i trosk.

Wydawało mi się, że gdybym się dowiedziała, że mąż mnie zdradził, odeszłabym bez słowa od niego, nie mogłabym z nim więcej żyć.

Jeśli jednak się pomyśli trzeźwo, to mało jest takich wiernych mężów. Podobno prawdziwa miłość względem żony nie wyklucza chwilowej skłonności męża do innej osoby.

I stało się to najgorsze. Nigdy nie przypuszczałam, że i ja będę to przeżywać. Dowiedziałam się o zdradzie męża, powiedziała mu o tym, żądałam wyjaśnienia, co dalej z nami będzie. Przeżyłam to strasznie, zdawało mi się, że serce mi pęknie z żalu i z bólu, miałam samobójcze myśli, a jednak kocham męża mocno, tak jak kiedyś.

Mąż mnie przeprosił, jest nadal czuły i dobry, twierdzi, że to nie miało wpływu na nasze współżycie, że nie myślał i nie myśli odchodzić ode mnie, bo tylko mnie kocha i robi wszystko, bym zapomniała.

Wybaczyłam, ale co z tego, skoro nie umiem zapomnieć. Co zrobić, by się z tego wyleczyć, by z powrotem zaufać mężowi, który mnie przecież okłamał? Jak wyzbyć się zażdrości i być pewną, że to się nigdy nie powtórzy (mąż przyrzeka, że to się nie zdarzy).

Mąż twierdzi, że mądre kobiety nie robią z tego tragedii. Ja nie robię tragedii, tylko nie mogę odzyskać wewnętrznej spokoju.

ZDRADZONA

DROGA PANI!

Sprawa, o której pani napisała może się zdarzyć w każdym małżeństwie. Powiem więcej — często się zdarza, tylko nie zawsze wychodzi na jaw. Najczęściej, jeśli taka nieważna przyгода ma miejsce, żona nigdy się o niej nie dowiaduje. I to chyba lepiej nie wiedzieć...

Jak pani pomóc? Trzeba, by pani sobie całą sprawę wytłumaczyła na zimno, na tak zwany zdrowy rozum. To co się stało, już się nie odstanie. Nie uda się tego wymazać z życia, ale można wymazać to z pamięci. Nie tylko można,

ale trzeba, i to jak najszybciej.

Co pomoże pani ból, lzy, niepokój, rozpacz? Nic! Musi pani odzyskać równowagę, bo nie ma innej rady. Brak tej równowagi, ciągle rozjątrzone sprawy przebrzmiały, grozi najgorszymi konsekwencjami. Może pani doprowadzić do rozstroju nerwowego, może pani wywołać sama w sobie najróżniejsze urazy, do wstępu fizycznego w stosunku do męża włącznie. Pani go kocha i on panią kocha. Trzeba nie tylko wybaczyć, ale zapomnieć. Koniecznie!

ANNA

## NASZA ANKIETA

### Czy umiesz się zorganizować?

Tradycyjnym zwyczajem przedstawiamy naszym Czytelniczkom i Czytelnikom świąteczną zabawę, mały test psychologiczno-obyczajowy.

Odpowiadać należy szczerze — nikt nas nie sprawdzi.

Każde pytanie zawiera trzy warianty odpowiedzi. Przy właściwej — prosimy postawić sobie plus, a potem zliczyć, ile wypadło odpowiedzi „a”, ile „b”, ile „c”.

Zaczynamy.

#### 1) GDY WSTAJESZ RANO

- a) wpadasz w panikę, że nie zdążysz na czas...
- b) masz dokładnie wyliczoną każdą minutę...
- c) łapiasz się za wszystko i niczego nie kończysz...

#### 2) GDY IDZIESZ PO ZAKUPY

- a) kupujesz co widzisz...
- b) wiesz dokładnie, czego ci potrzeba i za ile...
- c) zapominasz o najważniejszym...

#### 3) GDY PRZYCHODZISZ DO PRACY...

- a) zaczynasz od plotek...
- b) zabierasz się od razu do roboty...
- c) pracujesz bez planu, byle szybko...

#### 4) GDY SPRZĄTASZ W DOMU

- a) zajmuje ci to pół dnia, bo ciągle przerywasz...
- b) robisz to systematycznie i składnie...
- c) robisz po łebkach, żeby na zewnątrz było czysto...

#### 5) GDY ODPOCZYWASZ

- a) kładziesz się i zrywasz co chwila, bo o czymś zapomniałeś...
- b) starasz się oderwać od wszystkiego...
- c) zamartwiasz się, ile masz roboty...

#### 6) GDY IDZIESZ DO SKLEPU PO NOWĄ SUKIENKĘ

- a) wracasz do domu z nowymi pantoflami...
- b) wiesz czego szukasz i to kupujesz...
- c) wracasz z pustymi rękami, bo nie umiesz się zdecydować...

#### 7) GDY PRZYJMUESZ GOŚCI

- a) gości zabawia mąż, bo ty sterczysz w kuchni...
- b) siedzisz z gośćmi i wychodzisz tylko, by przynieść przygotowane półmiski...
- c) resztkami z przyjęcia karmisz dom przez następny tydzień...

#### 8) GDY JEDZIESZ NA WAKACJE

- a) zapominasz o najważniejszych rzeczach...
- b) bierzesz to, co ci będzie potrzebne na wszystkie okazje...
- c) bierzesz trzy razy za dużo rzeczy i za dużo waliz...

To już wszystko, teraz prosimy zliczyć punkty. Za każdą odpowiedź w rubryce „a” liczy się 5 punktów, za każdą odpowiedź w rubryce „b” liczy się 2 punkty za każdą odpowiedź w rubryce „c” liczy się 4 punkty.

Wyniki obok.

**LA GRANDE COOPERATIVE MODERNE**

**CPM** otwarta dla wszystkich konsumentów

w departamentach

**NORD i PAS-de-CALAIS**

sklepy spółdzielcze rozmieszczone są między

**VIEUX-CONDE i AUCHEL**

250 sklepów — w tym — 18 „SUPERETTES”  
i 49 „LIBRE-SERVICE”

CENY BARDZO PRZYSTĘPNE ■ RABATY  
■ NAJWYŻSZE GATUNKI

## WYNIKI ANKIETY

● Jeśli wypadło ci ogółem 16 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 15 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 14 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 13 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 12 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 11 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 10 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 9 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 8 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 7 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 6 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 5 punktów — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 4 punkty — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 3 punkty — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 2 punkty — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...  
● Jeśli wypadło ci ogółem 1 punkt — jesteś osobą idealnie zorganizowaną, aż niebezpiecznie, bo nie ma w twoim życiu niczego, co ci życie i pracę...



# Kariera „ZŁOTY MIKROFON” od Rodaków z USA dla artystki z Rouvroy-sous-Lens Steni Bobko - Kozłowskiej

**G**DZIEKOLWIEK pojawiać się zespół pieśni i tańca „Grunwald” — w Salle de Fête w Rouvroy-sous-Lens czy innych miastach Pas-de-Calais — Stenia Bobko, jedna z jego tancerek, zbierała niemałe oklaski. Talentem i pracowitością godziła ona wtedy umiejętnie naukę z zamiłowaniem artystycznym, najpierw w szkole rodzinnego Rouvroy, potem — podczas nauki w gimnazjum — w Billy-Montigny.

Start sceniczny zaczęła jako mała dziewczynka, córka polskiego górnik, który przybył na francuską ziemię w latach dwudziestych. Pan Bobko pochodził z Rzeszowszczyzny, z małej wioski pod Jarosławiem. Najpierw wraz z żoną i kilkorgiem dzieci mieszkał i pracował w Bretanii, potem gdy przybył do Pas-de-Calais rodzina powiększyła się o małą jasnowłosą Stenię. Po zakończeniu drugiej wojny rodzina Bobko pragnęła powrócić do Polski, na ojczystą ziemię przemyską. Trzeba było jednak pozwolić najpierw dzieciom ukończyć szkoły, doczekać się emerytury, zwinąć cały dorobek... A to nie było proste i łatwe do zrealizowania tak, ot, zaraz. Upływał więc rok za rokiem i dopiero w 1950 r. p. Jan Bobko przeniósł się z powrotem na stałe do Polski. W cztery lata później przyjechała za nim cała jego rodzina — żona i siedmioro dzieci. Stenia miała jednak tę przewagę nad ojcem, że pierwsza została „wydelegowana” przez rodzinę na poznanie nowej Polski.

— *Były to moje pierwsze piękne wakacje — wspomina p. Stenia, uroczą blondynka o niebieskoszarych oczach. — Miałam 10 lat, gdy po raz pierwszy po wojnie Konsulat Polski w Lille zorganizował naszym polonijnym dzieciom wyjazd na kolonie do Polski. Poznałam wtedy Polskę — Kraj, ludzi, pieśni i tańce. Gdy po raz drugi pojechałam do Polski na kolonie letnie do Krzeszowic, był rok 1952. Wtedy nie dziwiłam się już, dlaczego rodzice tak tęsknili do Kraju.*

Rodzina państwa Bobko po powrocie zamieszkała w Przemyślu. Lata te nie były łatwe. Wychodźców powracających na te ziemie było wielu, a Kraj dopiero zagospodarowywał się, budował. Każde ręce do pracy były cenne. Wszyscy więc zaczęli pracę i naukę. Już po kilku latach najstarsza siostra, Teofila, została wykładowcą języków obcych. Mieszka obecnie i pracuje w Biskupcu Rzeszelskim na Warmii. Druga siostra, Eleonora, podjęła po studiach pracę jako tłumaczka w Warszawie, gdzie również jako tłumacz pracuje jej mąż w Polskim Radiu. Najmłodsza siostra, Nicolé, w tym roku skończyła romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Również bracia Steni uzyskali zawody i pracują; założyli rodzinę.

Stenia pracowała najpierw w świetlicy młodzieżowej. Wkrótce — zgodnie ze swoimi zamiłowaniem do tańca — wstąpiła do ogniska baletowego w Jarosławiu, dokąd dojeżdżała na próby nieraz kilka razy w tygodniu. W 1956 r. stała się panią Stenią Kozłowską, żoną warszawskiego nauczyciela.

W Stolicy natychmiast wstąpiła do Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina na wydział wokala-



„Stenia, une ravissante chanteuse polonaise”

ny. Okazało się, że w tej dziedzinie ma nieprzeciętne uzdolnienia. Zaczęła śpiewać na warszawskich estradach. Zadebiutowała w kawiarni-studio piosenkarzkim „Pod Gwiazdami”. Wiedzę muzyczną i wokalną pogłębiła następnie na Studium Piosenkarzkim organizowanym przez Polską Agencję Artystyczną „Pagard”.

Muzykalność i zamiłowania baletowe wyniesione z Rouvroy-sous-Lens z czasów dzieciństwa nie pozostały bez wpływu na karierę artystyczną Steni. Błyskawicznie rozwinęła swe talenty w sprzyjających warunkach i jako solistka w różnych zespołach muzycznych zaczęła występy na estradach Europy.

— *Występując przed kamerami telewizyjnymi w Genewie w tym roku — opowiada — miałam dziwną przygodę, a zarazem duże przeżycie. Otóż śpiewałam tam w języku francuskim i polskim kilka piosenek z okazji Tygodnia Polskiego w Szwajcarii. Po spektaklu okazało się, że zebrali się grono Szwajcarów oczekujących ode mnie... odpowiedzi na najróżniejsze pytania z życia mojego Kraju. Zupełnie nie przygotowana do takiego interview zaczęłam opowiadać o Polsce tak, jakbym mówiła do swoich Rodaków w Rouvroy-sous-Lens. To przeświadczenie dodało mi pewności siebie i chcąc nie chcąc stałam się prelegentką.*

Inne przygody dotyczące spotkań z Rodakami z Francji oczekiwały panią Stenię podczas występów artystycznych na Śląsku. Po którymś kolejnym występie zgłosiło się do niej z kwiatami kilku Polaków znających i pamiętających ją z występów w zespole „Grunwald”. Chwile te pani Stenia zalicza do najbardziej wzruszających w swej karierze artystycznej.

Jakie osiągnięcia notuje nasza Rodaczka w tym roku?

— *Czołowym moim sukcesem jest nagroda otrzymana od Polonii amerykańskiej — „Złoty Mikrofon”. Przyznano mi ją jesienią tego roku i bardzo się cieszę z możliwości śpiewania dla Polaków za oceanem. Wybieram się tam na tournée koncertowe wraz z całą plejadą aktorów i piosenkarzy na wiosnę przyszłego roku. Ostatnio nagrałam w Szwajcarii na płytę trzy piosenki szwajcarskie w języku francuskim i dwie piosenki polskie. W najbliższych tygodniach udaję się tam ponownie na zaproszenie szwajcarskiego Radia i Telewizji, by poza występami artystycznymi, nagrać pięć piosenek w języku francuskim. Są to „Ce n'est qu'un souvenir”, „Nous n'avons que nous même”, „Le petit prince”, „Tes yeux d'enfant” i „La pluie”.*

Piosenki te należą do najmłodniejszych w Polsce przebojów. Teksty do wszystkich tłumaczyła na język francuski sama Stenia Kozłowska.

Oczywiście pani Stenia marzy o występach w rodzinnym Rouvroy-sous-Lens, w różnych miastach Pas-de-Calais i Nordu, które to strony są jej rodzinną ziemią, gdzie się przecieży wychowała i gdzie ma wielu przyjaciół z najmłodszych lat.

Krystyna SZCZEPKOWSKA

# DOUAI

Najpiękniejszy  
podarek na Święta

znajdziesz w

**Księgarni LAUVERJAT**

Firma długopisów (stylos) i kompasów

Zapraszamy do obejrzenia

naszej galerii na 1-szym piętrze

23, Place d'Armes DOUAI — Tél. 88.81.03

SPRZĘT UŻYTKU  
DOMOWEGO

VINCENT  
POUR  
CEN 20%

◆ Aparaty elektryczne

◆ Radioodbiorniki

◆ Telewizory

(najlepszy odbiór)

„Hi-Fi”

**OSZCZĘDNOŚĆ — PEWNOŚĆ**

Wszystkie  
najlepsze marki  
po najniższej cenie

# DOUAI

IP 7, rue de la  
Cave d'Or  
VINCOURT  
MENAGER

122, Place  
d'Armes  
VINCOURT  
ELECTRONIQUE

— Bizuteria —  
**REYDELLET & Fils**

29-31, rue de Bellain-DOUAI

piękna selekcja

PIERŚCIONKÓW ZARĘCZYNOWYCH  
i OBRĄCZEK ŚLUBNYCH



O Steni Kozłowskiej polska prasa pisała m.in.: „W Niemczech, Rumunii, Bułgarii i Norwegii mówili, że za mało śpiewa polskich piosenek, w Polsce się dziwią, dlaczego tak mało śpiewa po francusku”. Pani Stenia śpiewa francuskie piosenki po polsku, ponieważ najbardziej je lubi. W Szwajcarii nazywano ją: „une ravissante chanteuse polonaise”



## W RADIU FRANCUSKIM

## JOURNÉE POLONAISE-LA POLOGNE 1918-1968

**N**A KONFERENCJĘ prasową, zorganizowaną przez radcę do spraw kulturalnych Ambasady PRL w Paryżu p. **Jana Babińskiego**, a poprzedzającą **JOURNÉE POLONAISE** w radiu francuskim (France-Culture), licznie przybyli dziennikarze paryscy, przedstawiciele świata kulturalnego, polscy dziennikarze akredytowani w Paryżu. Otwierając konferencję prasową i witając przybyłych do Ambasady gości, **chargé d'affaires p. Stefan Staniszewski** wyraził zadowolenie z zainteresowania świata kulturalnego dniem polskim w radiu francuskim. Szczególnie serdecznie p. **chargé d'affaires** powitał dawnego ambasadora Francji w Polsce p. **Pierre de Lousse**, obecnie przewodniczącego Rady Administracyjnej ORTF. **Ambasador de Lousse** zabierając głos na wstępie konferencji podkreślił sympatię i serdeczne uczucia, jakie żywi dla Polski i Polaków

i stwierdził, że dwuletni jego pobyt w Polsce pozostawił mu dobre wspomnienia i równocześnie w pewnym sensie nostalgia za Polską i chęć powrotu do niej, kontaktów z nią. „To też — powiedział na zakończenie p. **ambasador de Lousse** — cieszę się ogromnie, że ten „dzień polski” w radiu francuskim został zorganizowany i mam nadzieję, że przyczyni się on do dalszego zbliżenia między Francją i Polską”.

Z kolei zabrał głos twórca i realizator programu „dnia polskiego”, wybitny reżyser i realizator wielu interesujących audycji, trzykrotny zdobywca dla ORTF „Prix d'Italie” **prof. Bronisław Horowicz**, który wyjaśnił zebrany główną ideę programu — chęć pokazania historii Polski, jej życia kulturalnego w minionym 50-leciu. Dlatego też program „dnia polskiego” nazwano „La Pologne 1918-1968”. Następnie p. **Bronisław Horowicz** omawiał poszczególne audycje i odpowiadał na pytania dziennikarzy. Obecnej na konferencji prasowej wykonawczyń głównej roli kobiecej w sztuce **Stanisława-Ignacego Witkiewicza**, „Matka”, znanej aktorce francuskiej p. **Germaine Montero** dziennikarce zadał również pytanie, co sądzi o sztuce Witkiewicza i swojej w niej roli. **Pani Germaine Montero** uznała sztukę za pasjonującą i stwierdziła, że twórczość **Stanisława Ignacego Witkiewicza** była dla niej odkryciem, zaś powierzona jej rola w teatrze radiowym prawdziwym przeżyciem aktorskim.

I oto wkrótce po konferencji prasowej odbył się cocktail, podczas którego goście Ambasady wymieniali jeszcze poglądy na temat twórczości **Polaków** i programu „dnia polskiego”.

\* \* \*

I oto wkrótce po konferencji prasowej od rana do północy w programie „France-Culture” radiosłuchacze we Francji otrzymali ogromną dawkę polskiej kultury, wiedzy o niej, w ciągu jednego dnia poznali wiele aspektów życia kulturalnego Polski, w znakomicie opracowanych programach usłyszeć arcydzieła polskiej muzyki, literatury, sztuki. W ciągu jednego dnia na-

stało wzruszające zbliżenie między polską kulturą a radiosłuchaczami Francji. I za to należy wyrazić ORTF serdeczne słowa uznania i podziękowania.

Wielu naszych Czytelników, Polaków lub Francuzów polskiego pochodzenia, ze szczególnym wzruszeniem słuchało tego dnia radia francuskiego. **Na program „dnia polskiego”** złożyły się: koncert polskiej muzyki dawnej, nagrany na Wawelu w Krakowie, prelekcja **prof. Jeana Bourilly** na temat powieści polskiej w minionym 50-leciu, muzyka kompozytorów polskich — **Szymanowskiego i Góreckiego** oraz **Spisaka** w wykonaniu orkiestry Polskiego Radia pod dyktando **Jana Krenza**, emisja historyczna **Jacques le Goff** w trzech częściach: „Polska odrodzona 1788-1921”, „Polska bohaterska i męczeńska 1939-1945” oraz „Polska na drodze przyszłości 1945-1956”, prelekcja **Jana Błońskiego** na temat poezji polskiej, adaptacji radiowej dwóch sztuk teatralnych: **Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry”** oraz **Stanisława Ignacego Witkiewicza „Matka”** — w której wystąpiła w roli głównej **Germaine Montero**. Obydwie sztuki zaprezentowane zostały przez **prof. Jean Fabre'a**. W późnych godzinach popołudniowych radiosłuchacze wysłuchali opery **Karola Szymanowskiego** (tekst **Jaroslawa Iwaszkiewicza**) w reżyserii **Bronisława Horowicza**, który „dzień polski” na konferencji prasowej w Ambasadzie prezentował, i który był również reżyserem tej opery podczas otwarcia Teatru Wielkiego Opery i Baletu w Warszawie. **Jan Błoński** wygłosił również prelekcję pt. „Wstęp do polskiej dramaturgii”. Zwolennicy piosenki w ciągu pół godziny w audycji **Michel Godarda** mogli słuchać polskiej piosenki, zaś w późnych godzinach nadany został interesujący koncert polskiej muzyki współczesnej — utworów **Lutosławskiego, Pendereckiego** oraz **Kilara**, w wykonaniu orkiestry **Filharmonii Krakowskiej** pod dyktando **Andrzeja Markowskiego**, oraz skrzypaczki **Wandy Wiłkomirskiej**.

Cały program „dnia polskiego” był nader interesujący i zdobył sobie duże uznanie radiosłuchaczy we Francji.

## Z ŻYCIA RÓŻNYCH KOLONII

KATARZYŃKI —  
LOKALNE PIĘKNOŚCI

**LENS. FOSSE 4.** Podczas balu, zorganizowanego z okazji Katarzynek, przeprowadzony został konkurs piękności. Pierwszą damą dworu została wybrana p. **Cecylia Wojdyła** z Vendin.

**ANGRES.** Miejscowe stowarzyszenie akordeonistów zorganizowało swój tradycyjny bal Katarzynek. Królową Katarzynek została jednomyślnie wybrana p. **Françoise Krzewlina** z Angres.

**HÉNIN-LIETARD.** Tutejsze stowarzyszenie „Amicale Laïque” przeprowadziło w ramach balu katarzynek konkurs piękności. Na damę dworu została wybrana p. **Michalina Kowalska**.

**ROZELAY.** Do tegorocznego konkursu piękności została zgłoszona przez grono przyjaciół p. **Monika Ratajska**.

## ZASŁUŻONA EMERYTURA

**BILLY-MONTIGNY.** Grono przyjaciół i współtowarzyszy pracy górniczej uroczystość obchodziło ostatnio rozstanie się p. **Teodora Cichońskiego** z kopalnią, po 38 latach pracy pod ziemią. Zarówno zarząd kopalni, jak i koledzy podkreślili w swoich przemówieniach sympatię, jaką cieszył się nowy emeryt w gronie najbliższych towarzyszy pracy jak i administracji. Piękne upominki mają p. **Cichońskiego** przypominają jeszcze długo więzy przyjaźni z dawnymi kolegami pracy.

## KONKURS BELOTA

**MONT-SAINT-VINCENT.** Miejscowy komitet uroczystościowy zorganizował duży konkurs belota, w którym wzięło udział 48 par. Miejsce 3 w tym konkursie zajęła para **Kowalski-Ivanoć, 6 — Stachu-Fernand, 8 — Czarnačka-Pallot**.

## NA CELE SPOŁECZNE

**ST. VALLIER.** Zebrane z okazji zawarcia związku małżeńskiego datki ofiarowało małżeństwo **Misiak-Laporte** na cele społeczne.

**SANVIGNES-les-MINES.** Na cele społeczne przekazało małżeństwo **Maciejewska-Prost** datki złożone przez przyjaciół w dniu ich ślubu.

**MONTCEAU-les-MINES.** P. **Christiane Kaczmarek** i p. **Michel Oberti** oraz p. **Janina Smagło** i p. **Guy Constant** przekazali na cele społeczne całą kwotę ofiarowaną im z okazji zawarcia przez nich małżeństwa.

## MEDALE PRACY

**DOUAL.** Z okazji święta pracowników w fabryce „Usine des Ressorts” przemysłowego został odznaczony srebrnym medalem pracy p. **Stanisław Mizera**, a p. **Franciszek Kopeć**, p. **Edmund Stawski**, p. **Jan Bieda**, p. **Bolesław Mielczarek**, p. **Henryk Wiśniewski** — medalami brązowymi. Wręczenia medali dokonał mer miasta p. **Fenain**.

## ZŁOTE GODY WESELNE

**BULLY-les-MINES.** Na tutejszym meście odbyła się ostatnio miła uroczystość odnowienia aktu zaślubin sprzed lat 50-ciu przez p. **Kabasińską** i p. **Nowaka**. Tradycyjnym zwyczajem życzenia razem z upominkami z ramienia zarządu miejskiego złożył mer miasta p. **Mallet**. Lampka szampa i toasty zakończyły część uroczystą tego pięknego jubileuszu. Redakcja „Tygodnika Polskiego” dołącza swoje życzenia — sto lat w zdrowiu i szczęściu.

## OGRODKI I WYSTAWY

**AUCHEL.** Za staranne i estetyczne utrzymanie ogródka otrzymał ostatnio wyróżnienie pierwszej klasy w okręgu **Auchel** p. **Francis Filipiak**.

**DOUAL.** Ostatnio odbyło się tu w sali obrad zarządu miejskiego walne zebranie stowarzyszenia ogrodników, podczas którego wręczone zostały dyplomy honorowe za tegoroczne konkursy. I tak dyplom „Caisse d'Epargne” otrzymał p. **Bernard Białkiewicz**, dyplomy „Jardins Fleuris de Brebières” — p. **Józef Pajak**, p. **Włodzimierz Wołowicz**; dyplomy „Société F. Beghin” — p. **Władysław Nowak**, p. **Andrzej Mucyn**, p. **Antoni Kuźniak** (medale złote), p. **B. Bykowski**, p. **Kazimierz Szlachta** (medale brązowe), p. **Albert Nowacki** i p. **Antoni Cyrulczyk** (dyplomy honorowe), dyplomy „Société de Glaces Bouisson” — p. **Władysław Słomowicz** i p. **Franciszek Szymański** (gratulacje jury) dyplomy zarządu kopalni p. **Jan Lamacz** i p. **Jan Wenda**. W rozdaniu dyplomów i nagród wzięło udział przeszło 1000 osób.

Tygodniowa  
GAWĘDA

- ▲ Najgorzej z kobietami
- ▲ W pogoni za klientem
- ▲ Święta na (białym) łonie natury

Nie jeden handlowiec w Polsce chyba wdycha: — Ach, gdzie te czasy, kiedy klient brał jak leci wszystko, co mu oferowano i był jeszcze wdzięczny, że dostał byle bubel! Dziś inaczej. Najpierw padło nie wiadomo przez jakiego złośliwca wymyślone hasło: „Nasz klient — nasz pan” i klienci znarowili się, ponieważ przyjęli ten żart poważnie, a potem na dodatek okazało się, że bynajmniej nie mają ochoty kupować wszystkiego, co im się chce sprzedać, że zaczynają się wybrzydzać, przebierać, wyszukiwać. Najgorzej z tymi kobietami: dawniej robiło się do domu towarowego sukienkę z tego samego materiału, w ten sam wzorek (najwyżej w kilku kolorach), na jeden fason — kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, no i szło. A teraz? Za żadne kamyki babka nie włoży „obnoszonej” sukienki, „ciuch” musi być oryginalny, serie można robić najwyżej po kilkadziesiąt sztuk! I na dodatek trzeba poddawać się tym grymasom, ponieważ kupujący znaleźli właściwą metodę na handel: po prostu przestali kupować to, co im się nie podoba. Rezultat: nieatrakcyjne towary zaczęły się gromadzić w magazynach, co z kolei powodowało niewykonanie planu sprzedaży, nieprzyjemności, utratę premii itd.

No, dobra. A więc zmieniły się role: trzeba uganiać się za klientem. Trzeba robić różne dziwne rzeczy: to, co się sprzedaje, musi być ładne, dobrej jakości, trwałe, przystojnie zaprezentowane. Już wystawa sklepowa musi zachęcać do kupna. Również opakowanie ma swoje znaczenie. A poza tym — dobra reklama: neony, ogłoszenia w prasie, radiu i telewizji, plakaty, konkursy dla klientów z nagrodami i premiami. Ot, życie...

Zwłaszcza obecnie, przed świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem, kiedy największe skąpiradła otwierają mieszki, a ściśle mówiąc wyjmują forsy z pekaowskich księżeczek i na potęgę kupują, kupują, kupują — wszelkiego rodzaju cedyty, pedety zaczęły jak gdyby wyciąg pomysłów, byle tylko zachęcić klientów do kupna właśnie u nich. Prześcigają się w „naj-naj”, „najlepiej, najtaniej, najsprawniej”, wynajmują tłumy świętych **Mikołajów** (pełniący jego obowiązki **Dziadek Mróz** po krótkim okresie prosperity dawno już wyszedł z mody), którym nawet nie trzeba bród przypychać, a tylko posiwiać, jako że brodaczy, czyli bibrów, w Polsce w ostatnich latach się namnożyło — tyle, że młodzi, i tak dalej, i tak dalej. Walutowe kłopoty świata zachodnioeuropejskiego do Polski nie dotarły, tak, że można mieć nadzieję iż sprzedaż przedświąteczna odbędzie się normalnie, t.j. w tłoku, gwałcie, i ku radości najmłodszych.

A propos świąt. Zjawiskiem raczej nowszym jest to, że tłumy mieszkańców miast wybierają się na dni świąteczne na łono natury. Podróże w tym okresie są co prawda tradycyjne: odwiedza się krewnych, o których przez okrągły rok się nie pamięta, jedzie się do przyjaciół, znajomych. Ale teraz inaczej jeszcze: przede wszystkim zwolennicy „białego szaleństwa” — jak przed wojną niektórzy reporterzy nazywali jazdę na nartach, walą tłumnie na południe, od **Karkonoszy**, poprzez śląskie podgórze, **Tatry**, aż do **Bieszczadów**. Inna rzecz, że narciarskie umiejętności większości tych sportsmenów wystarczą akurat na pagórki pod... **Sopotem**. A wobec tego, że pół Polski w rejonie górskim i tak się nie zmieści, reszta chyba bez bólu serca pojedzie, korzystając z pomocy różnych spółdzielni i biur turystycznych, jak **Orbis**, **Turysta**, **Wista**, **Gromada** czy **PTTK** — do **Augustowa**, w **Olsztynie**, do **Białowieży**, i gdzie się da. **Orbis** poleca poza tym wycieczki zagraniczne, aż do... **Wysp Kanaryjskich** włącznie. Włącznie też z zasobami potrzebnej gotówki z kilkoma zramami na końcu, przekraczającymi możliwości finansowe przeciętnego obywatela, jak np. niżej podpisanego, zamierzającego bogobojnie spędzić święta w Warszawie, na **Mokotowie**.

MARIAN

LISTY  
KAZIMIERZA TRZEBIATOWSKIEGO

Dokończenie ze str. 26

Proszę jeszcze raz dla dobra tu-tejszej kolonii nie zwlekać z przyjazdem księdza; gdyby nawet na to przyszło, aby miał zamieszkać jakiś czas w przywrotnym mieszkaniu, lecz niech poniedziałek wielkanocny będzie ostatnim terminem.

Ludzie cieszą się, iż ksiądz przyjedzie, szykują się na przyjęcie Jego, a wszyscy się pytają: „Kiedy przyjedzie?”

Serdeczne „Czołem” zasylam

Kazimierz Trzebiatowski

Barlin 8.IV.1914 r.

## PRZYGOTOWANIA DO ZŁOTU

Szanowny Druhu Prezesie!

Na zjeździe w **Lallaing** nawet o najważniejszej sprawie, bo o zlocie w **Barlin**, nie było czasu mówić, więc muszę się w niektórych rzeczach poradzić listownie.

Dołożymy wszystkich starań, aby zlot wypadł najlepiej.

Sala francuska będzie, gdyż wczoraj byłem w **Noeux** i p. de **Laporte** przyrzekł iż da, chodzi jeszcze o to, aby widzieć się z dyrektorem, lecz i z nim jutro będzie załatwione. Dadzą również próżny dom i słomę dla druhów z okręgu I; dostaniemy też stoły i krzesła na salę u **Ogrodowczyka**, które są niezbędne do obiadu. O ile są, dę, to obiady u **Ogrodowczyka** będą dobre, gdyż będzie je przyrządzać gospodyni ks. **Świątka**. Proszę jeszcze zawiadomić nas, czy druhowie i goście jadąc z **Paryża** wstąpią w **Lens** na obiad, czy też obiad ma być przyrzekowany u **Ogrodowczyka**. Nie pamiętam, jak było o tym mówione, a nie mam programu na zlot. Co do orkiestry, to nic stanowczego nie powiem, lecz orkiestry z **Lallaing** nie bierzemy, gdyż wypadoby za drogę. Obiecali mi tutaj w **Barlin** orkiestrę francuską i w sobotę mają dać stanowczą odpowiedź. Sprowadziłem z **Krakowa** partyturę polskich kawałków na orkiestrę dętą, lecz nie mamy jeszcze marsza „**Sokołów**”. Ale gdyby Francuzi grali, to i marsz „**Sokołów**” znajdzie się.

Wracam jeszcze do noclegów. Ile osób przybędzie z **Paryża**? Ja liczę na 40 i chęć odpowiednią ilość łóżek przyszykować.

Zaproszenia na zlot **Sz-ny Druh Prezes** wysłał do Zarządu **Kopalni Noeux** i do inżyniera dywizjonera, a do inżynierów na szybach **NN 5, 7, 9**, gdzie pracują Polacy, ja sam mogę ich zaprosić osobiście. Mera też będą prosił, by był obecny.

Być może, iż czego nie umieściłem dzisiaj, a że już pisać mogę, napiszę później.

Serdeczne pozdrowienia i sokole „Czołem” zasyla

Kazimierz Trzebiatowski

Barlin, 20 maja 1914 r.



**BRUAY-EN-ARTOIS****PALOMA  
DANCING**

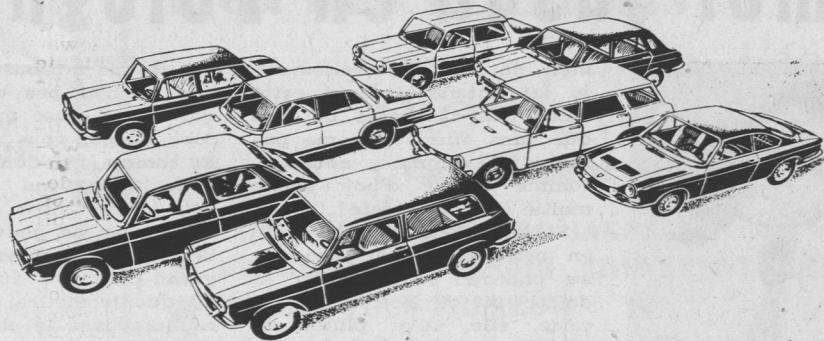
właściciel

**JAN HOMA**35, rue CHARLES MARLARD  
(naprzeciwko szpitala Ste Barbe)WYNAJMUJE  
SALE NA:**BRUAY - en - ARTOIS****bankiety ■ wesela ■ zabawy ■  
zebrania towarzyskie itd.****KOMUNIKAT ZESPOŁU „SYRENA”**

Polski zespół folklorystyczny w Paryżu „Syrena” wznawia, po wakacyjnej przerwie, kurs tańca ludowego dla dziewcząt i chłopców.

Można zgłaszać się telefonicznie, codziennie rano NAT. 55.55.

Le groupe folklorique polonais de Paris „Syrena” reprend ses cours de danses, pour filles et garçons. Prière de prendre rendez-vous par téléphone le matin, NAT. 55.55.

**“Le salon de l'auto,  
je pourrais presque  
le faire tout seul!”****s'exclame votre concessionnaire Simca.**

Et si je dis presque, c'est un peu par excès de modestie. Parce qu'avec la nouvelle gamme SIMCA, j'ai vraiment de quoi satisfaire tous les goûts.

Oui, goût de l'économie, avec la SIM'4; goût de la conduite sportive (nouvelles 1000 et 1501 «Spécial»); goût de la vitesse pure (1200 S :

175 chrono!), de la belle voiture classique (1000, 1100, 5 et 6 CV, 1301, 1501) et enfin goût de la voiture utile et tout de même belle (du Break 1100 au Break 1501 «Spécial»). Comme vous voyez, cette année, le Salon de l'Auto se tient en permanence chez nous, Concessionnaires SIMCA.

A crédit 25% à la livraison.

CREDIT CAVIA / SIMCA A CHOISI L'HUILE SHELL SUPER



**GARAGE Ste Barbe Ets. BONDU Frères**  
1 et 3, rue A. France  
**BRUAY-EN-ARTOIS**  
TÉL. 26.43.19

**Houdain - Heuchin - Noeux-les-Mines - Béthune**

**TV DU 22 AU 28 DECEMBRE****PREMIERE CHAINE.**

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.  
ACTUALITES REGIONALES — 19.20 (sauf le dimanche)  
MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche)  
CONTACT — 18.20 (sauf dimanche, mercredi et samedi)  
TEUF TEUF — 18.30 (sauf samedi, dimanche et mercredi)  
„L'HOMME DU „PICARDIE” — 19.40 (sauf samedi et dimanche)  
„BARNABE” — marionnettes 20.30 (sauf jeudi et vendredi)

**DIMANCHE 22 DECEMBRE.**

9.10. Télé-Matin.  
12.02. La séquence du spectateur.  
12.30. Discorama avec Sacha Distel.  
13.15. „Max la menace”.  
14.30. „Télé-Dimanche avec Nana Mouskouri.  
17.00. „Le Prisonnier de Zenda” — un film de Richard Thorpe.  
19.10. Histoires au gré du vent — une émission de Michèle Angot.  
19.30. „Le Globe-Trotters”.  
20.42. „La Strada” — un film de Federico Fellini (Giulietta Masina, Anthony Quinn).  
22.20. La légende du siècle — le dossier du coeur nr. 1 — une émission de Gérard Chouchan.

**LUNDI 23 DECEMBRE.**

16.00. C'est Noël — émission pour les jeunes présentée par P. Tchernia avec Jean-Claude Darnal.  
18.45. Cadences.  
20.37. „La maison des autres” — adaptation et dialogues: Bernard Clavel (Prix Goncourt 1968) d'après son roman.  
22.20. La légende du siècle (l'église de demain).  
22.35. La rosière de Pessac — un reportage de Jean Eustache.

**MARDI 24 DECEMBRE.**

16.00. C'est Noël.  
18.45. Le Père Noël a 4000 ans.  
20.37. „L'Orgue fantastique” — d'après l'oeuvre de Jules Verne adaptation Frédéric Ardant et Claude Santelli.  
21.50. Jacques Brel.  
22.30. La légende du siècle.  
22.55. Gustave Doré raconte...  
23.25. En direct de Neptune (les pétroliers de l'Adriatique).  
23.40. L'Ane dans la crèche.  
23.55. Eurovision: Messe de Minuit.

**MERCREDI 25 DECEMBRE.**

9.25. Télé-Matin.  
11.00. Messe transmise de Notre-Dame de Paris.  
11.55. Eurovision — Benediction de sa Sainteté Paul VI.  
12.30. En direct de Neptune.  
13.15. Le grand voyage du Bonhomme de Neige.  
14.00. „Capitaine Courageux — un film de Victor Fleming”.  
15.30. Le Noël des animaux.  
16.35. Théâtre de la jeunesse: „Les Mesaventures de Jean-Paul Choppart” — une émission de Claude Santelli.  
17.30. S.V.P. Disney.  
18.15. Le Cure de Cucugnan — un film de Marcel Pagnol.

19.00. Histoires au gré du vent.  
20.37. Gustave Doré raconte...  
20.55. „Les Grandes Espérances” de Charles Dickens adapt. Cl. Santelli, réal. Marcel Cravenne.  
23.05. „Le maitre de Chapelle” — opéra bouffe de Cimarrosa.

**JEUDI 26 DECEMBRE.**

15.20. C'est Noël — émission pour les jeunes.  
18.45. Actualités littéraire  
20.30. Salves d'or — une émission d'Henri Salvador.  
21.30. Les trois âges — „Les comédiens” réal. Jean-Roger Cadet.  
22.30. Catch.

**VENDREDI 27 DECEMBRE.**

16.00. C'est Noël.  
18.45. Vivre chez soi.  
19.15. Kiri le clown.  
20.30. Un quart d'heure avec...  
20.45. Quatre temps — une émission de Michèle Arnaud.

**SAMEDI 28 DECEMBRE.**

15.00. C'est Noël.  
16.00. Samedi et compagnie. — une émission d'Albert Rainsier.  
18.50. „Thibaud ou les croisades”.  
19.15. Kiri le clown.  
19.40. Histoires au gré du vent.  
20.37. Adamo — réalisation Alain Denaut.  
21.15. Donner à voir: „Hommage à Louis Lumière”. Une émission de Jean Cau et Frédéric Rossif.  
22.05. Un homme, un cheval.  
23.00. La Kermesse aux chansons — une émission d'André Sallée et Claudine Kirgener, réal. Dirk Sanders.

**DEUXIEME CHAINE — COULEUR.**

(C) — Couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émission sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.  
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.40.  
TELE-SPORTS (C) — 19.55.  
LE PETIT MONDE DES HOUMORISTES (C) — 20.00. (sauf jeudi et vendredi)  
LES CONTES DU CHAT PERCHE (C) — 20.15. Une émission d'Arlen Papazian d'après „Les Contes du Chat Perché” de Marcel Aymé.  
„BARNABE” — (C) — marionnettes 20.30. (sauf jeudi et vendredi)

**DIMANCHE 22 DECEMBRE.**

14.30. (C) L'Invit, du dimanche.  
21.50. (CN) Portrait de Ionesco.  
22.20. (CN) Délire à deux; de Ionesco.  
23.15. (C) Musique pour les yeux.

**LUNDI 23 DECEMBRE.**

20.37. (C) Festival Jerry Lewis „Le Tombeur de ces dames” — un film de Jerry Lewis.  
22.25. (CN) Cinéastes de notre temps „Jerry Lewis”.  
23.25. Au coeur de la nuit — une émission de Cl. Santelli.

**MARDI 24 DECEMBRE.**

20.37. (C) „Le Tigre du Bengale” — un film de Fritz Lang.  
22.00. (C) La légende du siècle l'Amérique à l'envers” — route 66.

23.05. (C) Variétés: „C'est la vie” — une émission de Raoul Sangla.  
23.45. (C) „Le tombeau hindou” — un film de Fritz Lang.

**MERCREDI 25 DECEMBRE.**

14.30. (C) Monsieur Cinéma.  
15.00. (C) Vivre en France — „Noël des Régions”.  
16.00. (C) „Saint François D'ASSISE” — un film de Liliana Cavani.  
18.05. (C) „L'Eventail de Seville”.  
18.30. Marionnettes siciliennes.  
19.00. Batir sa vie — divertissement poétique sur le peintre Mockers.  
20.37. (C) „Le denseur Jorge Donn” — un film de Maurice Bejart.  
21.40. Baudelaire — une émission d'Anne Beranger.  
22.35. „L'enfant de la haute mer” — d'après une nouvelle de Jules Supervielle.

**JEUDI 26 — DECEMBRE.**

20.00. (C) Le mot le plus long.  
20.55. (C) Point contrepoint, une émission de René Puisseau et Jean-François Chauvel.  
22.20. Connaissance de la musique.

**VENDREDI 27 DECEMBRE.**

20.00. Cinéma critique.  
20.55. (C) Les neiges de Grenoble — „Jeux olympiques d'Hiver” — un film de Jacques Ertaud.  
22.25. (C) Micros et Caméras.

**SEMEDI 28 DECEMBRE.**

17.30. (C) La Grande vallée.  
18.25. Eureka.  
20.37. (C) „Le Bourgeois Gentilhomme” de Molière avec Michel Serrault, réal. Pierre Badel.  
23.00. (C) „Lettre à un poète” — Georges Shehadé, une émission de Jacques-Emille Jeannesson.

(Program następnego tygodnia na str. 42)

**RADIOODBIORNIKI  
TELEWIZORY**

♦ Lodówki, maszyny do prania  
i inne artykuły gospodarstwa domowego ♦

**LENG — PICARD ET C-je**16, Place de la Liberté, 423,  
rue de LannoyTelefony: 73.39.43, 73.29.47  
**ROUBAIX (Nord)**



# La semaine des Jeunes

## „Ce mot se prolonge en moi jusqu'en Pologne..”



**P**AILLEMENTS] des oies, des poules et des canards massivement occis. Maman pâtisse, grand-mère pâtisse, la tante Marie pâtisse, la voisine pâtisse, tout le monde pâtisse, toutes les cuisines du coron exhalent des senteurs embaumées des grands jours. En ville, c'est plein de guirlandes électriques. Le „Prisunic” regorge de jouets, comme aussi d'autres magasins d'ailleurs. Il y a des joutes à caresser, à bercer, des jouets à rouler, des jouets à installer, à monter, des jouets à diriger — les enfants d'aujourd'hui ont vraiment de la chance, de notre temps, il n'y avait pas tout ça, pas vrai?

Piane — piane, Noël est arrivé. Noël! Ce sont des jours de fête, dont le doux éclat me sourit longtemps d'avance. Parmi les ciselles dorées, diaprées qui composent les étalages des boutiques de Noël, je retrouve les jours et les plaisirs bruyants de mon enfance. L'ordinaire et le quotidien s'effondrent, le monde revêt pour quelques jours une forme féérique — celle d'un conte d'Hoffmann ou de Perrault, ou encore celle de cette „fête étrange” durant laquelle Augustin Meaulnes s'énamoura d'Yvonne de Galais. Vous vous souvenez? Je me revois à l'école primaire, petite, minuscule comme un coquillage, chantant: „Mon beau sapin, roi des forêts..”

Hoffmann, Perrault, „Le Grand Meaulnes”, oui, bien sûr, mais la toute — puissante incantation du doux mot de Noël évoque aussi d'autres noms, d'autres souvenirs, d'autres teneurs. Comme tous les vocables vraiment importants, ce mot se prolonge en moi jusqu'en Pologne. Ce prolongement intérieur de Noël porte évidemment le nom rutilant et melliflue de „Gwiazdka”, et il est balisé de phrases telles que: Les noëls polonais comptent parmi les plus beaux du monde; ils sont semés d'enfances, ils charroient le pardon des injures et des ennemis. Pour les Polonais, la vigile de Noël est le moment le plus grave de l'année, le plus chargé d'émotion et d'espoir, le plus pathétique. Quand apparaît la première étoile, on se met à table. Chez tous les Polonais, il est d'usage ce soir-là de donner la table à tous les visiteurs qui surviennent, même et même surtout quand ils n'ont pas été priés... Ces phrases, dans mon enfance, je les ai entendues dire — à grand-père, à grand-mère, à maman, à mon père — je ne sais com-

bien de fois. Naturellement, je les entendrai aussi cette année. Est-il besoin de dire que sans elles, Noël me paraîtrait comme adultéré, comme châtré d'une bonne moitié de sa poésie?

Si la Polonaise qui habite en moi est surtout sensible au charme du réveillon et de la nuit de Noël, la Française, elle, rêve plutôt au Nouvel An, ou plus exactement à la Saint-Sylvestre. Figurez-vous que je ne suis encore jamais allée à un bal de fin d'année, car mes vieux estimaient que j'étais trop jeune. Ils sont plutôt marrants, vous ne trouvez pas? Mais ce coup-ci, j'ai enfin le droit d'y aller, au bal de la Saint-Sylvestre. Evidemment, je serai chaperonnée par maman, papa, la tante Marie et l'oncle Jojo, mais enfin, c'est déjà mieux que rien, pas vrai? Bien sûr que c'est mieux que rien, et je suis même rudement contente, seulement, il y a une chose qui ne laisse

pas de me tarabuster — c'est que je n'ai pas de souliers qui aillent avec ma nouvelle robe rouge, vous comprenez. Et comme j'ai déjà une nouvelle robe, me mère ne veut évidemment pas entendre parler de nouveaux souliers. Mon seul espoir, c'est grand-père. Je lui ai déjà dit que je mettrai mes vieux souliers dans la cheminée de la salle à manger... Maman me raille et affirme que je crois au père Noël. Je lui rétorque que c'est le moment ou jamais, d'y croire. Je sais ce que je dis: je le connais bien, mon grand-père, allez..

Voilà. Comme dirait Alexandre Dumas père, il en est de moi comme des plus grands orateurs: quand j'ai tout dit, je n'ai plus rien à dire... Il ne me resté plus qu'à vous souhaiter un joyeux Noël franco-polonais et une bonne et heureuse année. A l'année prochaine.

MARTINE

### Michalinka ma głos

## Dobre intencje

Święta są rzeczą niezwykle przyjemną, ale niestety przynoszą ze sobą pewną plagę. Plagą tą jest wymyślanie dla wszystkich wujaszków, ciotuń, teściowych, krewniaków, przyjaciół i znajomych — upominków świątecznych. Trzeba sobie łamać głowę, jaki komu ofiarować podarek, a przede wszystkim łamać kieszeń — skąd wziąć na te podarki?

A kiedy się już zrobi wysiłek i wszystkim coś zakupi, najczęściej nikt nie będzie zadowolony. Poznają to od razu. Mianowicie gdy mi ktoś z obdarowanych powie: „Dziękuję serdecznie, zwłaszcza za dobrą intencję” — to wiem, że z samego podarku nie był zadowolony. Albo gdy mówi: „Wzruszyła mnie twoja pamięć” — to znaczy, że ta pamięć była więcej warta od przyniesionej wody kolońskiej.

Gdybym bowiem zamiast tej wody ofiarowała pralkę lub nowy telewizor, to nikt by nie mówił o „dobrej intencji” ani o „wzruszającej pamięci” — tylko o tym wspomniałym podarku. Ale co robić? Pamięć i intencja są dużo tańsze od telewizora i każdy może sobie na nie pozwolić.

Toteż w przeddzień Gwiazdki pragnę

wam dać kilka bardzo praktycznych rad. Nie żałujcie dobrych słów i owijajcie w nie wasze upominki równie ładnie, jak w jedwabny papier. Do nylonowej pary pończoch dołączcie koniecznie takie mniej więcej zdanie: „Choć upominek skromny, ale od serca”.

Specjalnie polecam Wam tę właśnie formułę, „od serca”. Nawet ofiarowując zwykłą chustkę do nosa. Bo taka chustka od serca do nosa (przepraszam, od nosa do serca) zrobi zawsze wrażenie. A serca starczy dla wszystkich, i mamy je zawsze pod ręką (lewą). Poza tym, przy obecnej zwwyżce cen jest ono jedynym artykułem, który nie podrożał.

Powiecie może, że jestem cyniczna? Nie, raczej praktyczna. Rozmawiałam nawet z moim mężem na ten temat i przyznał mi całkowicie rację (co mu się zdarza bardzo rzadko). Niestety, ta jego racja drogo mnie kosztowała. Mianowicie od dawna mi obiecał kupić na Gwiazdkę jedwabną bluzkę. A wiecie, co mi w zamian wczoraj przyniósł? Bukietik anemonów. Powiedział jednak przy tym: „Skromny upominek, ale od serca”...

Musiałam go jeszcze za to uściśnąć. Dobrze mi tak!

MICHALINKA

LISTY Józefa Grzybka

„Z tych chwil wyjdzie Polska”

PANIE REDAKTORZE!

U nas w domu urwanie głowy, i u Was pewnie też, prawda? Kobieta piecze i piecze: babki, placki, strucle, makowce (czyli — po „naszemu” — „makocze”) i inne jeszcze marcepany, w kuchni pachnie jak w cukierni, ale ja nie mam czasu na zachwywanie się tymi wonnościami, bo od świtu do nocy ganiam jak chart z domu do sklepu, ze sklepu do domu, i tak w koło. A to „sosyński” (parówki) leć chłopie zamówić, a to po „młodzie” (drożdże) pobiegnij, a to po orzechy, a to jeszcze raz po „młodzie”, bo jednak jest tego trochę za mało... Jak każdy chłop, buntuję się trochę w duchu przeciwko temu przedświątecznemu niewieściemu samowładztwu, ale oczywiście pisać nawet nie śmiem, no bo wiem doskonale, że gdybym tylko spróbował w czymś się żonie sprzeciwić, to ona z miejsca obróciłaby się w rozżartego brytana, i zaczęłaby krzyczeć, że futrować to ja potrafię za dwóch, ale do roboty to mnie nie ma... Zresztą, co ja Wam tu będę tłumaczył, jak to jest — przecież i Wy teraz z pewnością strzelacie przed żona-

mi obcasami na baczność, nie?

No ale dość tego pomstowania, bo ktoś jeszcze gotów pomyśleć, że się na serio indycze, a przecież ja się tutaj tak srozę tylko dla formy. W rzeczywistości zaś ogromnie jestem tym wszystkim — tą przedświąteczną gorączką, krzątaniem, zakupami — uradowany. Uradowany i — podniecony. Zupełnie tak samo, jak w dzieciństwie. Z tą jednak różnicą, że dzisiaj uradowany jestem i podniecony z innych niż w dziecińczych latach przyczyn.

Kiedy bowiem byłem dzieckiem, podniecała mnie i radowała przede wszystkim nadzieja, że w Wigilię ujrzę na stole dwanaście smakowitych potraw. Płonna to była nadzieja! Dwanaście tradycyjnych potraw spożywaliby być może ludzie zamożni, ale jeśli idzie o takich jak my biedaków, to — jak powiadał Korneł Makuszyński — „Dwanaście ich było na niby. Tak się jedynie mówiło, dobróliwie zaś, biedne szachrajstwo polegało na tym, że jako potrawy liczone i opłatek, i jabłko, i dwa mizerne orzechy, i siano na stole, i biały kołacz. Kurczyła się przedwzrostu potężna cyfra i z dwunastu potraw, zapowiadanych przez proroki, dwie się jedynie ukazywały w pełnej chwale: barszcz na jednym grzybie i jakieś rybne zwłoki — odrobina karpia, co usnął na wieki z braku ochoty do życia”.

Dzisiaj natomiast raduje mnie, podnieca i wzrusza zupełnie co innego. Dzisiaj cieszę się przede wszystkim na ten moment, kiedy będziemy dzielić się opłatkiem i życzyć sobie wszystkiego najlepszego, i na tę chwilę, kiedy zacznemy śpiewać koledy. Bo wiem, że te chwile będą jak słońce naszego domu w Polsce. Nie, nie jestem roztargniony. Umyślnie porównałem te chwile do sieni naszego domu w Polsce. W Wigilię z sieni tej wychodziły jak z zaczarowanego pudełka postacie kolorowe jak dziecięcy sen: anioł, który wchodził z dzwoniem, Herod, którego trzymał na łańcuchu diabeł, śmierć... Kolednicy. Z pewnością i u Was także chodzili po wsi. Na ich widok nasze dziecięce wówczas serca waliły tak, jak gdyby kto nimi gwoździe wbił w ścianę, pamiętacie?

Więc dlaczego porównuję tę chwilę, w której będziemy dzielić się opłatkiem, i moment, w którym zacznemy śpiewać koledy, do tej sieni? Dlatego, że z obu tych chwil wyjdą, wiem o tym na pewno, postacie wzruszające jak sen starego emigranta. Jak z zaczarowanego pudełka wyjdą z tych chwil zmarli rodzice, krewni i znajomi, dzieciństwo, dawne, biedniejsze od dzisiejszych, ale przecież mimo to tak drogie sercu Wigilie w Polsce... Wyjdzie z tych chwil Polska. I na Jej widok nasze serca walić będą tak, jak gdyby kto nimi gwoździe wbił w ścianę...

Pora skończyć ten „list” i wysłać go do redakcji. Łamię się z Wami opłatkiem. Drodzy moi. Życzę Wam pogodnych Świąt. Życzę Wam radosnej, wzruszającej, prawdziwie polskiej Wigili. I życzę Wam na wieczór wigilięny tej ży gorącej, „co z oczu wytryska na domowego wspomnienia ogniska”.

Józef Grzybek z Nordu



## ROTISSERIE LES DEUX LIONS

77-LA CHAPELLE S/ CRECY EN BRIE - route nationale 34  
Réservation - Tél: 434-4075

Pour vos: COCKTAILS - NOCES - BANQUETS - RECEPTION A DOMICILE,  
LOCATION DE SALLE, CONSULTEZ - NOUS!

POUR VOS REVEILLONS DE NOEL ET ST. SYLVESTRE!

Dans un cadre rustique et agréable, à moins de 40 kms.  
de Paris vous pourrez souper „aux chandelles” dans la  
tradition des fêtes de fin d'année. AMBIANCE

CONSULTEZ NOS MENUS-PRIX SPECIAUX POUR GROUPES

Le Gérant: T. KOCHOWSKI

## MADemoiselle OLGA



OLGA BOZNAŃSKA, une des plus grandes artistes peintres de l'art polonais moderne, a toujours été, et cela depuis sa plus tendre enfance, en contact direct avec la France. Née de parents franco-polonais (son père, Adam Nowina-Boznański, était un ingénieur cracovien très coté, sa mère, Eugénie Mondant, était une institutrice qui était venue enseigner en Pologne), Olga Boznańska a toujours considéré la Pologne et la France, et plus exactement Cracovie et Paris comme ses deux patries. Olga Boznańska est née le 15 avril 1865 à Cracovie; c'est là également qu'à partir de l'âge de neuf ans elle se lia à l'art, et en particulier au dessin et à la peinture. Elle eut la chance d'avoir comme maîtres de dessin Józef Siedlecki, Hipolit Lipiński, et Kazimierz Pochwalski, tous trois pédagogues excellents et artistes de talent. En 1884, âgée de dix-neuf ans, Olga Boznańska suivit des cours de dessin et de peinture qui durèrent près de deux ans. Ses maîtres voyaient déjà en elle une future grande artiste au talent original qui certainement jouerait un rôle de première grandeur dans la peinture polonaise moderne.

A 21 ans, après avoir effectué son apprentissage artistique à Cracovie, la jeune peintre se rend à Munich, en Allemagne où, en raison du fait que la célèbre Académie de la capitale bavaroise était alors fermée aux femmes (ce n'est que plus tard que les écoles artistiques ouvrirent leurs portes aux artistes du beau sexe), elle suivit des cours privés tout d'abord sous la direction éclairée de Karl Kricheldorf et ensuite, à partir de 1888, sous celle de Wilhelm Dürr, un des grands maîtres du mouvement moderniste. Olga Boznańska était une

artiste qui dès cette époque avait sa propre conception de la peinture, c'est certainement pour cette raison qu'elle ne fut pas plus profondément influencée par les tendances modernistes lancées à l'époque par les maîtres de la peinture allemande.

Le séjour d'Olga Boznańska à Munich fut assez fructueux. L'artiste se rapprocha de la peinture occidentale et, grâce à la position de la capitale de la Bavière qui était alors un des carrefours artistiques de l'Europe, elle prit contact avec la peinture française. Elle subit un choc positif en étudiant pour la première fois les toiles de Manet, choc qu'elle trouva son reflet dans certaines œuvres créées à l'époque par Boznańska. Puis vint le mariage de cœur et de raison avec l'impressionnisme, mariage qui fit que Boznańska est considérée aujourd'hui comme un des plus grands, sinon le plus grand peintre de l'impressionnisme polonais. C'est aussi à partir de cette époque qu'elle se consacra uniquement à la peinture de portraits de personnes connues ou inconnues. En 1893, elle reçut sa première médaille d'or pour un de ses portraits exposé à une exposition à Munich, puis une seconde, l'année suivante, à Vienne. En 1896, l'Académie des Beaux Arts de Cracovie proposa à Olga Boznańska de prendre la direction des cours destinés aux jeunes filles désirant se consacrer à la peinture. L'artiste, qui comme on le voit était déjà reconnue en Pologne, refusa, car elle ne se sentait pas l'âme de pédagogue et désirait peindre et non enseigner. La proposition de l'Académie cracovienne arrivait au moment où Boznańska commençait à se faire un nom non seulement dans sa patrie mais également dans la capitale mondiale de l'art, c'est-à-dire à Paris — ses toiles étaient présentées au Palais du Champs-de-Mars. En 1898, elle quitta Munich et Cracovie (pendant toutes les années de son séjour en Allemagne, Boznańska fit sans cesse la navette entre Munich et sa ville natale) pour s'installer à Paris.

Pendant plus de quarante ans, Paris allait devenir la véritable patrie artistique de Boznańska. Cependant, elle continua à entretenir des relations et des contacts avec la Pologne; elle se rendit assez souvent à Cracovie et était membre de l'Association des Artistes Polonais „Sztuka” tout en étant membre de la Société Nationale des Beaux-Arts de Paris. Ses toiles furent exposées à travers le monde entier, et en particulier en Angleterre et aux Etats-Unis où les connaisseurs appréciaient hautement la création artistique de Mademoiselle Olga — peintre franco-polonaise.

Les portraits d'Olga Boznańska figurent aujourd'hui dans tous les musées polonais et dans la plupart des salles d'exposition de l'étranger. Les historiens de l'art européen considèrent l'artiste originaire de Cracovie mais d'inspiration parisienne comme un des rares peintres contemporains qui a su lier les exigences de l'art moderne aux grandes traditions du portrait classique. Certains déclarent que Boznańska appartient sans aucun doute à la lignée des grands portraitistes tels que Velasquez ou Goya. Ce qui est paradoxale, c'est que Mademoiselle Olga mourut presque dans la misère, dans un Paris occupé par les Allemands. C'était le 26 octobre 1944. (hak)

# LILLE

## LION DES FLANDRES

„Chez Léon”

LEON ZWOLIŃSKI

7, Place des Patiniers, 59, Lille Tél. 55. 16. 39

- ▲ POTRAWY PRZEDNIEJ JAKOŚCI
- ▲ ORYGINALNE POLSKIE TRUNKI WYBOROWE
- ▲ RENDEZ-VOUS POLAKÓW

## BANQUE ROY

64, rue Faidherbe - LILLE

- ZAKUP I SPRZEDAŻ ZŁOTA (ANONIMOWO)
- GIELDA (BOURSE)
- WYMIANA OBCYCH WALUT (CHANGE)

Nasz specjalny Oddział Nieruchomości załatwia sprawy:

- POŻYCZEK
- KUPNA I SPRZEDAŻY DOMÓW



Dyrekcja: Stanisław BRONIARZ — Tłumacz przysięgły  
4, rue des Ponts de Comines 59 — LILLE — Tél. 55.11.05  
Oficjalny przedstawiciel „Orbisu”

Załatwia:

- BILETY lotnicze — okrętowe — kolejowe po cenach oficjalnych — zniżki urlopowe — rodzinne i turystyczne
- Dla AUTOMOBILISTÓW sprzedaje mapy samochodowe, BONY HOTELOWE i BENZYNOWE z 30% zniżką w Polsce
- PRZEKAZY PIENIĘŻNE do Kraju po KORZYSTNYM KURSIE — za 100 franków odbiorca otrzymuje 1.440 złotych
- PACZKI DO POLSKI bez CŁA (żywność, tekstylia węgiewiel)
- SPROWADZANIE KREWNYCH z Polski do Francji na urlop po najtańszych cenach
- TŁUMACZENIA urzędowe, porady oraz wyrabianie dokumentów podróży i wiz.

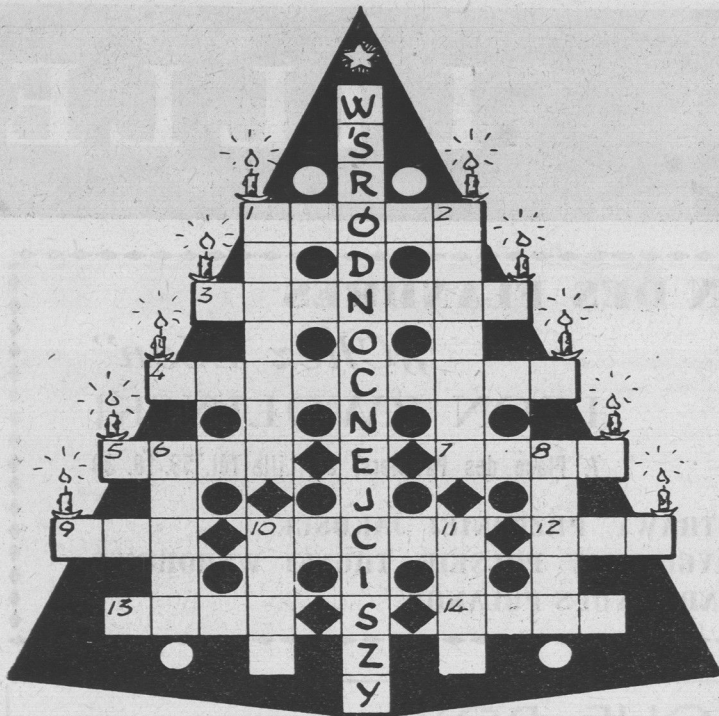
PODRÓŻE ZBIOROWE DO POLSKI

WAGONY BEZPOŚREDNIE DO POZNANIA  
I WARSZAWY — WROCŁAWIA I KRAKOWA

WYJAZDY ODBYWAJĄ SIĘ w KAŻDĄ SOBOTĘ  
z LILLE, VALENCIENNES, St. QUENTIN-AULNOYE  
PARYŻA I METZ

Możliwość wyjazdów indywidualnych przez cały rok do wszystkich krajów.





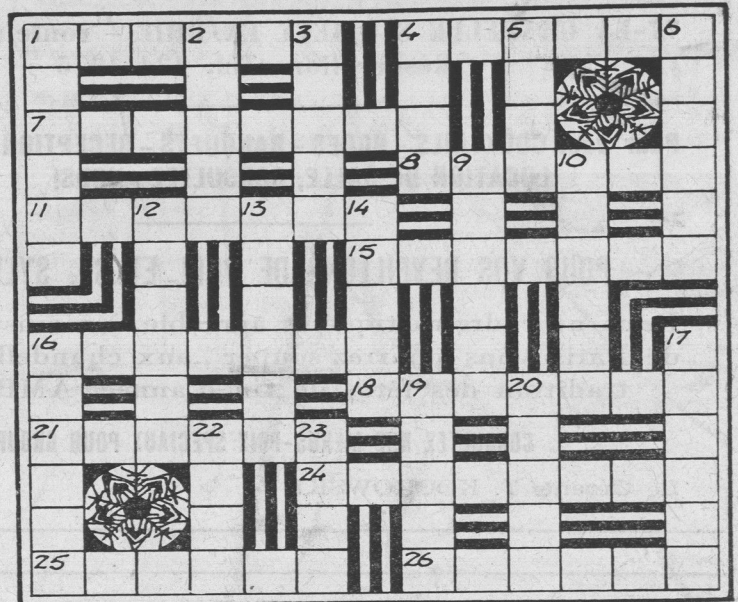
# KRZYŻÓWKA

**POZIOMO:** 1) legendarny założyciel i władca Krakowa, 4) chwilowa, dziwaczna zachcianka, 7) msza odprawiana w noc Bożego Narodzenia, 8) zażalenie, 11) najmilszy prezent dla dziecka, 15) mały woreczek z papieru służący jako opakowanie, 16) tradycyjny posiłek wieczorny w przeddzień Bożego Narodzenia, 18) dodatek do paszy z drobno pociętej słomy, 21) macierzysty port „Batorego”, 24) niespodzianki pod choinką, 25) zrzeszenie wielkich przedsiębiorców 26) zwrata masa pływających śledzi.

**PIONOWO:** 1) kaptur lub wielka czapa zakrywająca uszy, 2) tradycyjna potrawa wigilijna z gotowanej pszenicy, 3) podłużny owoc wielonasienny, 4) napój chłodzący wyrabiany z chleba, 5) nienaturalna, sztuczna postawa, 6) szkoda, ubytek, deficyt, 9) paciorki, 10) górnik urabiający węgiel w przodku, 12) rzeczoznawca, ekspert, 13) przydomek króla polskiego Kazimierza, który zastał Polskę drewnianą, a pozostawił murowaną, 14) książka z mapami, 16) choroba zakaźna zwierząt lub wrzód na karku zwany czarną krostą, 17) urzędowy wykaz cen albo oplat, 19) wzór doskonałości, 20) larwa owadów, 22) prąd wody w rzece, 23) odezwa, wezwanie.

**Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane**

**NAGRODY KSIĄŻKOWE**



# KRZYŻÓWKA Z CHOINKĄ

**POZIOMO:** 1) stempel urzędu probierczego na wyrobach z metali szlachetnych, 3) stary, samotny dzik, samiec, 4) wzajemna obietnica zawarcia związku małżeńskiego, 5) legendarny potwór podwawelski, 7) waga opakowania towaru, 9) pozycja w szachach, w której zaszachowany król nie ma możliwości obrony i oznacza koniec gry, 10) określona porcja żywności, 12) potomek ze skrzyżowania osła z

koniem albo grzaski osad na dnie wód, 13) trop zwierzyzny, 14) osuszająca zasypka naskórka.

**PIONOWO:** 1) prezent, upominek, 2) kamień półszlachetny koloru fioletowego, 6) przydrożny hotel dla zmotoryzowanych podróżnych, 8) stary, zniedołężniały mężczyzna, 10) obszar wodny przylegający do portu, gdzie statki oczekują na wprowadzenie do portu, 11) samochód.

## Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX  
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51

C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chauteaur-Lodelinsart  
Mme Ol. Kuc

C.C.P. 92.20 - 76 Paris

## Cena prenumeraty:

rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.

półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.

Président Directeur  
Général: Danuta  
JAGOSZEWSKI Bienaimé

## IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,  
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

# TV DU 29 DECEMBRE 1968 AU 4 JANVIER 1969

## PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI — 13.00. TELE-SOIR — 20.00 et TELE-NUIT à la fin du programme.

ACTUALITES REGIONALES — 19.20 (sauf le dimanche et les fêtes)

MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche et les fêtes)

CONTACT — 18.20 (sauf mercredi et dimanche)

TEUF TEUF — 18.30 (sauf le dimanche et les fêtes)

KIRI LE CLOWN — 19.10 ou 19.15 (sauf le dimanche)

BARNABE — 20.30 Dimanche, lundi, mardi et mercredi.

„L'HOMME de PICARDIE” — 19.40 (sauf samedi et dimanche)

## DIMANCHE 29 DECEMBRE.

- 8.55. Télé-Matin.
- 12.02. La séquence du spectateur.
- 12.30. Discorama avec Barbara.
- 13.15. „Max la menace”.
- 14.30. Télé-Dimanche avec Marcel Amont
- 17.15. „14 Juillet” — un film de René Clair.
- 19.30. „Les Globes-Trotteurs”.
- 20.45. „Le Crime de Monsieur Lange” — un film de Jean Renoir.
- 22.00. Jean Ferrat — une émission de Jacques Audoir.
- 22.30. „D'une gare” — une émission de Jacques Krier.

## LUNDI 30 DECEMBRE.

- 16.00. C'est Noël.
- 20.37. Gustave Doré raconte.
- 21.00. La légende du siècle.
- 22.15. Weissenberg joue Stravinsky.
- 22.30. Zero de conduite — un film de Jean Vigo.

## MARDI 31 DECEMBRE.

- 16.00. C'est Noël.
- 18.45. Magazine féminin.
- 20.00. Voeux du Général DE GAULLE Président de la République.
- 21.20. Revue Jacques Grello — Robert Rocca.
- 22.10. Felix Leclerc — une émission de J. Hubert.
- 22.30. La légende du siècle.
- 23.00. Entretien avec Gaston Bachelard.
- 23.15. L'enfant poète — une émission de Gérard Guillaume.
- 23.40. Line Renaud — une émission de L. R. Nell et J. Sallebert.
- 0.00. Raymond Devos.
- 0.15. Reveillon en Irlande, au château de Bunratty.
- 0.30. John William.
- 0.50. Un jour à New York — un film de Gene Kelly et Stanley Donel (Gene Kelly, Frank Sinatra).

## MERCREDI 1 JANVIER.

- 12.15. Eurovision — Concert de Nouvel An — transmis de Vienne.
- 13.30. Camera Invisible.
- 14.15. „Babar” — une émission de Laurent de Brunhoff.

- 14.20. „La Poursuite infernale” — un film de John Ford.
- 15.55. Un cirque pas comme les autres.
- 16.30. „Babar”
- 16.35. Théâtre de la jeunesse — une émission de Claude Santelli „Les mesaventures de Jean-Paul Choppart”.
- 17.30. „Babar”
- 17.35. Histoires au gré du vent.
- 17.55. Ombres et lumière — une émission de Daniel Lecomte.
- 18.40. Retrospective des actualités télévisées 1968.
- 20.37. „Le Bourgeois Gentilhomme” — comédie-ballet de Molière, réal. Pierre Badel.
- 22.55. Georges Brassens.

## JEUDI 2 JANVIER.

- 15.20. Emissions pour la jeunesse.
- 18.40. Lire et comprendre.
- 20.35. La piste aux étoiles.
- 21.35. Médecine humaine — médecine animale. — Une émission d'Igor Barrère.

## VENDREDI 3 JANVIER.

- 10—11 h. Eurovision: Course internationale de ski à Berchtesgaden — slalom hommes, 1-re manche
- 12—12.30 — Slalom — 2e manche.
- 17.30. Course internationale de ski.
- 18.40. La mer, l'air et l'espace, aujourd'hui: le parachutisme.
- 20.45. „La fugue de Monsieur Perle” — un film de Roger Richebe.
- 22.15. Jeu d'échec — une émission de Jean-Marie Drot.

## SAMEDI 4 JANVIER.

- 13.30. Magazines artistiques régionaux.
- 16.00. Eurovision: Course de Ski — slalom géant hommes à Berchtesgaden
- 17.05. Samedi et compagnie.
- 18.40. Les 3 coups — l'actualité théâtrale.
- 20.30. „Thibaud” nr. 10.
- 21.00. Sacha-Show.
- 22.50. Jazz.

## DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

- (C) — couleur, (C N) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
- TELE-SOIR-COULEUR — (C) — 19.40.
- TELE-SPORT — (C) — 19.55.
- LES CONTES DU CHAT PERCHE — (C) — 20.00. (sauf vendredi et samedi)
- LE PETIT MONDE DES HUMORISTES — (C) — 20.15. (sauf vendredi et samedi)

## DIMANCHE 29 DECEMBRE

- 14.30. (C) — L'Invité du dimanche.
- 18.55. (C) Sports.
- 20.42. (C) — Passing Show — une émission de Jean-Christophe Averty — Succès d'hier à la mode d'aujourd'hui.
- 21.50. (C) La légende du siècle.
- 22.20. „Le Medium” — opéra de Gian-Carlo Menotti, réal. G. C. Menotti.

## LUNDI 30 DECEMBRE.

- 20.37. (C) „Le neveu de Rameau” — satire dialoguée de Diderot.
- 21.55. (C) La légende du siècle.
- 22.15. (C) Ballet: „Le combat de Tancrede et Clorinde” de Claudio Monteverdi — chorégraphie et réalisation Milko Sparemblek.

## MARDI 31 DECEMBRE.

- 19.40. (C) Voeux du Général DE GAULLE — Président de la République.
- 20.37. (C) — Gustave Doré raconte.
- 21.10. (C) Festival Jerry Lewis — „Ce n'est pas une vie” — un film de Norman Taurog.
- 22.30. (C) Surprise-Partie — une émission de Jean-Pierre Frimbois (Johnny Hallyday, Sylvie Vartan, Antoine, Michel Polnareff, Nicolette, Jacques Dutronc, Françoise Hardy, Les Irresistibles, Hugues Aufray, Marie Laforet, Brain Auger, Joe Cocker, Les Beatles, Les Rolling Stones, Tom Jones, Brooker T., Freddy, les Troggs, Les Who, P. P. Arnold, Les Be Beach Boys, Small-Faces, David Jones — „directs” avec plusieurs clubs de Paris et de Londres etc.

## MERCREDI 1 JANVIER.

- 15.00. Retrospective 1986 de l'actualités télévisées.
- 15.30. (C) Monsieur cinéma.
- 16.00. (C) Les animaux du monde.
- 16.45. (C) „L'eventail de Seville”.
- 17.15. (C) Légende du siècle.
- 17.45. (C) Festival Jerry Lewis „Le Kid en kimono” — un film de Frank Tashlin.
- 20.37. (C) Variétés: „Idea” avec Julie Driscoll et la Bee Gees.
- 21.35. Hommage à cheval — une émission de Mario Ruspoli.
- 22.20. (C) Festival Jerry Lewis: „Le Zinzin d'Hollywood” — un film de Jerry Lewis.

## JEUDI 2 JANVIER.

- 20.00. (C) Le mot le plus long.
- 20.50. (C) „La ville en haut de la colline” — émission dramatique de Jean-Jacques Vroujean.
- 22.35. Au coeur de la musique — une émission de J. Gavoty.
- 23.05. (C) „On en parle”.

## VENDREDI 3 JANVIER.

- 20.00. Chronique cinéma.
- 20.30. „Civilisations” — „Les Esquimaux” — un documentaire.
- 22.00. „Le cabinet du docteur Caligari” — un film de Robert Wiene.
- 22.50. (C) „On en parle”.

## SAMEDI 4 JANVIER.

- 20.00. (C) Itinéraire de l'aventure — sur les pistes du Cameroun.
- 20.30. (C) La règle de cinq.
- 21.00. (C) Ce monde étrange et merveilleux — une émission de Raymond Marcillac.
- 22.00. Catch.
- 22.30. (C) De Taras Boulba à Gagarine — (12e épisode) — „L'Orthodoxie et les leçons”.



TURYSTYKA  
I  
GASTRONOMIA

# GOSPODA POD MODRYM FARTUSZKIEM

ZAPAMIĘTAJ  
NA NASTĘPNY  
SEZON



Część wnętrza toruńskiej kawiarni o frapującej nazwie Gospoda pod Modrym Fartuszkiem

W Toruniu jest wiele lokali i wiele miejsc do spotkania na towarzyską pogawędkę. Ale dla turystów zjeżdżających do rodzinnego miasta Kopernika z różnych stron Europy najbardziej atrakcyjna jest kawiarnia nosząca ciekawą nazwę Gospoda „Pod Modrym Fartuszkiem”. Kiedyś nazywała się gospodą „Pod Modrym Fartuchem”, miała charakter probierni, do której przede wszystkim przychodziło się na piwo lub wino. Na przekąskę podawano tu łososia.

Gospoda mieści się przy Rynku Nowomiejskim pod nr 8, przy czym nazwa Nowomiejski jest nieco myląca, był to bowiem Rynek nowy w stosunku do Rynku Staromiejskiego w XIV i XV wieku, kiedy Toruń poszerzył swe granice przepędziwszy ze swych murów Krzyżaków.

**G**OSPODA „Pod Modrym Fartuszkiem” dziś kawiarnia, istnieje od 1489 roku, a więc bez mała od 500 lat. Jest oczywiście najstarszym lokalem w mieście, a jak torunianie twierdzą — również najstarszym w Polsce, żadne bowiem ze starych miast polskich, ani Kraków, ani Gdańsk, Wrocław czy Poznań, nie prezentuje przybyszom tak starego i bogatego w tradycje lokalu. Na zewnątrz średniowiecznej kamienicy, której w XVIII wieku nadano barokowy wygląd, nad wejściem do kawiarni widnieje godło „modry fartuszek” wycięte artystycznie w żelazie przez któregoś z toruńskich mistrzów rzemiosła, a nad fartuszkiem dumna data — 1489. Nie jest wykluczone, że w gospodzie bywał sam Mikołaj Kopernik, a na pewno wiele innych średniowiecznych znakomitości wywodzących się z Torunia lub też w nim goszczących. W bogatej historii miasta czytamy m. in., że „przez kilkadziesiąt lat gospoda pozostawała, od czasów założenia, w rękach ogólnie poważanej rodziny Szalitów. Tradycja z ojca na syna przekazywała opowieści o królach — Kazimierzu Jagiellończyku i Janie Olbrachcie, którzy mieli zaszczyć gospodę swą obecnością.

Dobrze pielęgnowane miody i węgryny miały być zachętą dla gości królewskich, by podczas bytności w Toruniu pamiętali o „Modrym Fartuchu”.

Na co dzień lokal cieszył się przede wszystkim popularnością wśród braci rzemieślniczej Torunia, która w swoich specjalnościach wybijała się ponad konkurentów w innych miastach Polski, głównie zaś artystycznym wykonaniem swoich prac.

Trzeba tu wyjaśnić, że modry fartuszek nie był bynajmniej fartuszkiem dziewczęcym czy kobiecym, lecz rzemieślniczym, noszonym przy pracy. Do rzemieślników też zwracała się dewiza umieszczona nad wejściem do gospody: „Mili moi, gdy zdejmiecie fartuch po pracy, wstąpcie do nas na kufelek...” Sute, modre spódniczki z bogato haftowanymi fartuchami, jakie noszą obecnie miłe toruńskie kelnerki w Gospodzie „Pod Modrym Fartuszkiem”, mają jako regionalne stroje pomorskie bardzo starą tradycję, ale gospodę upiększają dopiero od niedawna. Od chwili, kiedy zamieniono ją na kawiarnię i stała się przytulnym miejscem dla zakochanych par, plotkujących przyjaciółek i szukających atrakcji turystów.



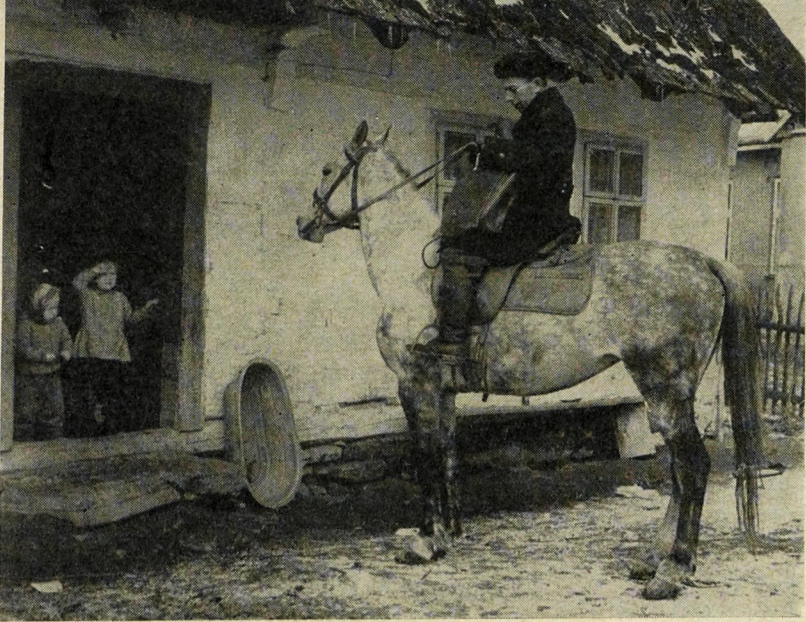
Zaułki modnej kawiarni świetnie nadają się do niewinnego poplotkowania przy małej czarnej

**A**u numéro 8 de la place du Nouveau-Marché à Toruń, ville natale de Nicolas Copernic, est sise l'auberge certainement la plus ancienne de Pologne. Aujourd'hui c'est un débit de boissons où l'on sert un café apprécié des amateurs de ce „satanique liquide”. Ce café, toujours appelé „Au tablier bleu” existe depuis 1489, c'est-à-dire que l'auberge avait déjà trois siècles d'existence au moment où éclatait la Révolution française. On dit même que Copernic en fut un client assidu... Le nom de l'auberge, aujourd'hui du café, provient de ce que l'on y débitait de la bière aux artisans des environs qui, avant de se mettre à table, enlevaient leurs tabliers bleus de travail. Aujourd'hui les artisans se faisant de plus en plus rares, c'est surtout des amoureux que l'on rencontre devant une tasse de café ou de thé.

Gospoda pod Modrym Fartuszkiem mieści się od 1489 r. w tej samej kamienicy







Bukowiec, Sterki i Polanki to wsie, które obsługuje konny listonosz p. Ferczyk



Listonosz Antoni Solan wyrusza w drogę sprzed urzędu w Włkowie

**L**ES VILLAGES montagnards situés au coeur des Bieszczady, au sud-est de la Pologne, sont en hiver presque entièrement coupés du monde. Quand quelqu'un tombe malade, le médecin arrive en hélicoptère. Mais la poste, qui doit être distribuée tous les jours, n'a pas partout à son service des machines volantes pouvant atteindre tous les recoins de la région. C'est pourquoi les facteurs font leur service à cheval; c'est un moyen de locomotion idéal en hiver, il permet d'arriver à temps pour remettre les lettres et, à la Noël, les voeux expédiés de partout.

# LISTONOSZE NA KONIACH

**P**IERWSZA na świecie funkcjonowała już w XII wieku, w znakomicie zorganizowanym państwie Dżyngis-Chana. Specjalni posłańcy, przesiadając się z konia na konia w gęsto rozsianych stacjach, dostarczali w ciągu dwóch tygodni pilne państwowe listy z europejskich krańców państwa mongolskiego aż do... Pekinu. A do dziś powszechnie przyjętym godłem służby pocztowej jest trąbka, w jaką dęli zbliżając się do kolejnej stacji konni pocztowej. Już w czasach nowożytnych, gdy poczta przewoziła zarówno przesyłki listowe jak i pasażerów.

**W** DOBIE ODRZUTOWCÓW, w przeddzień rakiet pocztowych, które w ciągu minut będą dostarczały przesyłki z kontynentu na kontynent, koń pocztowy wydaje się anachronizmem. Ale nie w każdych warunkach. W południowo-wschodnim kącie Polski leżą przepiękne Bieszczady, a w nich miejscowość Włkowieja. Musiał być to niegdyś kąt dziki i zapadły — nazwa jego pochodzi od wycia wilków. Lecz dziś, po kilkunastu latach intensywnego zagospodarowywania, wszędzie tu mieszkają ludzie. W górskich wioskach, szeroko rozrzuconych wśród lasów, potoków, w trudno dostępnych zakątkach, mieszkańcy oczekują na listy. Więc listy muszą być dostarczone. Tu z trudem dociera nawet helikopter i to tylko w wyjątkowych wypadkach — w służbie Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Ale listonosze docierać muszą — codziennie. I na święta z życzeniami. Samochód, motocykl, nawet rower nie wchodzi w grę. Pozostaje koń. I to nawet nie taki ze słynnych polskich stadnin, lecz zwykły, pracowity chłopski konik. Konni listonosze z urzędu pocztowego w Włkowie robią co dnia kilkudziesięciokilometrowe rajdy, wszędzie oczekiwani i witani uśmiechem. Jeżdżą w zimowych kopnych śniegach i w jesiennej szarudzie, w letni upał i wiosenne roztopy. W uznaniu ich pracy telewizja polska poświęciła im specjalny film, my zamieszczamy te zdjęcia. (J)

„Nie ma złej drogi”, bo przecież gdzieś czeka na listy matka, ojciec, żona, narzeczona



Teodor Ferczyk pracuje już od 17 lat

W każdej wsi witani są z uśmiechem

